

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

February 1966

Price 3/6

Cena 3/6

§ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

SYRENA

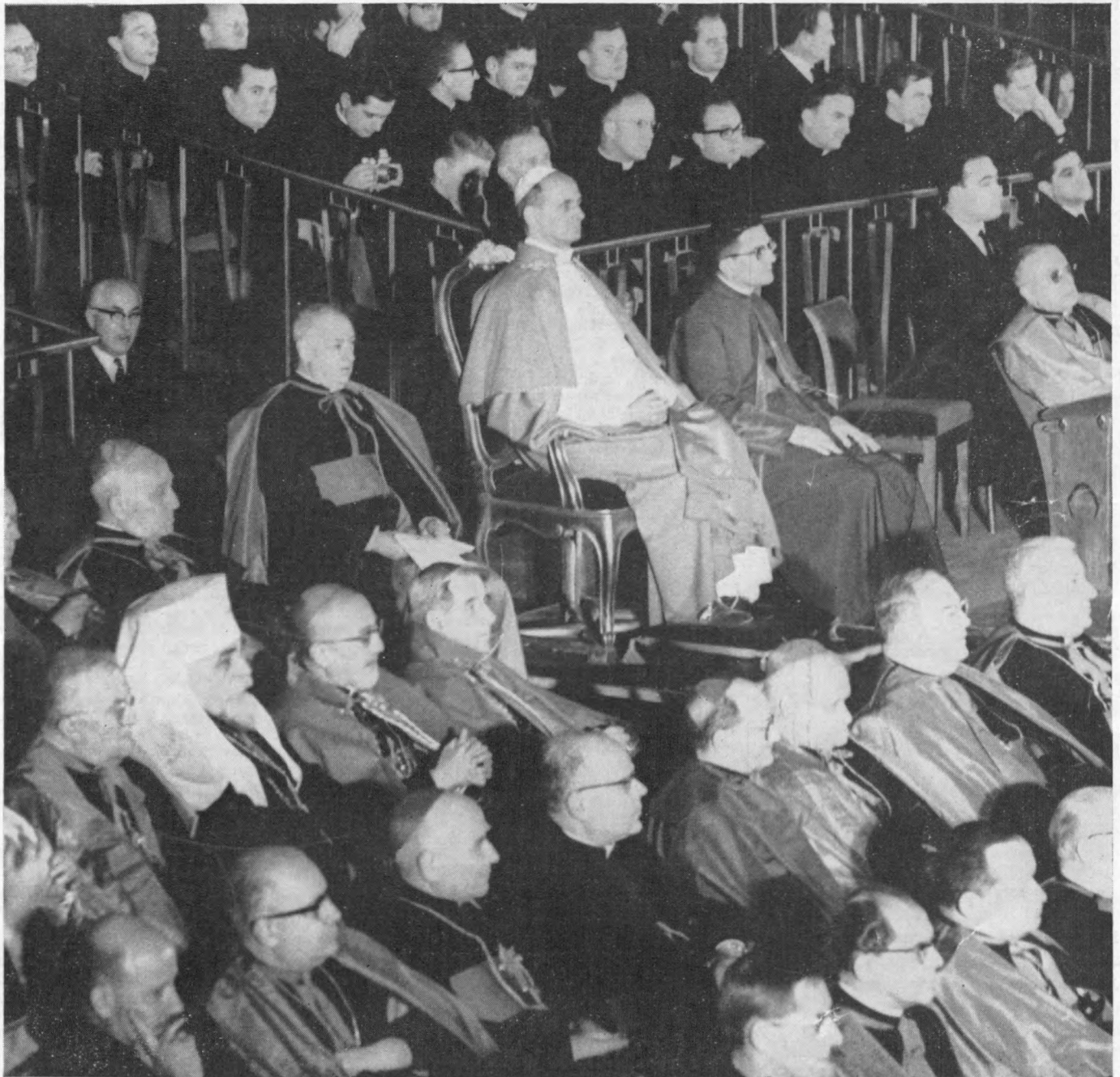
LUTY

1966

Nr 19/1166

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



PAPIEŻ PAWEŁ VI NA INAUGURACJI TYSIĄCLECIA POLSKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Wśród Kardynałów zasiadających przed tronem papieskim widać postać Kardynała Ślipyja, metropolity unickiego Lwowa,
w charakterystycznym białym nakryciu głowy

FP 2156

W NUMERZE :

Witold Zahorski: Papież Paweł VI na inauguracji Millennium	str. 1
Ogrodzie biskupów polskich do biskupów niemieckich	str. 3
Stanisław Paczyński: Bezprzykładna kampania oszczerstw	str. 7
Tadeusz Radwański: Co dziś zostało z Karty Atlantyckiej?	str. 8
Zbigniew Grabowski: Twarze Hiszpanii	str. 10
Tadeusz Podgórski: Gdy Jugosławia otwiera granice	str. 15
Na misyjnej parafii	str. 16
Jan Tokarski: Czy Sobór jest ponad Papieżem? (II)	str. 17
Z. S.: Przegląd polityki międzynarodowej	str. 21
Zbigniew Sudry: Kariera „Pana Pulkownika“	str. 23
Marian Czarnecki: Tegoroczny śnieg alpejski (ilustracja Danuty Laskowskiej)	str. 24
Aleksander Bregman: Spotkanie z Indianami	str. 27
Konkurs Polskiej YMCA dla dzieci	str. 30
Mieczysław Paszkiewicz: Powrót bajki	str. 31
Klara Evans: Zazdrość	str. 33
Wojciech Stefański: Sukces Moiry Lackland	str. 38
W. Lewandowski: Zastosowanie tworzyw sztucznych w medycynie	str. 41
Dr Michał: Zapalenie stawów	str. 42
Jan Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu	str. 43
Zdzisław Stahl: Wspomnienie W. Wielhorskiego z niewoli sowieckiej	str. 47
„W pochylonej perspektywie“, Karykatura polityczna „Seka“, „Fraszki“ Rawicza	str. 48

LISTY DO REDAKCJI

W SPRAWIE ZGROMADZENIA SIÓSTR NAZARETANEK

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

W „Orle“ — nr z września 1965 roku — w moim artykule pt. „Summariusz III sesji Soboru“, pisząc m.i. o zakonach żeńskich, wspomniałem też w paru zdaniach o zgromadzeniu Nazaretanek, a dokładniej: o obecnej Przełożonej Generalnej, której stawiałem pewne zarzuty. Pomimo, że sprawdzałem swe wiadomości u osób mających bliskie i serdeczne powiązania ze zgromadzeniem, nie zostałem poinformowany dokładnie i parę informacji podałem niezgodnie ze stanem faktycznym, o czym mi powiedział w czasie mego pobytu w Rzymie ks. dr Okroy, zastępca generała Chrystusowców. Ponieważ chodzi o fakty niebagatelne, pragnę rzec w tym liście sprostować, żeby wbrew wszelkiej intencji nie krzywdzić Matki Przełożonej.

Napisałem mianowicie, że wyzbyła się dotychczasowego domu generalnego w Rzymie (przy via Machiavelli 18), nabytego jeszcze przez założycielkę zgromadzenia, Matkę Franciszkę Siedliską (której proces beatyfikacyjny znajduje się w toku). W rzeczywistości została sprzedana znaczna część tego ośrodka, natomiast dom z kaplicą, gdzie spoczęły szczątki Założycielki, nadal znajduje się w posiadaniu zgromadzenia, a przełożoną jest tu znana serdecznie wielu Polakom czcigodna Matka Regina. Dawny dom nowicjatu w Ariccia pod Rzymem, o którym napisałem, że został sprzedany Niemkom, sprzedano Amerykanom niemieckiego pochodzenia.

Napisałem też, że nowa Przełożona Generalna usuwa ślady polskości zakonu — w znaczeniu zastępowania języka polskiego w niektórych modlitwach angielskim. — Wspomniany ks. dr Okroy zwrócił mi uwagę, że nie jest to bynajmniej sprawą tak prostą. Jest bowiem faktem, że na skutek obecnego położenia Polski ustal niemal zupełnie dopływ Polek do nowicjatu. Zgromadzenie ma charakter między- czy ponadnarodowy, co zresztą jest naturalnym wynikiem rozrostu każdego większego zakonu. Najwięcej jest powołań włoskich i zwłaszcza amerykańskich, trudno więc w takich warunkach forsować język polski, gdyż praktycznie zakonnice w Rzymie musiałyby obowiązkowo znać trzy języki, trud wielki przy i tak wielkim przepracowaniu zakonnice. Przy tym, jak dosłownie powiedział ks. Okroy, sama Przełożona Generalna „pięknie nauczyła się po polsku“.

Za te wszystkie mimowolne przeinaczenia wyrażam swój żal. Pisałem w najlepszej wierze będąc przekonany, że piszę tylko fakty in toto zgodne z prawdą. Nie miałem żadnej intencji wyrządzenia krzywdy ani Matce Przełożonej Generalnej ani, zwłaszcza, zasłużonemu zgromadzeniu. Przepraszam też redakcję i czytelników, których mimowoli wprowadziłem w błąd w zakresie faktów tu wymienionych.

Łączę wyrazy poważania

Jan Tokarski

LIST Z LES AGEUX

Wielce zasłużonemu Wydawnictwu „Orzeł Biały“, towarzyszewi i przyjacielowi Żolnierza na niegościnniej ziemi rosyjskiej, na piaskach Azji i Afryki, świadkowi heroicznych walk w Italii, kontynuującemu obecnie walkę słowem i piórem o prawa Polski, przyjacielowi szkoły, — z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku

najlepsze życzenia dalszego pięknego rozwoju pisma zasyła Polskie Gimnazjum i Liceum Les Ageux, — dziękując równocześnie za stałe, wieloletnie i bezpłatne nadsyłanie egzemplarzy pisma, co w dużej mierze ułatwia kształcenie młodzieży polskiej w bieżących zagadnieniach politycznych świata i pozwala jej znaleźć właściwe miejsce dla Polski Niezależnej i Chrześcijańskiej w pośród narodów Europy.

Z głębokim szacunkiem
w imieniu szkoły

Dyrektor

Mieczysław Jurkiewicz
Polskie Gimnazjum i Liceum
w Les Ageux (Oise), Francja

LISTOPAD... DLA REDAKCJI NIEBEZPIECZNY MIESIĄC

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypuszczalnie zgodzi się Pan ze mną, że poziom zamieszczanych w „Orle“ artykułów jest nierówny. Nie przynosi to ujemny pismu, dopóki nie schodzi się poniżej przeciętności. Niestety trafiają się w „Orle“ rzeczy o zupełnie wątpliwej wartości. O dziwo, jakoś nikt się nie kwapi Panu ich wytknąć. Więc może ja to zrobić.

W listopadowym numerze „Orla“ (rok 1965) jest np. artykuł p. K. Schleyena: „Powstanie o pańszczyznę“. Przypuszczam iż wielu się ze mną zgodzi, że w formie w jakiej go czytaliśmy nie powinien być ujrzyć światła dziennego. Można p. K. Schleyenowi darować jego dyskredytowanie ks. Warechy, przy pomocy przedstawienia z notesem i prowokacji, kończącej się ukazaniem go publiczności w negliżu. Można mu darować „pozytyw i negatyw fotograficznej kliszy“, burzę, które „opra się nawet o Rzym“, językowo błędny okrzyk „My ne chcemu pańszczyzny“, przekreślenie nazwiska ks. biskupa Kocylowskiego, jak i wiele innych drobniaków. Ale proszę zauważyć: w relacji o zebraniu lokalnego komitetu „Święta Pracy“, który na polecenie starosty miał być rozwiązany przez wysłanego w tym celu inspektora rolnego, p. K. Schleyen pisze: „Na zebraniu brak było tylko wójta, w którego gminie odbywało się posiedzenie protestacyjne“. Nie przeszkadza mu to napisać zaledwie 15 wierszy dalej: „Oświadczanie to napisał i wręczył wójtowi“. Albo, w jednym miejscu p. K. Schleyen pisze: „Trudno się było zorientować jakie rozmiary przybierze ten ruch“, a całą kolumnę dalej powiada: „Systematycznie buntowana ciemnota porwała się na to miniaturowe powstanie, które jak łatwo przewidywałem w meldunkach musiało wygasnąć z powodu braku aprowizacji“. Lub też takie zdanie: „Głośny dzwon pożarniczy zaalarmował ludność biegnącą ku rynkowi“.

To są przykłady jaskrawych sprzeczności. A oto przykłady chaotycznego stylu: „...ale Potocki ma swoje własne wojsko w helmach. Pierwsza do akcji weszła Szkoła Policyjna. „Pany“ chcą odkopać krzyże i postawić na ich miejsce czerwone“. Lub: „Jeden zabity i pięciu rannych to niezbyt krwawy plon agresji tysięcy chłopów. Przypisać to należy spokojowi, wielkiemu umiarowi i rozważnemu opanowaniu sytuacji. Oprócz kilku dygnitarzy, którzy nie pokazali się na terenie akcji nikt z nich nie został odznaczony“. Oba te wyjątki, a mógłbym przytoczyć więcej, są dowodami gubienia wątku przez autora. Wyjęte z kontekstu nic nie tracą, bo nie mają z nim związku.

(d.c. na zewnętrznej stronie okładki)



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 19/1166

LUTY 1966

Rok XXVI

★ ★ ★

Poświęcamy w tym numerze sporo miejsca tematom związanym z Millennium. Witold Zahorski pisze z Rzymu o przebiegu inauguracji tysiąclecia Polski chrześcijańskiej z udziałem Papieża, bez udziału wszakże Prymasa Polki, któremu reżym odmówił paszportu w myśl dyspozycji otrzymanych przez Zenona Kliszkę w Moskwie. Stanisław Paczyński omawia wystąpienie Gomułki przeciwko Prymasowi i biskupom w związku z ich orędziem soborowym do biskupów niemieckich. Drukujemy też pełny tekst tego orędzia, wstrzymując się od wszelkich komentarzy i uwag na temat historyograficznej interpretacji dziejów Polski, która posłużyła jako wstęp i uzasadnienie tego wielkiego gestu pojednania.

Bez względu wszakże na to jakie będą skutki orędzia i jaki będzie dalszy przebieg akcji podjętej przez reżym przeciwko Kościołowi polskiemu — nie znajdzie się chyba nikt kto by odmówił orędziu rangi jednego z najdonioślejszych aktów moralnych współczesnej historii. Zważywszy co nas z narodem niemieckim dzieli — można by orędzie określić jako akt prawdziwie heroiczny.

Czy posiada on znaczenie polityczne? W tym znaczeniu jakie mu próbuje nadać Gomułka, orędzie aktem politycznym nie jest i nie było jako akt polityczny pomyslane. Lecz jeśli politykę utożsamimy z działaniem na korzyść interesów narodowych z uwzględnieniem przesłanek moralnych i z myślą o przyszłości — wówczas orędzie zasłuży na nazwę aktu politycznego. Jakie będą jego skutki

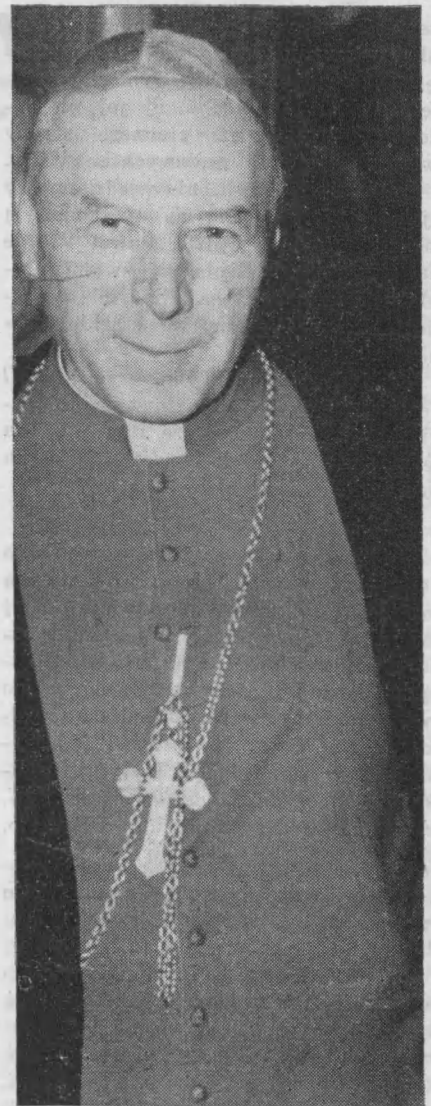
na długą metę ocenić dziś nikt nie może.

Wiemy wszakże jakie są jego skutki na chwilę bieżącą. Widzimy jak reżym, powodowany gniewem lub strachem, doprowadził do prawdziwej konfrontacji poglądów i sił.

Stwierdził raz jeszcze — właśnie w roku milenijnym — jakim celom i jakim panom służy, do czego dąży i w co wierzy.

Dążenia te i poglądy są sprzeczne z poglądami i dążeniami narodu polskiego. Naród polski chce pozostać chrześcijańskim i zachodnim. Przemówić w jego imieniu mógł tylko Kościół. I uczynił to. Nie dlatego, by było to jego prawem lub jego funkcją, lecz dlatego, że w dzisiejszej rzeczywistości jest to jego obowiązkiem.

Nikt inny przemówić nie mógł.



PAPIEŻ PAWEŁ VI NA INAUGURACJI MILLENNIUM

Z Rzymu padło na nas światło, nie ma więc nic dziwnego w tym, że oczy narodu polskiego zwracały się przez wieki w kierunku Rzymu — na Zachód.

Także obchód tysięcznej rocznicy chrztu naszego narodu święciliśmy w Rzymie. Potem dopiero przeniesiemy się — duchem przynajmniej — do Krakowa, Gniezna, Częstochowy. Ale zaczęliśmy od Rzymu.

Okres poprzedzający inaugurację roku milenijnego miał tu w napięciu i oczekiwaniu. *Wiadomo już było z prasy i radia, że kardynałowi Wyszyńskiemu odmówiono paszportu;* rzymska manifestacja Millennium jest uważana przez polski reżym za demonstrację polityczną; że Episkopat polski jest atakowany przez prasę reżimową za list do

Episkopatu niemieckiego, przy czym tylko nieliczni w Polsce znają tekst całego listu, a prasa posługiwała się dowolnie wybranymi zdaniami; że Gomułka zawiadomił naród polski, iż Polska zdradzana przez Zachód odtąd związana jest tylko ze Wschodem.

Powiedzieć Polakom, że nie będą oni już mieć nic wspólnego z Zachodem, że mają bronić Wschodu i komunizmu przed Zachodem — to znaczy stracić z Polakami wspólny język. Ale to reżymu nie obchodzi, bo spełnia tylko wolę „starszego brata“, tak, jak zastosował się do zaleceń Kremla w sprawie wyjazdu kardynała Wyszyńskiego do Rzymu. Jeżeli kiedykolwiek przyjdzie jakaś nowa czystka w komunistycznych szeregach Rosji i Polski — autor czy autorzy koncepcji odmowy paszportu na-

szemu Prymasowi będą odpowiadali za sabotaż zorganizowany na własną szkodę. Odmowa paszportu wyniosła sprawę Polski, sprawę obecnej jej niewolniczej sytuacji, na pierwsze strony światowej prasy i radiowych serwisów.

Do ostatniej chwili nie wiadomo czy Ojciec Święty będzie na tym naszym obchodzie czy nie będzie. Paweł VI nie ma zwyczaju dzielenia się swymi projektami nawet z najbliższym otoczeniem. Decyduje sam, w ostatnim momencie.

Tak było i teraz. Tylko rzymskie „Il Tempo“ w swym rannym numerze zawiadomiło czytelników, że Paweł VI na pewno przybędzie do Auditorio Pio na polski obchód milenijny.

Największa sala w Rzymie wypełniła się po brzegi już długo przed ustaloną godziną. Punktualnie o godzinie 17-tej nadjechał Ojciec Święty. W hallu wejściowym przywitali Go Ks. Biskup Władysław Rubin, delegat Prymasa do spraw duszpasterstwa uchodźstwa polskiego; ks. prałat Franciszek Mączynski, rektor Papieskiego Instytutu Polskiego i ks. prałat Bolesław Wyszyński, rektor Papieskiego Kolegium Polskiego.

Wchodzącego do auli Pawła VI-go wszyscy obecni przywitali gorącymi oklaskami i powstaniem z miejsc. Obecnych już było aż 21 kardynałów: Pizzardo, Aloisi Masella, Cento, Cicognani, Agagianian, Giobbe, Confalonieri, Marella, da Costa Nunes, Antoniutti, Forni, Słipij, Florit, Dante, Zerba, Ottaviani, Larraona, Morano, Bea, Browne, Calori di Vignale; obecni szefowie poszczególnych sekcji Sekretariatu Stanu, obecni liczni arcybiskupi i biskupi. Liczne były reprezentowany korpus dyplomatyczny przy Watykanie ze swym dziekanem, baronem Poswickiem; między ambasadorami znajdował się ambasador R.P. dr Kazimierz Papée.

Przybyli także licznie przedstawiciele włoskich władz państwowych, parlamentu i samorządu; a więc ministrowie Piccioni i Andreotti, posłowie Rumor, Gava, Tupini, Angelini, Sullo, Migliori, Gregg, delegat syndyka Rzymu radny Agostini, delegacje Akcji Katolickiej i chrześcijańskich związków zawodowych, zgromadzeń zakonnych, kler świecki, kolonia polska w komplecie, tłum włoskich przyjaciół. Byli też jako przedstawiciele Federacji Światowej Polskich Kombatanów p. Stanisław Lis i prezes Instytutu Polskiej Akcji Katolickiej p. Z. Baliński-Jundziłł.

Fotel Ojca Świętego stał w środku sali. Nad sceną zawieszony był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Na po-

dium — chórze Kaplicy Sykstyńskiej. Jemu przypadła rola otworzenia obchodu. Wykonaniem na sześć głosów „Cantate Domino“ Perosi'ego.

Zabrałby teraz głos, gdyby był obecny, kardynał Stefan Wyszyński.

Powitanie Ojca Świętego przypadło w udziale księdzu Biskupowi Władysławowi Rubinowi, przewodniczącemu Centralnego Komitetu Obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski.

Oto tekst tego powitania:

„Ojciec Święty! Twoja dostojna obecność na tej uroczystości, którą Polska katolicka rozpoczyna obchody swojego pierwszego Tysiąclecia przyjęcia wiary świętej, wzbudza w sercu uczucia głębokiego wzruszenia i nieprzemijającej wdzięczności za Twoją dobroć dla naszego narodu. Nie jest to pierwszy dowód Twojej życzliwości względem nas, Ojciec Święty, i Twojego uwrażliwienia na potrzeby ludzi, narodów i całej ludzkości. Wśród rozlicznych prac Twojego serca, Ojciec Święty, tak bardzo czule, ogarnia jednocześnie potrzeby, pragnienia i dążności całej ludzkości.

Wczuwamy się w bijące tętno niezamordowanego i troskliwego Twego działania, aby zachować pokój w świecie, poważnie zagrożony a tak potrzebny, pokój dla wszystkich narodów.

Lecz Twoje pełne troski i starania działanie nie powstrzymuje Cię, Ojciec Święty, od ojcowskiego i troskliwego zainteresowania się także dobrem poszczególnych narodów. Wiemy dobrze, Ojciec Święty, jak Ci są bliskie sprawy naszego narodu, jak wielkim zainteresowaniem otaczałeś przygotowania do obchodów naszego Tysiąclecia i jak bardzo pragniesz, aby stało się ono dla nas światłem ufności na przyszłość i ciągłą siłą w podążaniu naprzód drogą przeznaczoną przez Opatrzność Bożą dla naszego narodu.

Tą swoją ojcowską troską, Ojciec Święty, zjednoczyłeś w jednym sercu całą nasz naród, którego imieniem przekazuję Ci wyrazy najgłębszej wdzięczności i gorącej, synowskiej miłości.

W tej doniosłej chwili ożywia nas pragnienie utwierdzenia naszej postawy w obronie świętej wiary katolickiej, otrzymanej z rąk Twoich Poprzedników przed tysiącem lat, otrzymanej z tej świętej stolicy, względem której chcemy zawsze pozostać wierni. Jest naszym istotnym pragnieniem żyć według wiary świętej teraz i w następnym tysiącleciu, jakie się otwiera przed nami.

Przypada mi, Ojciec Święty, wielki zaszczyt prosić w imieniu Jego Eminencji Ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski i całego Epis-

kopatu Polskiego o Twoje ojcowskie błogosławieństwo dla obchodów naszego Tysiąclecia“.

Gdy Ksiądz Biskup Rubin wymienił nazwisko Prymasa Polski — cała aula zareagowała natychmiast gorącą i długą owacją na cześć nieobecnego Kardynała.

Po ponownym występie chóru Kaplicy Sykstyńskiej prof. O. Halecki wygłosił godzinny referat, dając w nim swą syntezę naszych tysiącletnich dziejów. Referat został z zainteresowaniem wysłuchany przez Ojca Świętego, a na zajutrz w całości zamieszczony zarówno w „Osservatore Romano“, jak i w „Il Popolo“.

Po referacie i chóralnym „Credo“ oczy wszystkich obecnych zwróciły się w kierunku Ojca Świętego, który powiedział:

„Dziękuję tym wszystkim, którzy zorganizowali tę uroczystość, którzy mnie tu zaprosili czy tu przemawiali, o tym wielkim narodzie, w duchu tej nadziei, o jakiej wspominał mówca.

Błogosławieństwo rozcigam na jego duchowego przywódcę, kardynała Stefana Wyszyńskiego, który jest tu jak gdyby obecny wśród nas.

Błogosławie także wszystkim tu obecnym“.

W myśl tych słów ręka Pawła VI-go kreślił powolnie znak Krzyża nad głowami kłęczących w tej auli.

Manifestacja cała, od początku do końca, wbrew zapowiedziom prasy reżymowej, nie miała ani jednego akcentu politycznego. Miała ona charakter religijny i tylko religijny.

Weszliśmy w rok Polskiego Millennium.

Witold Zahorski

POLSKA PIELGRZYMKA TYSIĄCLECIA DO RZYMU

W dniach od 12 do 16 maja odbędzie się Polska Pielgrzymka Tysiąclecia do Rzymu. Program przewiduje w niej udział Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski. Punktem kulminacyjnym będzie Msza św. odprawiona przez Ojca św. w Bazylice św. Piotra na intencję Polski z jego kazaniem.

Pielgrzymkę organizują z Wielkiej Brytanii: Instytut Polskiej Akcji Katolickiej, Związek Harcerstwa Polskiego i SPK.

Termin zgłoszeń upływa 28 lutego. Informacji udziela i zapisy przyjmuje: SPK (Pielgrzymka) 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7. Tel. KNI 0747.

BISKUPI POLSCY DO NIEMIECKICH W ROKU TYSIĄCLECIA

Czcigodni Bracia Soborowi!

Niech nam wolno będzie, zanim jeszcze Sobór zostanie zamknięty, ogłosić Wam, naszym najbliższym sąsiadom zachodnim, radosną wieść, że w przyszłym roku — w roku Pańskim 1966 — Kościół Chrystusowy w Polsce, a wraz z nim cały naród polski obchodzić będzie tysiąclecie swego chrztu oraz swego narodowego i państwowego istnienia.

W sposób braterski, a jednocześnie najbardziej uroczysty zapraszamy Was do udziału w uroczystościach kościelnych polskiego Millennium. To polskie „Te Deum Laudamus“ ma osiągnąć punkt kulminacyjny w początkach maja roku 1966 na Jasnej Górze, przy obrazie Najświętszej Matki Bożej, Królowej Polski.

Następujące wywody mogą posłużyć jako historyczny, a jednocześnie aktualny komentarz naszego Millennium, ale może przy pomocy Bożej pozwolą również w drodze wzajemnego dialogu zbliżyć do siebie oba narody.

POCZĄTKI POLSKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Jest faktem historycznym, że w roku 966, książę polski Mieszko I pod wpływem swej małżonki, czeskiej córy królewskiej Dąbrówki, przyjął wraz z całym swym dworem święty sakrament chrztu. Od tej chwili szerzyło się chrześcijańskie dzieło misyjne — i tak już od pokoleń w naszym kraju głoszone — na całym polskim obszarze.

Syn i następca Mieszka, Bolesław Chrobry, prowadził dalej dzieło chrystianizacji swego ojca i uzyskał od ówczesnego papieża Sylwestra II zgodę na utworzenie własnej polskiej hierarchii z pierwszym biskupstwem w Gnieźnie i trzema sufragańskimi biskupstwami w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu. Do 1821 r. Gniezno podlegało biskupstwu wrocławskie. W roku tysięcznym władca Cesarstwa Rzymskiego Otton III udał się wraz Bolesławem Chrobrym jako pielgrzym do grobu męczennika, świętego Wojciecha, który kilka lat przedtem poniósł śmierć męczeńską wśród bałtyckich Prusaków. Obaj władcy, rzymski i przyszły król polski (został on ukoronowany na króla krótko przed śmiercią), odbyli długą część drogi pieszo do świętych relikwii w Gnieźnie, by następnie oddać hołd w wielkiej nabożności i skupieniu.

Takie są dziejowe początki Polski chrześcijańskiej, a zarazem początki jej narodowej i państwowej jedności. Na tych podstawach — w sensie chrze-

ścijańskim, kościelnym, narodowym i państwowym — poprzez wszystkie pokolenia budowali dalej władcy, królowie, biskupi i księża przez tysiąc lat. Symbioza chrześcijaństwa, Kościoła i państwa istniała w Polsce od początku i nigdy właściwie nie uległa zerwaniu. Z niej zrodził się także polski styl religijny, w którym od początku czynnik religijny jest ściśle spleciony i zrośnięty z czynnikiem narodowym, z wszystkimi pozytywnymi, ale również i negatywnymi stronami tego problemu.

Do religijnego stylu życia należy również od niepamiętnych czasów jako główny jego wyraz polski kult maryjny. Najstarsze polskie kościoły poświęcone są Matce Boskiej (między innymi również gnieźnieńska katedra metropolitalna). Najstarsza polska pieśń, można by powiedzieć, kołysanka narodu polskiego, jest do dziś śpiewaną pieśnią maryjną: „Bogu Rodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja“. Tradycja wiąże jej powstanie ze świętym Wojciechem, podobnie jak inna legenda łączy polskie białe orły z gnieźnieńskim gniazdem. Takie i podobne tradycje i legendy ludowe, które oplatają jak powój wydarzenia dziejowe, spłoty tak ściśle ze sobą czynnik narodowy i chrześcijański, że nie da się ich po prostu od siebie bez szkody rozdzielić. One to właśnie naświetlają, a nawet w dużej mierze nadają swe piętno całym późniejszym dziejom kultury polskiej, całemu rozwojowi narodowemu i kulturalnemu.

ZWIĄZKI POLSKI Z ZACHODEM

Najnowsza historiografia niemiecka nadaje naszym początkom następujące polityczne i kulturalne znaczenie: „Przez zetknięcie się z imperium Ottona III przed tysiącem lat, Polska weszła do łacińskiej społeczności chrześcijańskiej. Dzięki podziwu godnej zręczności polityki Mieszka I, a następnie Bolesława Chrobrego Polska stała się równouprawnionym członkiem imperium Ottona III, imperium opartego na uniwersalnej koncepcji obejmującej cały nie-bizantyński świat, oraz wniosła decydujący wkład do ukształtowania się Europy wschodniej...“

Tym samym położono fundamenty i stworzono formę i warunki dla przyszłych owocnych stosunków niemiecko-polskich i szerzenia kultury zachodniej.

Niestety, w późniejszym toku dziejów stosunki niemiecko-polskie nie zawsze utrzymywały twórczy charakter i w ostatnich stuleciach przekształciły się w „dziedziczną wrogość“.

Związanie nowego królestwa polskiego z Zachodem, i to z pomocą papieża, któremu królowie polscy stale oddawali się do dyspozycji, spowodowało w średniowieczu żywą pod każdym względem i nad wyraz bogatą wymianę między Polską i narodami zachodnimi. Szczególnie z krajami południowo-niemieckimi, ale również z Burgundią i Flandrią, Włochami, a później Francją i Austrią oraz włoskimi państwami okresu Odrodzenia. Polska przy tym, jako młodszy twór państwowy, jako najmłodszy wśród starszych braci Europy chrześcijańskiej była początkowo bardziej partnerem biorącym, niż dającym. Pomiędzy Kaliszem i Krakowem, królewską stolicą w średniowieczu, a Bambergiem, Spirą, Moguncją, Paryżem, Kolonią, Lyonem i Clairvaux wymieniano nie tylko towary. Z Zachodu przybywali benedyktyni, cystersi, a później zakony żebracze. W Polsce, kraju nowo pozyskanym dla chrześcijaństwa, rozwijały się one natychmiast z pełnym rozmachem.

W średniowieczu doszło do tego niemieckie prawo magdeburskie, które oddało wielkie usługi przy zakładaniu miast polskich. Płynęli również do Polski niemieccy kupcy, budowniczowie, artyści i osadnicy, z których wielu spolonizowało się. Pozostawiono im ich niemieckie nazwiska rodzinne. W wielkim patrycjuszowskim Kościele Mariackim w Krakowie znajdujemy i dziś jeszcze napisy nagrobkowe licznych rodzin niemieckich z okresu średniowiecza, które z czasem wszystkie spolszczyły się, z czego Hitler i inni niesławnej pamięci wysnuli po prostu wniosek, że Kraków i cała Polska były jakby jedynie niemieckim terenem kolonizacyjnym, wobec czego muszą być odpowiednio potraktowane.

Klasycznym przykładem niemiecko-polskiej współpracy w dziedzinie kultury i sztuki w średniowieczu jest światowej sławy rzeźbiarz Wit Stwosz z Norymbergi, który przez całe niemal swe życie działał w Krakowie. Wszystkie jego tam znajdujące się dzieła przepełniły genius loci polskiego otoczenia. Stworzył on w Krakowie własną szkołę artystyczną, która wywierała przez pokolenia swój wpływ i wzbogacała polską ziemię.

Polacy głęboko szanowali swych braci z chrześcijańskiego Zachodu, którzy przybyli do nich jako orędownicy prawdziwej kultury. Nie pomijały milczeniem ich nie-polskiego pochodzenie. Mamy zachodniej, także niemieckiej, kulturze naprawdę wiele do zawdzięczenia.

Z zachodu przybyli do nas apostołowie i święci. Oni to należą do wartości najcenniejszych, którymi obdarzył nas Zachód. Ich błogosławioną działalność społeczną odczuwamy dziś jeszcze w wielu dziedzinach. Do najbardziej znanych zaliczamy świętego Brunona z Querfurtu, nazywanego „biskupem pogani”. W porozumieniu z Bolesławem Chrobrym dokonał dzieła ewangelizacji słowiańskiego i litewskiego północnego wschodu. Szczególnie znana jest święta Jadwiga, księżniczka Śląska, pochodząca z Andechs, małżonka polskiego piastowskiego władcy Śląska, Henryka Brodatego, założyciela klasztoru żeńskiego zakonu cystersów w Trzebnicy, gdzie zresztą znajduje się jej grobowiec. Stała się ona największą dobrodziejką ludu polskiego w XIII wieku na terenie ziem zachodnich należących wówczas do Polski piastowskiej, na Śląsku. Jest rzeczą niemal historycznie stwierdzoną, że nauczyła się mowy polskiej, by móc służyć prostemu ludowi polskiemu.

Po jej śmierci i szybkiej kanonizacji do miejsca jej wiecznego spoczynku w Trzebnicy, której nadano później nazwę „Trebnitz“, płynęły bez przerwy tłumy polskiego i niemieckiego ludu. Dziś jeszcze robią to tysiące i tysiące. Nikt nie zarzuca naszej wielkiej świętej, że była niemieckiego pochodzenia. Przeciwnie, uważa się ją na ogół, pomijając garstkę nacjonalistycznych fanatyków, za najlepszy wyraz chrześcijańskiego budowania pomostu między Polską i Niemcami.

Cieszy nas, że i po niemieckiej stronie często słyszy się ten pogląd. Pomost między narodami budować mogą właśnie najlepiej ludzie święci, którzy mają tolerancyjne poglądy i czyste ręce. Nie dają oni do zabrania czegokolwiek bratniemu narodowi — ani języka czy obyczajów, ani ziemi, ani dóbr materialnych. Przeciwnie, przynoszą mu najbardziej wartościowe dobra kulturalne i oddają zazwyczaj najcenniejsze co sami posiadają: siebie samych. I w ten sposób rzucają nasienie swej własnej osobowości na żyzny grunt nowej ziemi sąsiedniego, misyjnego kraju. Nasienie to przynosi, zgodnie ze słowami Zbawiciela, stokratne owoce i to na całe pokolenia. Tak właśnie patrzymy w Polsce na świętą Jadwigę Śląską, tak patrzymy na wszystkich innych misjonarzy męczenników; którzy przybywszy z krajów położonych na zachodzie działali w Polsce, ze wspomnianym już apostołem-męczennikiem Adalbertem — Wojciechem z Pragi na czele. Na tym właśnie polega również najgłębsza różnica między prawdziwą chrześcijańską misją niesienia kultury i tak zwanym — słusznie dziś cieszącym się złą sławą — kolonializmem.

Po roku 1200, gdy chrystianizacja

Polski postępowała naprzód wśród ludzi i instytucji, ziemia ta wydała własnych polskich świętych.

Już w XII wieku biskup krakowski Stanisław-męczennik został zamordowany przed ołtarzem przez niepokahowanego w wybuchach gniewu króla Bolesława Śmiałego. (Król sam zmarł następnie na wygnaniu, jako świątobliwy pokutnik w jednym z klasztorów Górnej Austrii.) Przy grobie Świętego Stanisława w królewskiej katedrze w Krakowie powstała majestatyczna pieśń ku jego czci, śpiewana dziś wszędzie w Polsce po łacinie: „*Gaude Mater Polonia, prola foecunda nobili...*“

Następnie ukazała się na firmamencie potrójna gwiazda polskich świętych z rodziny Odrowążów, z starego rodu, który przez wieki miał swą siedzibę nad Odrą na Górnym Śląsku. Największy spośród nich to święty Hyacenty, po polsku Jacek, apostoł dominikański, który krokami olbrzymia przemierzył całą wschodnią Europę od Moraw aż do Bałtyku, od Litwy aż po Kijów. Krewny jego, błogosławiony Czesław, również dominikanin, który bronił ówczesnego Wrocławia przed Mongołami, a w dzisiejszym Wrocławiu spoczywa w grobowcu w nowoodbudowanym kościele świętego Wojciecha, jest czczony przez pobożnych mieszkańców, jako patron miasta, odbudowującego się z gruzów roku 1945.

W Krakowie spoczywa wreszcie błogosławiona Bronisława, według tradycji siostra błogosławionego Czesława, norbertanka ze Śląska.

Coraz więcej gwiazd ukazują się na firmamencie świętych: W Sączu błogosławiona Kunegunda. W Gnieźnie Bogumiła i błogosławiona Jolanta, na Mazowszu Władysław, na zamku królewskim w Krakowie świątobliwa królowa Jadwiga, nowa polska Jadwiga, która czeka na kanonizację. Później doszli nowi święci i męczennicy: święty Stanisław Kostka, nowicjusz Jezuitów w Rzymie, święty Jan Kanty, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, święty Andrzej Bobola, męczennik we wschodniej Polsce, kanonizowany w roku 1938, oraz inni święci, aż po franciszkanina o. Maksymiliana Kolbe, męczennika obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, który dobrowolnie oddał swe życie za swych współbraci. Obecnie czeka w Rzymie na kanonizację czy beatyfikację około dwudziestu polskich kandydatów. Naród nasz otacza czcią swych świętych i uważa ich za najbardziej szlachetny owoc, jaki wydać może kraj chrześcijański.

UNIwersytet Krakowski

Uniwersytet Krakowski był obok Pragi pierwszym tego rodzaju na całym obszarze wschodnio-europejskim. Założony w roku 1364 przez króla Ka-

zimierza Wielkiego, był przez wieki ośrodkiem promieniowania nie tylko polskiej, ale również ogólnoeuropejskiej kultury, w najlepszym tego słowa znaczeniu, na wszystkie kierunki. W XV i XVI wieku, gdy Śląskie ziemie piastowskie przestały należeć do Królestwa Polskiego, studowało i nauczano w Krakowie tysiące studentów i profesorów z Wrocławia, Raciborza, Gliwic, Nysy, Opola i wielu innych miast Śląska. Nazwiska ich i nazwy miejsc ich urodzenia figurują w polskofacimskim narzeczu w starych rejestrach uniwersytetu. Również Mikołaj Kopernik jest tam wymieniony po nazwisku. Studiował w Krakowie astronom u profesora Marcina Bylicy.

Uniwersytet krakowski dał kulturze europejskiej setki uczonych najwyższej naukowej klasy: matematyków, fizyków, lekarzy, prawników, astronomów, historyków i filozofów kultury. Znajduje się między nimi również słynny Paweł Włodkowiec, rektor uniwersytetu krakowskiego, który podczas Soboru w Konstancji z całą otwartością i najwyższym autorytetem uczonemu głosił niesłychaną na owe czasy religijną i ludzką tolerancję i z wielką osobistą odwagą reprezentował pogląd, że poganiańskie ludy wschodnio-europejskie nie są dziką zwierzyną, którą należy i wolno nawracać ogniem i mieczem. Mają one bowiem naturalne prawa ludzkie, tak samo jak chrześcijanie.

KRZYŻACY I PRUSACY

Włodkowiec był niejako klasycznym wyrazem tolerancyjnej wolnościowej myśli polskiej. Jego tezy zwracały się przeciwko niemieckim rycerzom zakonnym, tak zwanym Krzyżakom, którzy wówczas na słowiańskiej północy oraz w krajach pruskich bałtyckich ogniem i mieczem nawracali tamtejszych tubylców. Stali się oni w ciągu wieków straszliwym i w najwyższym stopniu kompromitującym ciężarem dla europejskiego chrześcijaństwa, dla jego symbolu — Krzyża, a także i dla Kościoła, w imię którego występowali. I dziś jeszcze po wielu pokoleniach i wiekach określenie Krzyżak jest dla każdego Polaka budzącym przestraszanie zwłaskiem, i niestety, od dawien dawna aż nazbyt często identyfikuje się je z niemieczyzną.

Z terenów, na których osiedlili się Krzyżacy zrodzili się następnie Prusacy, którzy doprowadzili do powszechnej niesławy wszystkiego co niemieckie na ziemiach polskich. W dziejowym rozwoju reprezentują ich następujące nazwiska: Albrecht Pruski, Fryderyk tak zwany Wielki, i wreszcie Hitler, jako punkt szczytowy.

Fryderyk II uchodzi w oczach całego narodu polskiego za głównego inicjatora rozbiorów polskich i to niewątpli-

wie nie bez racji. Przez 150 lat wielomilionowy naród polski żył w zaborach dokonanych przez trzy ówczesne mocarstwa: Prusy, Rosję i Austrię, aż mógł wreszcie w roku 1918, w chwili zakończenia pierwszej wojny światowej, znowu powstać z grobu. Do ostatnich granic osłabiony rozpoczął wtedy na nowo swą egzystencję państwową.

STRASZNA NOC OKUPACJI

Po okresie krótkiej, trwającej około 20 lat niepodległości (1918-1939) rozpętało się bez jego winy nad narodem polskim coś, co eufemistycznie nazywa się drugą wojną światową, co jednak było dla nas, Polaków, pomyślane jako akt totalnego zniszczenia i wykorzenienia. Nad naszą biedną ojczyznę zapadła straszna, ciemna noc, jakiej nie doznaliśmy od pokoleń. Powszechnie nazywa się ją u nas „okresem niemieckiej okupacji“ i jako taka weszła do polskiej historii. Wszyscy byliśmy bezsilni i bezbronni. Kraj pokryty był obozami koncentracyjnymi w których dniem i nocą dymiły kominy krematoriów. Ponad 6 milionów obywateli polskich, w tym większość pochodzenia żydowskiego, zapłaciło za ten okres okupacji swym życiem. Kierownicza warstwa inteligencji została po prostu zlikwidowana. Dwa tysiące księży i pięciu biskupów (jedną czwartą ówczesnego Episkopatu polskiego) znalazło śmierć w obozach. Setki księży i dziesiątki tysięcy osób cywilnych zostało rozstrzelanych na miejscu w chwili rozpoczęcia wojny (w samej tylko diecezji chełmińskiej 278 księży). Diecezja wrocławska straciła w czasie wojny 48 procent księży, diecezja chełmińska 47 procent. Wielu wysiedlono. Zamknięto wszystkie szkoły średnie i wyższe. Zlikwidowano seminaria duchowne. Każdy niemiecki mundur, nie tylko SS, napawał Polaków upiornym strachem i stał się nadto przedmiotem nienawiści do Niemców. Wszystkie rodziny polskie musiały oplakiwać swe śmiertelne ofiary.

Nie chcemy wyliczać wszystkiego, aby na nowo nie rozrywać niezagojonych ran. Jeśli przypominamy tę straszna noc, to po to, aby nas łatwiej było zrozumieć, nas samych i nasz dzisiejszy sposób myślenia. Staramy się zapamiętać. Mamy nadzieję, że czas, ten wielki Boski Kairos, zwolna zagoi te duchowe rany. Po wszystkim, co stało się w przeszłości, niestety w tak świeżej przeszłości, trudno dziwić się, że cały naród polski odczuwa ciężar elementarnej potrzeby bezpieczeństwa i że odnosi się ciągle jeszcze z nieufnością do swych najbliższych sąsiadów na Zachodzie. Ta duchowa postawa jest można powiedzieć naszym problemem pokoleń, który oby — daj Boże — prze-

stał przy dobrej woli istnieć, bo przestać musi. W najcięższych chwilach politycznych największych duchowych udrękach narodu, w jego tysiącletnim rozdarciu, Kościół katolicki i Święta Dziewica były zawsze dla niego kotwicą ratunku i symbolem narodowej jedności, podobnie jak była nim polska rodzina. Pod znakiem tych symbolów — z orłem po jednej, a Matką Boską po drugiej stronie sztandarów — Polacy stawali do walki o wolność w czasach swego uciemięczenia. Ich dewizą było zawsze: „Za waszą wolność i naszą“.

Oto jest — w ogólnym zarysie — obraz tysiącletniego rozwoju kultury polskiej ze szczególnym uwzględnieniem polsko-niemieckiego sąsiedztwa. Obciążenia obustronnych stosunków jest ciągle jeszcze wielkie, a potęguje je „gorące żelazo“ tego sąsiedztwa.

GRANICA NA ODRZE I NYSIE

Polska granica zachodnia na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemiec gorzkim owocem ostatniej wojny masowego zniszczenia, podobnie jak było nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (Stało się to na między-aliancki rozkaz zwycięskich mocarstw w Poznaniu w 1945 r.) Wielka część ludności opuściła te tereny ze strachu przed frontem rosyjskim i uszła na zachód. Dla naszej ojczyzny, która wyszła z tego masowego mordowania nie jako zwycięskie, lecz jako krańcowo wyczerpane państwo, jest to sprawą egzystencji (nie sprawą „większego obszaru życiowego“). Chyba, że chcieliby ponad trzydziesto-milionowy naród wciśnąć do korytarza jakiegoś „Generalnego Gubernatorstwa“ z lat 1939-45, obszaru bez ziem zachodnich, ale i bez ziem wschodnich z których od roku 1945 miliony Polaków musiały odpiąć na tereny zachodnie. Dokąd mieli pójść, skoro tak zwane Generalne Gubernatorstwo razem ze stolicą Warszawą, leżało w ruinach i gruzach? Fale zniszczenia przeszły w czasie ostatniej wojny nie tylko raz — jak w Niemczech — przez kraj, lecz od 1914 r. wiele razy i to w jedną i drugą stronę, jak apokaliptyczni rycerze. Pozostawiały za każdym razem ruiny i gruzy, nędzę, choroby, zarazy, łzy, śmierć i rosnące kompleksy odwetu i nienawiści.

WARUNEK DIALOGU

Nie bierzcie nam za złe, kochani bracia niemieccy, wyliczenia tego co stało się w ostatnim okresie naszego tysiąclecia. Ma to być nie tyle oskarżeniem, ile raczej własną obroną. Wiemy doskonale, jak wielki odłam ludności niemieckiej stał przez lata całe pod nadludzkim narodowo-socjalistycznym

naciskiem, znany ogromny ucisk owego czasu, na jaki narażeni byli prawowierni i pełni poczucia odpowiedzialności biskupi niemieccy, by wymienić tylko nazwisko kardynała Faulhabera. Wiadomo nam o męczennikach Białej Róży, o bojownikach 20 lipca, wiadomo nam także, że wielu laików i księży ofiarowało swe życie (Lichtenberg, Metzger, Klausener i wielu innych) i że tysiące Niemców jako chrześcijanie lub komuniści dzieliło w obozach koncentracyjnych los naszych polskich braci.

I mimo tego wszystkiego, mimo tej prawie beznajdziejnej przeszłości, a właściwie właśnie dlatego, czcigodni Bracia, wołamy: próbujmy zapomnieć! Bez polemik, bez dalszej zimnej wojny, ale poprzez rozpoczęcie dialogu, do jakiego zmierza wszędzie i Sobór i papież Paweł VI. Jeśli po obu stronach znajdzie się dobra wola, a w to nie trzeba chyba wątpić, to poważny dialog musi się udać i przynieść dobre owoce, mimo wszystkiego, mimo owego „gorącego żelaza“.

Właśnie w czasie Soboru wydaje nam się to nakazem chwili, abyśmy zaczęły ów dialog na pasterskiej platformie biskupiej i to bez ociągania się, abyśmy się nawzajem poznali, nasze obyczaje ludowe, kult religijny i sposób życia, tkwiący korzeniami w przeszłości i stanowiący wynik owej przeszłości kulturalnej. Staraliśmy się przygotować wraz z całym polskim ludem Bożym do uroczystości tysiąclecia przez tak zwaną Wielką Nowennę pod patronatem Przenajświętszej Maryi Panny. Przez dziesięć lat — od 1957 do 1965 — używaliśmy w myśl słów „per Mariam ad Jesum“ kazalnie w całej Polsce, a także całego duszpasterstwa dla zajmowania się ważnymi współczesnymi problemami duszpasterskimi i zadaniami społecznymi, opieką nad młodzieżą, budową społeczną w imię sprawiedliwości i miłości, niebezpieczeństwami socjalnymi, badaniem sumienia narodowego, małżeństwem i życiem rodzinnym, katechizacją itd.

Cały wierzący naród brał dalej udział i to bardzo żywy w Soborze poprzez modlitwy i dzieła pokutne. W czasie obrad soborowych odprawiono we wszystkich parafiach błagalne nabożeństwo. Święty obraz Matki Boskiej, jak i konfesjonały balaski przy których komunikowano w Częstochowie, były przez całe tygodnie obleżone przez delegacje parafialne z całej Polski, które przez osobistą ofiarę i modlitwę chciały pomóc Soborowi. Wreszcie w tym ostatnim roku Wielkiej Nowenny oddaliśmy się wszyscy pod opiekę Matki Boskiej: biskupi, księża, zakonnice i zakonnicy jak i wszystkie warstwy naszego wierzącego narodu. Przed ogromnymi niebezpieczeństwami, tak mo-

ralnej jak i socjalnej natury, które zagrażają duszy, ale i biologicznej egzystencji naszego narodu, może nas tylko uchronić pomoc i łaska naszego Zbawiciela, której chcemy się doprosić za pośrednictwem Jego Matki, Przenajświętszej Panny. Pełni dzieciecej ufności rzucamy się w Ich ramiona. Tylko tak możemy być wewnętrznie wolni, jako oddane na służbę, ale jednocześnie wolne dzieci — nawet jako „niewolnicy Boga“, jak to powiedział święty Paweł.

MILLENNIUM

Prosimy Was, katolicycy basterze narodu niemieckiego, abyście na własny sposób obchodzili z nami nasze chrześcijańskie Millennium, w formie modlitwy czy też dnia temu poświęconego. Za każdy taki gest będziemy wam wdzięczni. Prosimy Was też, abyście

★ ★ ★

Jesienią ubiegłego roku, z okazji 20-lecia powrotu w granice Polski jej starych ziem piastowskich położonych nad Odrą, Nysą i Bałtykiem m.in. odbył się cały cykl uroczystości kościelnych w diecezjach warmińskiej, gorzowskiej, opolskiej jak również w archidiecezji wrocławskiej. W czasie tych uroczystości biskupi polscy na czele z Kardynałem Wyszyńskim wygłosili kazania, których wspólnym motywem było stwierdzenie „Jesteśmy w tym samym miejscu co przed laty tysiącem“.

Prasa reżymowa podkreślała, że cały naród uważa obecną granicę naszą na zachodzie za sprawiedliwą. Stanowisko Kościoła — cytuję za czasopiśmie „WTK“ — tak zostało ocenione: „Kościół katolicki w Polsce, jego hierarchia, całe duchowieństwo, całą społeczność katolicka zajmują w tej tak żywotnej dla narodu sprawie stanowisko jednolite pokrywające się w pełni ze znany powszechnie stanowiskiem rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej“.

W trzy miesiące później jakież gwałtowne wytrzeźwienie ze złudzeń: stanowisko Kardynała Wyszyńskiego a z nim całej hierarchii kościelnej w sprawie naszej granicy zachodniej już nie jest zgodne ze stanowiskiem narodu, biskupi już nie uznają „państwa polskiego jako państwa zwycięskiego“, a tym samym jego praw do ziem na zachodzie, już przekraczają granicę miłosierdzia i chcą przebaczać wro-

przekazali nasze pozdrowienia i słowa wdzięczności niemieckim braciom ewangelickim, którzy wraz z nami i Wami starają się znaleźć rozwiązanie trudności.

W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy ręce do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, oraz udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie. A jeśli, niemieccy biskupi i ojcowie soborowi, bratersko ujmiecie nasze ręce, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millennium w sposób jak najbardziej chrześcijański. Zapraszamy Was na te uroczystości serdecznie do Polski.

Niech tym kieruje miłosierny Zbawiciel i Maryja Panna, Królowa Polski, Regina Mundi et Mater Ecclesiae.

gom, już dali „rozgrzeszenie dla agenturalnej działalności na korzyść Niemiec“ niektórym jednostkom na emigracji...!

Żeby nikt nie miał wątpliwości, jakie jest „prawdziwe“ oblicze episkopatu polskiego, puszcza się w ruch cały aparat informacyjny w kraju i za granicą, wykrzykuje hałaśliwie na prawo i lewo w różnych językach zrewidowaną prawdę o polskich biskupach. Przydałby się może nawet jaki proces pokazowy, aby dać upust słusznemu gniewowi narodu, ale to już nie czasy stalinowskie, choć kto wie...

Człowiek w wolnym świecie, a szczególnie Polak żyjący poza Krajem, zastanawia się, jaki jest prawdziwy cel tej napaści na Kościół w Polsce. Nie wydaje się bowiem, aby to był tylko objaw funkcjonowania macchiawelizmu komunistycznego w sztuce rządzenia społeczeństwem, polegającego na okresowym zwalnianiu i przykręcaniu śruby. Sądząc z rozgłosu nadanego tej sprawie, można przypuszczać, że reżym miał na oku jakiś cel doraźny. Może chodziło o utracenie projektu wizyty papieża do Polski, może o coś innego.

To jest pewne, że krok ten wywołał jak najgorsze wrażenie na zachodzie. Dała temu wyraz prasa w swych komentarzach, określili niedwuznacznie swe stanowisko katolicy i ludzie innych wyznań.

Była też okazja do porównania:

nie tak dawno najwyższy zwierzchnik kościoła anglikańskiego w W. Brytanii wystąpił — jak pamiętamy — z oświadczeniem całkowicie sprzecznym z linią polityczną rządu. Czynniki oficjalne przypomniły społeczeństwu, że nie podzielają poglądów Arcybiskupa Ramsey'a, ale nikomu nie przyszło na myśl stosować jakiegokolwiek rodzaju szykany czy represji. Nie zapomnieliśmy także iż słynny „czerwony dziekan“ katedry canterbuskiej Hewlitt, komunista z krwi i kości cieszył się pełną swobodą w państwie o ustroju diametralnie przeciwnym, mógł podróżować dokąd tylko zapragnął, głosić swoje poglądy i sprawować bez uszczerbku swój urząd kapłański aż do dnia, kiedy sam z powodu podeszłego wieku zdecydował się wycofać. Dwa światy.

Nie sądzimy, aby w Warszawie łudzono się, że społeczność polska za granicą przyjmie za dobrą monetę nowy atak na Kościół. Ogromna ilość protestów na zebraniach publicznych i w prasie nie pozostawia pod tym względem najmniejszej wątpliwości.

Władze SPK ogłosiły oświadczenie następującej treści:

„Wobec odmowy ze strony reżymu komunistycznego w Polsce udzielenia paszportu Prymasowi Polski Kardynałowi Wyszyńskiemu, Zarząd Federacji Światowej Polskich Kombatantów oraz Prezydium Rady Głównej pragną napiętnować w oczach wszystkich Polaków ten nowy akt represji wobec Kościoła. Jakiegokolwiek cele przyświecały komunistom polskim w tej nowej prowokacji w stosunku do Kościoła i milionów wiernych, to jedno nie ulega wątpliwości, że krokiem tym dali zarówno opinii wolnego świata jak i Polakom za granicą znakomitą lekcję trzeźwości w ocenie prawdziwego oblicza obecnych władców Polski“. Podobne wypowiedzi ogłosiły ognia Stowarzyszenia w 20 krajach świata.

Zanotować warto, że wszystkie nieomal organizacje polskie wolnym świecie pospieszyły z uchwaleniem rezolucji piętnujących uniemożliwienie przez reżym komunistyczny przybycia Prymasa Polski na inaugurację Roku Milenijnego w Rzymie.

BEZPRZYKŁADNA KAMPANIA OSZCZERSTW

Bezprzykładna kampania szkalowań i oszczerstw, rozpętana przez nadwiślańską kompartię i jej „katolickie“ przybudówki przeciwko kardynałowi Wyszyńskiemu i polskiemu episkopatowi — wprowadziła w ostupienie cały cywilizowany świat. Ale dla uważnych obserwatorów tego, co się w Polsce „ludowej“ od dłuższego czasu dzieje — nie była zaskoczeniem. Z Kraju bowiem od wielu miesięcy nadchodziły wiarogodne wiadomości, że reżim szykuje się do generalnej rozprawy z Prymasem Polski, przywódcą duchowym całego narodu, że szuka tylko jakiegokolwiek pretekstu, by uderzyć w Kościół.

Tym pretekstem stało się orędzie polskich biskupów do biskupów niemieckich.

Pojednawczy ton orędzia oraz dołączony apel o „otwarcie dialogu“, poprzedzony ogólnym zarysem tysiącletnich dziejów „Polski Chrześcijańskiej ze szczególnym uwzględnieniem polskoniemieckiego sąsiedztwa“ — wykorzystane zostały przez reżim dla wszczęcia kampanii „w obronie Ziemi Zachodnich i Północnych“, które w orędziu polskich biskupów były rzekomo „przedmiotem przetargu“.

Początkowo nikt w Polsce nie znał dokładnej treści orędzia. Jak bowiem wielokrotnie podkreślał kardynał Wyszyński, episkopat nie dysponuje w Kraju żadnym katolickim pismem, nie mógł więc nigdzie orędzia opublikować. Kompartia natomiast zezwoliła na jego ogłoszenie jedynie w mało komu znanym „Forum“, fałszując zresztą jego treść, dostosowując ją do zamierzonej kampanii.

W tym stanie rzeczy, reżim był przekonany, że oskarżenie hierarchii kościelnej o zdradę interesów narodowych wywoła w Kraju powszechne oburzenie. Toteż propaganda komunistyczna od razu na tę „zdradę“ położyła główny nacisk. Na różnych protestacyjnych zebraniach, organizowanych przez aparat kompartii, wołano:

„Nie pozwolimy, aby nasze Ziemi Zachodnie i Północne były przedmiotem przetargu. W czym imieniu ten list napisano? Na pewno nie w imieniu 30 milionów Polaków nie dopuszczających nawet myśli o dyskusji na temat naszych granic“.

A „Trybuna Ludu“, główny organ kompartii, zabierając głos zaraz po „Życiu Warszawy“, swoją sześciostopaltową napaść na Prymasa i polskich biskupów kończyła tymi słowy:

„Granice na Odrze i Nysie i połączenie Ziemi Zachodnich i Północnych z resztą Polski utrwalone zostały olbrzymią i bezgranicznie ofiarną pracą całego społeczeństwa, utrwalone zostały braterskim sojuszem ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi. Również cały niemal świat uznaje nieodwracalność tych przemian. Jednolita jest postawa naszego narodu. Kto i w imię czego ma prawo z tej jednomyślności się wylamywać? Odpowiedź brzmi: nikt tego prawa nie ma i nikomu go naród polski ani wczoraj nie udzielał, ani jutro nie udzieli“.

Oslawiony ZBoWiD włączył się oczywiście do oszczerczej kampanii. Jego sekretarz generalny, Kazimierz Rusinek, na łamach warszawskiej „Polityki“ dowodził, że orędzie polskich biskupów nie tylko „obraża prawo międzynarodowe i istniejący stan prawny“, lecz także „obraża dumę i godność narodu“ oraz „godzi w oficjalne stanowisko rządu polskiego“. I aby tym większe wywołać oburzenie, dodawał, że orędzie „godzi w interesy nas, byłych więźniów obozów hitlerowskich“.

W ogólnym proteście przeciwko „zdradzie interesów narodowych“ nie mogło, rzecz prosta, zabraknąć głosu tzw. „lewicy katolickiej“, której ugrupowania nie są niczym innym jak tylko przybudówkami komunizmu: PAX jest w dyspozycji Moskwy, „frankiści“ są na usługach polskiej kompartii, a ZNAK, ciesząc się uznaniem wielu kół emigracyjnych — już dawno zdobył zaufanie Gomulki.

Każdy neofita wykazuje ogromną gorliwość. A szczególnie neofita polityczny. Toteż Jerzy Zawiejski, przedstawiciel ZNAKU, pierwszy wyskoczył z „oświadczeniem“ w sprawie orędzia. Podczas generalnej debaty nad planem gospodarczym i budżetowym w reżimowym „sejmie“ Zawiejski mówił o... orędziu. Żałował, że „nie znaleziono odpowiednich sposobów, aby wystosowując orędzie do biskupów niemieckich na czas i we właściwej formie powiadomić o tym Rząd Polski“. Podkreślał z naciskiem, że „cała polska opinia publiczna wraz z Rządem i Episkopatem powinna dolożyć starań, aby zaistniałych faktów i polemik nie interpretowano w świecie jako jakiegokolwiek podziatu w Polsce na tle naszych najżywniejszych spraw...“.

Ale PAX oficjalnie nie zabierał jeszcze w tej sprawie głosu. Wiedział bo-

wiem, że zarzuty stawiane biskupom polskim odnośnie granic zachodnich nie trzymają się po prostu kupy. Przecież właśnie prasa paxowska szeroko rozpowszechniła list pasterski Prymasa i biskupów polskich z dnia 23 czerwca 1965, wydany z okazji 20-lecia zorganizowania polskiego życia kościelnego na Ziemiach Zachodnich i Północnych. W liście tym czytamy co następuje:

„W poczuciu widomej interwencji Bożej stoimy tutaj dziś, zachowując jednolite stanowisko wszystkich dzieci narodu polskiego, które bez względu na swoje orientacje polityczne czy światopoglądowe uważają, że Ziemi Zachodnie w myśl przyrodzonej sprawiedliwości są nieodłącznie związane z Macierzą. Tak myślimy i to wyznajemy! Dajemy temu świadectwo prywatnie i publicznie, i gotowi jesteśmy nawet życie swe ofiarować za ład i porządek, za znak sprawiedliwości, dany przez Boga miłości i pokoju“.

Takie jest stanowisko polskiego episkopatu. Na polecenie kardynała Wyszyńskiego ten list pasterski został odczytany we wszystkich polskich kościołach w dniu 15 sierpnia 1965. PAX więc był przekonany, że kłamliwa propaganda skostniałego aparatu kompartii prędzej czy później skończy się wielką kompromitacją reżimu. W czym innym widział zresztą wielkie niebezpieczeństwo wynikające z orędzia polskich biskupów. Niebezpieczeństwo dla reżimu i dla Moskwy.

Oto bowiem zgodnie z wolą całego narodu, Prymas Polski i polscy biskupi raz jeszcze przypomniaли o przynależności Polaków do chrześcijańskiej rodziny narodów europejskich. A w liście do biskupów francuskich, przesłanym równocześnie z orędziem do biskupów niemieckich, stwierdzali między innymi:

„W zespole narodów, Polska zdaje się była powołana do dawania wyjątkowo mocnego świadectwa swej katolickiej wierności. Nazywano ją, nie bez słuszności, „przedmurzem chrześcijaństwa“. Wystarczy przyjrzeć się jej granicom w ciągu wieków, by stwierdzić, że zbiegają się one, zwłaszcza na wschodzie, z granicami Kościoła katolickiego. Każde cofnięcie się Polski dawalo w wyniku zakorzenianie się islamu lub schizmy, narzucanych siłą narodowi, który stawał się jej pierwszą, bolesną ofiarą“.

PAX pierwszy dojrzał niebezpieczeństwo kryjące się w tym stwierdzeniu i

(Dokończenie na str. 45)

CO DZIŚ ZOSTAŁO Z KARTY

W dniu 10 grudnia ub. roku minęło 17 lat od uchwalenia przez ONZ „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka“, zwanej popularnie Kartą Praw Człowieka. W związku z tym, prasa całego świata poświęciła rocznicy mnóstwo artykułów, omawiających znaczenie Karty, jako dokumentu, zawierającego przykazania, zredagowane przez czołowych humanistów współczesnych, a mierzące do zapobieżenia barbarzyństwu, których byliśmy świadkami nie tylko w okresie minionej wojny, ale i po upływie 17 lat od czasu obowiązywania fundamentalnych praw człowieka, w szeregu państw, członków ONZ.

Inicjatywa wydania Karty powstała prawie bezpośrednio po utworzeniu w 1945 roku nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jednak prace nad jej zredagowaniem, ciągnęły się w komisjach przez przeszło dwa lata. Wydawało się wtedy, że Karta będzie miała zapewnioną jednogłośnieść. Stało się jednak inaczej. Z ogólnej liczby 56 delegatów, obecnych na posiedzeniu ogólnym, 48 głosowało za jej przyjęciem, zaś 8 wstrzymało się od głosowania. Byli to delegaci, reprezentujący: Rosję sowiecką, Białoruś, Ukrainę, Jugosławię, Polskę, Czechosłowację, Arabię Saudyjską i Południową Afrykę.

W czasie ostatecznej debaty, która wyprzedziła głosowanie, Andrzej Wyszynski, delegat sowiecki, znany dobrze, b. prokurator generalny i ślepy wykonawca teorii represji Stalina, usiłował przekonać delegatów, że przyjęcie Karty, w brzmieniu uchwalonym przez komisję, stanowić będzie w praktyce ingerencję ONZ w sprawy wewnętrzne państw suwerennych. Gdy jednak zauważył, że jego rozumowanie nie wywarło żadnego wpływu na większość delegatów, wówczas domagał się odroczenia obrad. Gdy i to się nie powiodło, wówczas wypuścił ze smyczy, delegata Polski ludowej, Suchego-Katza, który dla przypodobania się miśtrzowi, napadł w gwałtowny sposób na Stany Zjednoczone i Kanadę. Piejąc się ze złości, zarzucił St. Zjednoczonym dyskryminację wobec milionów ich obywateli oraz udzielanie pomocy faszystowskim organizacjom w Niemczech zachodnich. W Kanadzie zaś, wołał Katz, stosuje się wobec Polaków-emigrantów, pracę niewolniczą, a w ogóle ludność napływowa żyje tam w quasi niewoli.

Istotnym powodem reakcji przeciw Kartcie praw człowieka, o czym pozostali delegaci dobrze wiedzieli, była sytuacja, jaka w 1948 roku panowała nagminnie w państwach, które przed przyjęciem Karty się broniły, w szczególności w Sowietach i państwach ich orbity, gdzie niezliczone tysiące oby-

wateli przebywało w obozach pracy przymusowej. Wystarczy przypomnieć, jako przykład Polskę ludową, gdzie nie tylko sądy, ale specjalne komisje do walki ze szkodnictwem gospodarczym, wysyłały, bez wyroku sądowego, tysiące Polaków do pracy przymusowej, głównie do kopalń śląskich, gdzie ginęli i tracili zdrowie, pilnowani przez żołnierzy korpusu bezpieczeństwa wewnętrznego. Tym się tłumaczył wybuch Suchego-Katza, wynagrodzonego później stanowiskiem ambasadora w Indiach, a obecnie osadzonego na martwym torze, bez widoków objęcia jakiegokolwiek placówki dyplomatycznej.

GLÓWNE POSTANOWIENIA KARTY PRAW CZŁOWIEKA

Z 30 artykułów Karty, następujące o znaczeniu fundamentalnym zasługują na szczególne podkreślenie. Tak np. w słowie wstępnym, Karta podkreśla, że uznanie wrodzonej godności oraz równych i nieprzenośnych praw wszystkim członków ludzkiej rodziny, stanowi podstawę wolności, sprawiedliwości i pokoju światowego. Za to nieuszanowanie i pogarda dla praw człowieka, były powodem aktów barbarzyństwa, które oburzyły sumienia całej ludzkości, ale jednocześnie powstało pragnienie zapoczątkowania nowej ery, w której jednostka ludzka winna korzystać z wolności słowa i wyznania i być wolna od strachu i niedostatku. Stąd dla zapobieżenia uciekaniu się jednostki ludzkiej do buntu, jako ostatecznego środka przeciw tyranii, należało zabezpieczyć prawa człowieka w drodze poszanowania przez państwa wymienionych w Kartcie postanowień.

Wymienione w dalszym ciągu artykuły postanawiają, że:

— Każda jednostka ludzka przychodzi na świat wolna i równa w godności i prawach, obdarzona rozumem i sumieniem i winna dążyć do wspólnego życia z innymi w duchu braterstwa,

— nikt nie może być trzymany w niewoli lub poddaństwie,

— nikt nie może być poddany torturom albo surowemu i nieludzkiemu traktowaniu,

— nikt nie może być samowolnie aresztowany, więziony albo skazany na deportację,

— nikomu nie wolno ingerować w życie prywatne i rodzinne obywatela; Wolny od ingerencji winien być jego dom i jego korespondencja. Każdy

obywatel musi mieć ustawowo zagwarantowane prawo obrony przeciw takiej ingerencji i atakom na jego osobę.

— każdy, kogo posądzono o popełnienie przestępstwa karnego, musi być uważany za niewinnego tak długo, dopóki wina nie została mu udowodniona, zgodnie z prawem, na rozprawie publicznej, na której musi mieć zagwarantowane wszelkie środki obrony,

— każdy człowiek musi mieć prawo swobodnego poruszania się oraz zamieszkania w obrębie granic państwa,

— każdy obywatel musi mieć prawo opuszczenia każdego kraju, nie wyłączając kraju własnego i prawo powrotu do swego kraju,

— nikt nie może być pozbawiony prawa własności,

— każdy obywatel musi mieć zagwarantowane prawo myśli, sumienia i wyznania, które może wyrażać przez nauczanie, praktykowanie i przestrzeganie zawartych w jego wyznaniu zasad,

Dalsze artykuły zapewniają człowiekowi swobodę wyrażania swej opinii i możliwość otrzymywania informacji bez względu na granice i bez ingerencji. Każdy winien mieć prawo do swobodnego zrzeszania się, a nikogo nie wolno zmuszać do przystąpienia do pewnych tylko organizacji. Wola ludności powinna być wyrażana w wyborach czystych, przeprowadzonych w rozumnych okresach. Wybory winny być powszechne, a głosowanie tajne. Każdy obywatel ma prawo uczestniczenia w rządach swego kraju albo bezpośrednio lub przez swobodnie wybranych przedstawicieli. Każdy musi mieć prawo do kształcenia się, zaś rodzice winni mieć zagwarantowane pierwszeństwo w wyborze rodzaju wykształcenia dziecka. Każdy musi mieć zapewnione prawo tworzenia i przystąpienia do związków zawodowych, a to celem obrony swych praw. Każdy musi mieć zapewnione prawo do pracy, godziwego zarobku, opieki na wypadek bezrobocia, choroby i starości.

SOWIETY OBSTAJĄ PRZY SWEJ TEORII

Wspomnieliśmy już wcześniej, że już w czasie przed uchwaleniem Karty praw człowieka, Sowiety, zresztą ze zrozumiałych względów, sprzeciwiały się projektowi. Uporczywie stały na

ATLANTYCKIEJ

stanowisku, że prawa człowieka należy pozostawić ustawodawstwu krajowemu. Sprawa wypłynęła jeszcze dwukrotnie tj. na 21-szej sesji ONZ, w marcu 1950 r. oraz na 39-tej sesji Rady ekonomicznej i socjalnej w lipcu 1950 roku. Na ostatnio wymienionej sesji, delegat Kostaryki, wniósł wniosek o uchwalenie rezolucji tworzącej stanowisko wysokiego komisarza dla spraw praw człowieka, któremu miał podlegać nadzór nad wykonaniem postanowień Karty przez członków ONZ. Jednak tu delegat sowiecki znowu sprzeciwił się rezolucji i uzasadniał, że takiego stanowiska nie możnaby powierzyć jednej tylko osobie. Dał do zrozumienia, że przysłowiowa już sowiecka „Trójka“ byłaby najlepszym rozwiązaniem.

Na tej sesji postanowiono, aby rok 1968, tj. w dwudziestolecie uchwalenia Karty, obchodzono w całym świecie, jako rok Praw Człowieka.

EUROPEJSKA KOMISJA PRAW CZŁOWIEKA I JEJ TRYBUNAŁ

W dniu 4 listopada 1950 r., delegaci państw, zrzeszonych w Radzie europejskiej, zebrani w Rzymie, zawarli, opartą na Kartie Praw Człowieka ONZ, specjalną Konwencję „W sprawie obrony praw i fundamentalnych wolności człowieka.“ Konwencję podpisało 15 państw, (łącznie z rządem Saary), zaś 28 listopada tego samego roku, przystąpiły do Konwencji dodatkowo jeszcze Grecja i Szwecja. Konwencje uzupełniły później 3 protokoły, które treść Konwencji rozszerzyły albo, jak np. protokół z dnia 6 maja 1963 r., zawierały szczegółowe przepisy proceduralne, dla stworzonej na podstawie Konwencji, Europejskiej Komisji oraz dla Trybunału Praw Człowieka.

Pod koniec 1965 r., Komisja i Trybunał przeniosły się w Strasburgu do własnego gmachu, nazwanego „Gmachem sprawiedliwości.“

* * *

W odróżnieniu od Komisji praw człowieka przy ONZ, która stale natrafia na bojkot ze strony Sowietów, Europejska komisja oraz jej Trybunał są instytucjami, respektowanymi przez państwa, które podpisały Konwencję rzymską. Z ogólnej liczby 15, dziewięć państw poddało się całkowicie jurysdykcji Trybunału, niemniej jednak i pozostałe państwa stosują się lojalnie

B.D.I.C

do jego zaleceń. Współpraca państw, członków Rady europejskiej, jest tu lojalniejsza, a decyzje Trybunału stanowczo bardziej respektowane od decyzji i zaleceń Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

O działalności Komisji i Trybunału świadczy najlepiej rodzaj spraw wniesionych przez strony. Są między nimi zażalenia przeciw przeciagającemu się aresztowi przed rozprawą sądową, sprawy azylu politycznego i ekstradykcji, a nawet sprawy, w których strona czuje się pokrzywdzona przy wykonywaniu praktyk, związanych z jej wyznaniem. Są między nimi również i sprawy delikatne, jak np. zażalenia ludności flamandzkiej lub walońskiej w Belgii dotyczące swobody używania języka.

Komisja europejska Praw Człowieka może pochwalić się jeszcze i innym sukcesem. W ciągu ostatnich 5 lat, w 12 państwach i w 125 wypadkach, sądy powołały się na Konwencję rzymską. W ciągu 15 lat od uchwalenia Konwencji, nie było, ani jednego wypadku, w którym rząd państwa-sygntariusza, byłby zakwestionował właściwość Komisji lub Trybunału i zarzucił im mieszanie się w jego sprawy wewnętrzne.

Cytując kilka fundamentalnych postanowień Karty Praw Człowieka, przytoczyliśmy m.in. artykuł, który broni człowieka przed wyzyskiem i domaga się dla niego godziwego zarobku i ludzkich warunków pracy. A jak wygląda w rzeczywistości sytuacja robotników w niektórych państwach, które twierdzą, że ich ustawodawstwo zagwarantowało człowiekowi jego pełne prawa. Oto dwa przykłady:

W dniu 11 stycznia 1965 r. „Głos Pracy“, główny organ centralnej rady związków zawodowych w Polsce przytnął taką wiadomość:

„Robotników zmusza się do przepracowania godzin nadliczbowych, za które się jednak nic nie płaci, a robotnikom ofiaruje się, jako ekwiwalent, pewną ilość godzin wolnych od pracy. Takie postępowanie sprzeciwia się przepisom prawa pracy. Poza tym robotników często płaci się (jeśli się w ogóle płaci), z t.zw. funduszu bezosobowego, co również sprzeciwia się prawu pracy, ponieważ czasu przepracowanego, i wynagrodzonego z tego funduszu, nie wlicza się do pensji emerytalnej pracownika, jak i dodatków w czasie urlopu.“

A sowiecka „Prawda“ z 2.III.1965 roku przyniosła dokładnie tę samą wiadomość, o podobnych nadużyciach, stosowanych przez „niektóre“ przedsiębiorstwa. Ponadto kobietom nie pla-

ci się premii, a często zwalnia się je, bez przyczyny z pracy.

* * *

A również nie od rzeczy będzie przytoczyć tu słowa kardynała Prymasa Wyszyńskiego, wypowiedziane w czasie kazania w kościele św. Augustyna w Warszawie, w dniu 31 stycznia ub. roku:

„Jak długo jeszcze trwać ma stan, zanim obywatel, stanie się we własnym kraju prawdziwym obywatelem, a nie niewolnikiem czy więźniem, ciągle podejrzewany, ciągle śledzony, nawet w jego najgłębszych myślach?“

A powołując się na międzynarodową Konwencję (tj. Kartę Praw Człowieka), która m.in. postanowieniami gwarantuje rodzicom prawo nauki dla dzieci, zgodnie z ich sumieniem, kardynał dodał:

„Jak daleko jesteśmy od tego prawa.“

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

T W A R Z E

Skrót rozdziału o Hiszpanii z przygotowywanego tomu pt. Ojczyzna Europa. Tom ten przynosi opis większości krajów Europy i zawiera spostrzeżenia autora poczynione w toku jego podróży po Europie w latach od 1929 do 1965. Jeden z rozdziałów tej pracy pt. „Oblicze Szwecji“ pojawił się w 1957 roku na łamach „Kultury“. Opisowa część szkicu o Hiszpanii pojawiła się na łamach londyńskich „Wiadomości“ w trzech artykułach pt. „Pocztówki z Hiszpanii.“ Książka „Ojczyzna Europa“ pojawi się w ciągu roku 1966, nakładem Wyd. „Gryf“ w Londynie. Wyjtki z tej pracy pojawiały się na łamach „Orla Białego“.

Oblicza Hiszpani nie są łatwe do odcyfrowania, chociaż koloryt ziemi, profil krajobrazu są tak wyraziste, światło tak ostre, barwy nateżone. Oblicza te na pewno nie są łatwe do odgadnięcia, chociaż jest to kraj zdecydowanego charakteru — o ileż bardziej stanowczego, aniżeli np. Włochy. Po odwiedzinach Hiszpanii, Włochy wydają się zbyt miękkie i łagodne: troppo dolce; niemal kobiece. Hiszpania jest krajem męskim; jest to ziemia twardej filozofii — tu narodził się przecież Seneka, a stoicyzm wydaje się przyrodzoną postawą wielu Hiszpanów. A jednak przy tych mocno obrysowanych konturach nie jest to kraj łatwy do opisanja; jest on trudny do rozgrzyzienia.

KRAJ KRESOWY?

Dlaczego tak się dzieje? Może dlatego, że jest to kraj kresowy Europy, podobnie jak Polska: sadzę, że jak przez Polskę biegną (a może biegną?) linie Europy Zachodniej i — jakby to powiedzieć? — Orientu Azji, tak przez Hiszpanię biegną dalej linie Zachodu i innego Orientu: nie Azji, lecz Afryki. Tak, jak pewne prowincje Polski zatracaly — chociaż się nam to niepodobalo z racji urazu do Rosji — Wschodem i Rosją, tak spore partie Hiszpanii (głównie Andaluzja), zalatują Afryką. Jest to prostym wynikiem długiego postoju władzy mauretańskiej na ziemi hiszpańskiej: zapominamy często, że przez 7 wieków Arabowie trzymali się w tym kraju i że końcowy rozdział reconquista datuje się z drugiej połowy XV. w. Żaden kraj Europy tak późno nie wynurzył się całkowicie z obcego zalewu — Balkany miały długi okres samodzielności i krystalizacji państw, a nawet ekspansji przed wchłonięciem ich przez władze otomańską; proces ten przyszedł stosunkowo późno,* a okres niewoli

*) Fala turecka ruszyła w połowie XV w. właśnie wtedy, gdy resztki władzy mauretańskiej cofały się w Hiszpanii.

Balkanów był zasadniczo krótszy od okresu obcych rządów w Hiszpanii: trwał cztery wieki. Ale też żaden Kraj w Europie nie przeszedł tak szybko jak Hiszpania od stanowiska kraju uległego do pozycji wielkiego mocarstwa i zamorskiego Imperium. Na pewno w tej nadmiernie śpiesznej i błyskotliwej karierze tały się od zarania załamki rychłego upadku.

Władza arabska w Hiszpanii niewątpliwie związała ten kraj z Afryką; Pireneje zrobiły swoje, odosabiając Hiszpanię od trzonu Europy i to w epoce, kiedy zapory geograficzne były trudne do przebycia. Te dwa naciski: bariera gór od północy i presja arabska od południa wytworzyły odrębność Hiszpanii; odrębność i izolację.

Hiszpania należy i krajobrazowo i historycznie, po trosze do Afryki arabskiej, do obyczaju orientalnego. Pozostał ten ślad nie tylko w gardłowym śpiewie Andaluzji — przypominającym zawodzenie muezzinów — ale i w tańcu, stroju kobiet, (na Balearach) poniekąd w stosunku do kobiety, która jest dalej jeszcze najbardziej „haremową“ i strzeżoną z kobiet Europy zachodniej.

KRAJ OCEANICZNY

Inność Hiszpani w Europie wynika także z jej dawnej orientacji ku dalekim morzom: w tej dziedzinie przypomina ona nieco Anglię, również bliska Europie, ale nie zespoloną korzeniami i piętą z Europą. Oczywiście świadomość morską trwa w Anglii; jest to dalej kraj morski, podczas gdy Hiszpania jest już tylko cieniem kraju morskiego; uderza nas ona dzisiaj raczej jako kraj kontynentalny. W zbiorowej wyobraźni angielskiej morze jest żywym elementem, marynarka wojenna to the senior service, momenty morskie trafiają zawsze na grunt podatny w kolektywnej imaginacji narodu; w Hiszpanii to wszystko zostało zepchnięte głęboko w podświadomość — pozostało tylko poczucie niepełnego jakby związku z Europą. Hiszpania mogła panować w Europie, ale nie należała do niej całkowicie.

Hiszpania wkroczyła na szlak podboju i to na najambitniejszą skalę zaraz po scaleniu kraju (analogia z Polską jest niewątpliwie pociągająca: Polska zbyt bodaj wcześniej w swej historii rozpoczęła tworzenie swojego Imperium, albowiem jej marsz na wschód wydarzył się w momencie pierwszego

zaledwie okrzepnięcia polskiego). Hiszpania ledwie się zrosła, a już podjęła akcję podboju przez Oceany. Jej Imperium, w którym nie zachodziło słońce, stworzone zostało wysiłkiem nieraz bardziej zastanawiającym, niż angielski. Siegało ono od Kalifornii aż po Ziemię Ognistą i dalej poprzez Ocean Spokojny do Filipin. Jako rozpiętość, ta próba nie ma sobie równej i bije chyba angielską: dokonana bowiem została na krótszym odcinku czasu. Flota Hiszpanii nie była tak silna, jak angielska, gdy wyruszyła na Oceany i morza. Lecz Imperium Hiszpanii trwało na dobrą wszystkiego 150 lat — 150 lat potęgi i rozkwitu. Hiszpania wyczerpała się w nadmiernie chłonnej ekspansji i legła jak Samson pod ruinami własnej wspaniałości. Warto by zbadać czas trwania tych imperiów: ile w gruncie rzeczy trwało angielskie? I czy istnieje różnica trwałości między imperiami morskimi, a lądowymi? Czy zdobycze morskie są trwalsze, czy też kruksze od podbojów mocarstw lądowych?

IMPERIUM WYPRAW KRZYŻOWYCH

Wszystko wskazuje na to, że Imperium hiszpańskie stanowiło nadmierny wysiłek dla ambitnego kraju, który chciał nieść na swoich sztandarach nie tylko wielkość Hiszpanii, ale i wyznawanej wiary; podboje Hiszpanii były również wyprawami krzyżowymi. Nie trzeba być Arnoldem Toynbee, aby dostrzec w dziejach narodów Europy pewien rytm i powtarzalność w załamaniu się ich struktur imperialnych. Czołowe kraje Zachodu — od Anglii przez Francję po Holandię i Portugalię — tworzyły imperia zamorskie i traciły je. Hiszpania straciła je pierwsza — bo pierwsza je miała. Francja straciła je dopiero dzisiaj, ale też stosunkowo niedawno weszła ona na szlak świadomej budowy imperium zamorskiego: była to spóźniona kompensata za imperialne niepowodzenia na kontynencie Europy. Poza tym powtarza się w tym procesie motyw wyklinowywania jednego mocarstwa przez drugie: Anglia przyczyniła się wcale do upadku Imperium hiszpańskiego; pomogła na pewno w osłabieniu Imperium francuskiego (np. Syria w czasie drugiej wojny); dzisiaj sama skarży się na to, że USA pomagają w likwidowaniu jej zamorskich posiadłości, że podkopują jej pozycję gospodarczą w Kanadzie i forsują amerykański way of life w Australii.

H I S Z P A N I I

Imperium hiszpańskie nosiło w sobie zarodki rychłego zgonu, albowiem było zmontowane zbyt pospiesznie, nici gospodarcze były wątłe; rządzone one było, nie jak angielskie — przez doskonałych i sprawnych administratorów i przez kompanie kupieckie, ale przez dostojników; handel nie znajdował zrozumienia w oczach arystokracji, szlachty i duchowieństwa, które nadawały ton (czyżby analogie dla naszych rządów na Ukrainie?) Tylko, że Hiszpanie nie mieli pod ręką Żydów, którym mogli wydelegować niejako handel. Metoda angielska, a zatem penetracji „inicjatywy prywatnej“, głównie handlowej, była bodaj skuteczniejsza, aniżeli interwencja państwa, które zjawiało się w zamorskich włościach Hiszpanii w całym swoim splendorze.

Hiszpania dała swoim koloniom sporą autonomię, a równocześnie zrównała wiele z nich w statusie z macierzą. Salvador de Madariaga w obszernej pracy *The Spanish American Empire* pokazał zalety i wady tej struktury bardziej liberalnej, niż to się zwykle mniema. Oskarżył on namiętnie Anglię o stałe podkopy pod to Imperium. Niewątpliwie Anglia przyczyniła się do podminowania tej nadmiernie rozrosłej budowli. Piraci, *privateers* i *buccaneers* Anglii opiewani i upiększani w pieśni i powieści, szarpali latami domeny hiszpańskie; i ta wojna wyniszczenia odbijała się coraz groźniej na szlakach komunikacyjnych hiszpańskiego Imperium w Ameryce. Podjazdową zrazu, a potem otwartą walką z rywalem angielskim zakończyła się klęska Imperium hiszpańskiego: ale to, co zostało po zawaleniu się gmachu jest zdumiewająco silne. Nie tylko język hiszpański pozostał we władaniu na ogromnych obszarach Ameryki środkowej i południowej i utrzymuje się jako drugi co do zasięgu język światowy rasy białej; przetrwał i obyczaj i strój i architektura od Kalifornii po Filipiny. Jako triumf kultury jest to widowisko niezwykle i możnaby powiedzieć, że jeśli W. Brytania rozsiała swoją cywilizację w krajach świata od Stanów Zjednoczonych aż po Indie i Australię — plus język, naczelnym językiem globu — to Hiszpania wnosząc swój język i obyczaj oparła się głównie na kulturze. Jej wiano, to przede wszystkim kultura; wiano angielskie, to przede wszystkim cywilizacja, wyrażona w drogach, kolejach, szpitalach, szkołach, sportach; ale to bodaj nie wszystko — czyż sądownictwo możemy zaliczyć do dobrodziejstw tyl-

ko cywilizacji? Czy nawet świetną administrację brytyjską zaklasyfikujemy wyłącznie pod rubrykę zdobyczy cywilizacyjnych? I czy Anglia nie zostawiła również sporo ze swojego obyczaju po dawnych swoich koloniach — obyczaju, który na początku był pomyślany wyłącznie na użytek *sahiba*, ale potem, w drodze tajemniczego przeciekania i osmozy stał się wzorem dla podległych?

Skłonni jesteśmy ulegać pokusie analogii Rzym — Grecja. Anglia to nowa odmiana Romy: zostawia nie tylko drogi, ale i wzór *civil service*, zostawia i język poręczny, jako *lingua franca* dla wielojęzycznego obszaru takich np. Indii; Hiszpania na pewno nie przekazała wzorów administracji, a jeżeli je zostawiła, to kiepskie, albowiem *civil service* spod znaku Madrytu daleki być musiał od doskonałości. Naniósł ona kulturę: od muzyki i tańca, aż po architekturę, po styl życia. Architektura ta stanowi dalej okrasę Kalifornii, dystynkcję Ameryki środkowej i południowej.

BLASKI I CIENIE IMPERIUM

Dzieje Imperium hiszpańskiego w Ameryce pld. i środkowej są na pewno zbyt mało znane, zwłaszcza w Europie; zbyt wiele przylgnęło do nich niechęci — głównie angielskiego pochodzenia. Polacy uskarżali się, że ich historia i geografia podawane były zbyt długo przez filtr niemiecki. Pokazywał on Polskę opacznie; *polnische Wirtschaft* stała się jednym ze sposobów oczerniania Polski, tłumacząc światu, że Polska nie była i nie jest poważnym państwem. Podobnie, jak akcentowanie naszego *liberum veto* i hasła „Polska nie-rządem stoi“.

Hiszpania skarży się natomiast, że to Anglia oczerniła jej rządy kolonialne, że oskarżyła ją o niebываłe okrucieństwa, zwłaszcza w Meksyku, że udowadniała przez długie lata, iż Hiszpania nie nadawała się, jako państwo zacofane, a *politically underdeveloped country*, do roli wielkiego lidera kolonialnego. Wydaje się, że Hiszpanie mają sporo racji w tych swoich pretensjach, albowiem potęgą angielskiej nauki historycznej była spora i W. Brytania, jako interpretator zagadnień kolonialnych i zamorskich była traktowana jako świadek możliwie rzeczowy. Anglia niewątpliwie wyrobiła Hiszpanii imię mocarstwa zacofanego, niemal barbarzyńskiego; na pewno w tej kampanii grały rolę motywy niechęci religijnej — państwa protestanckiego do

katolickiego: Hiszpania nie może po dziś dzień darować tego Anglii. Ze swej strony znowu Hiszpania przejawiała surowość rządów arabskich na swej ziemi: Arabowie nie tylko okazywali duży liberalizm w sprawach religii, ale i nieśli do Hiszpanii wyższą nieraz cywilizację materialną (m. in. duża czystość, kult wody i kąpieli).

Ale i bez stałego podkopywania Hiszpanii na jej imperialnych rubieżach drogą wojny podjazdowej, wojny wyniszczenia, ten bardzo szczególnie twórczy wytrzymałby napór okoliczności i nie potrafiłby się utrzymać. Hiszpania połączona za wiele — i umarła na imperialną niestrawność. Bunt ras w Ameryce środkowej i południowej w 18 i 19 w. był oczywiście gwałtowniejszy, niż odruchy niepokoju w takich np. Indiach — kwestia zarówno temperamentu ludności jak i tzw. filozofii życiowej danych krajów. Że w tych buntach pomagano z zewnątrz — interwencja brytyjska była na pewno duża — że rozmaici Bolivarowie nie potrafiliby przeformować swoich planów bez obcej pomocy, to jasne. Ale presja dążeń odśrodkowych i ambicje jednostek robiły swoje w dobie dźwignia się nacjonalizmów i wykruszyły ostatecznie Imperium hiszpańskie. Niemniej Hiszpanie wsiąkli rasowo w poważnej mierze w głębi swoich kolonii: nie mieli przesądów rasowych angielskiego *sahiba*, który rzadził *par distance*, nawet jeżeli był fizycznie obecny na miejscu. Tutaj *A Voyage to India* Forstera stanowi nieprześcigniony wzór analizy: analizy urazu Indii do białego człowieka, który był sędzią, urzędnikiem, wojskowym i zawsze *outsider'em*, ale nigdy członkiem tej samej gromady. Forster przygwoździł ten uraz, który Kipling pominął, albo bagatelizował w swoich opowieściach z życia indyjskich „kresów“. Na tych dwóch autorach można odmierzyć postęp uświadamiania sobie przez samych Anglików istoty swoich rządów w Indiach.

Hiszpanie odnosili się inaczej do swoich „poddanych“; nie mieli nordyckich czy germańskich przesądów rasowych (zapewne ze względu na rzymskie tradycje kraju.) Podobnie jak Francuzi i Włosi na bliższych etapach historii kolonialnej, tak i Hiszpanie nie przejawiali w tym stopniu co Nordycy i ludzie Północy — pychy rasowej. Mieszali się oni z ludnością miejscową i dali początek odrębnej rasie, *mestizos* — rasie odrębnej, ale wcielonej w powszechny rytm krwi. Stosunek Hiszpanów do Żydów wydaje mi się wynikiem religijnego bezsensu fanatyzmu; ludność kolorowa Imperium dawała możliwość i szanse nawrócenia na wiarę prawdziwą; Żydzi stanowili natomiast fizyczne, dotykalne zaprzeczenie zwycięstwa

też wiary. Cała akcja hiszpańska przeciw Żydom zakończyła się żałośnie dla ekonomii tego kraju (znowu analogie z Polską: Hiszpan, jak Polak, nie był dobrym kupcem, brzydził się handlem; element żydowski stanowił drożdże handlu w obu krajach). Hiszpania wypędziła Żydów i podcięła swój handel i finanse.

Trevor Davies w pracy pt. *Spain in Decline: 1621-1700* pokazuje niektóre z przyczyn tego niesłychanego upadku. Bo przecież w r. 1580 Filip II był panem świata: rządził w Portugalii i we Włoszech, odparł Turków, trzymał się we Flandrii dostał się nawet na Bałtyk. Chwalcy jego głosili, że gdyby chciał mógłby zaważać Chinami. I oto syn jego, Filip III już stał wobec bankructwa. Trevor Davies widzi przyczynę klęski w charakterze podbojów Hiszpanii: były one polityczno-ideologiczne, a nie gospodarczej natury. Mieszczaństwo hiszpańskie znajdowało się w dobie średniowiecza w stanie zdrowego przemieszania i fermentu: elementy chrześcijańskie, mauretańskie i żydowskie zwłaszcza współżyły obok siebie twórczo, ale oto w dobie, kiedy Hiszpania wyszła na szlaki imperialne, mieszczaństwo to skostniało — dlaczego, nie wiemy, bo przecież nie stało się to, ani we Włoszech, ani we Francji, gdzie działały te same prawa społeczne. Dlaczego mieszczaństwu Hiszpanii zabrakło witalności, któraby mogła uratować zdobycze zamorskie kraju? Dlaczego nie okazało odpowiedniej inicjatywy? Czy może dlatego, że odebrano mu „drożdże“ żydowsko-mauretańskie? Nie wiemy.

Inny historyk angielski, Trevor Roper, uważa, że mamy do czynienia nie tylko z faktem zbyt pospiesznego budowania Imperium, ale i tego, że „Hiszpania nadmiernie inwestowała w swoje Imperium, a gdy się ono zaważyło, pociągnęło w otchłań także bazę“.

CZERWIEŚ I PURPURA

Hiszpania jest krajem kresowym i skrajnym. Lenin uważał, że obok Rosji jest to drugi kraj peryferyjny Europy, który ulegnie komunizmowi. Widział bowiem podobieństwa między Rosją, a Hiszpanią: zestarzały ustrój, z monarchią, pozbawioną dynamiki, element chłopski, żyjący prymitywnie, by nie powiedzieć: w nędzy, olbrzymie latyfundia, słabe uprzemysłowienie, skłonności do buntu i anarchii. Przecież do dziś dnia utrzymuje się kult Bakunina w Katalonii, a najbardziej oryginalna myśl polityczna tego kraju, to bodaj hasła anarchiczne. Hiszpania jest anarchiczna, skrajnie indywidualistyczna i w tym jej podstawowa różnica w zestawieniu z Rosją: w Rosji były anarchiczne jednostki, ale uległa masa; w

Hiszpanii masa jest anarchiczna. Rosjanin może tęsknić do anarchii, ale o ileż łatwiej ulega batowi, niż półwysep iberyjski. Być może, że jednak nawet i w Rosji istnieje niebezpieczny dualizm wewnętrzny: albo anarchia, albo bat. Bat w Hiszpanii jest jednak nieskończenie łagodniejszy, niż w Rosji; instynkt państwowy w Rosji jest za to o wiele silniejszy.

Hiszpania nie poszła śladem przewidywań Lenina, chociaż nie wiele do tego brakowało. Koleje rządów republikańskich podobne są nieco do rządów Kiereńskiego w Rosji — a starcie „białych“ i „czerwonych“ przypomina pod wielu względami wojnę domową w Rosji, w latach tzw. interwencji. Jednakże stosunek sił w wojnie domowej w Hiszpanii był inny, niż w Rosji; armie Kołczaka i Denikina były skłócone, podczas gdy siły generała Franco jednolite; interwencja Zachodu w Rosji była o tyleż słabsza od interwencji włosko-niemieckiej w wojnę domową w Hiszpanii. Franco nie był ani Kołczakiem, ani Denikinem: był człowiekiem innego kalibru, doskonałym strategiem i fanatykiem. Zdołał porwać za sobą warstwy tzw. tradycyjne i odrzucić się na elementy, których w Rosji brakowało. Dlatego walkę wygrał — ale komunizm pokazał, że miał w Hiszpanii wielką szansę: trudno przypuszczać, aby zwycięski rząd republikański pozostał republikańskim; jego zabarwienie zmieniłoby się rychło i nie mogło być inaczej. Przypuszczenia pewnych kół Zachodu, głównie angielskich, że republikańskie wprowadziliby w Hiszpanii system liberalny, jest niestety tylko położnym życzeniem. Republikanie zagłopolowali się zbyt na czerwonym szlaku, ażeby w jakimś momencie móc zwrócić na odwrót.

Wojna domowa dowiodła pasyj politycznych w Hiszpanii — na skalę na pewno rosyjską. Nienawiść wzajemna obu obozów była straszliwa: trudno jest doprawdy wybierać między „białymi“, a „czerwonymi“. Okrucieństwa popełniały obie strony: przypuszczać wolno, że gdyby dokonano rzeczowego spisu ofiar wymordowanych przez tych i tamtych, gdyby wzięto pod uwagę charakter egzekucji, koloryt niejako tych aktów — to wina byłaby równo podzielona. W każdym razie wydaje się, że rządy republikańskie w Hiszpanii rozprętały anarchię, która tkwi podskórnie w naturze Hiszpana. Poczynania rządu „czerwonego“ były znazu naiwne i doktrynerskie, potem coraz to bardziej lekkomyślne; skończyły się zaproszeniem do zbrodni. Dały one okazję wyżycia się wielkich, zastygłych kompleksów, jakie zasiedziały się w duszy zbiorowej tego namiętnego, a pamiętliwego narodu. Do nich należy palenie i

łupienie kościołów, a zatem instytucji, którą przez wieki kierowała życiem narodu. Te akty odwetu były jednym z wyrazów szarpania się wewnętrznego masy hiszpańskiej; odwetem za nadmierny nacisk Kościoła. Kościół hiszpański jest bowiem — jak i religia katolicka tego kraju — surowy i hieratyczny; nie przypomina on łagodnego i pobłażliwego w zestawieniu z nim Kościoła włoskiego. Jest on surowy i ani trochę pogański, bez zrozumienia dla siabości ciała (Hiszpanie uważają niezawodnie za pogan w przebraniu katolików). Religia katolicka Hiszpanii to gesty mrok klasztorów; to obrazy męki i śmierci; ulubione motywy malarstwa to nawracająca obsesja dziejami Meki Pańskiej. Podczas, gdy malarstwo Włoch pławi się w życiu, w narodzinach Bambina, w radości Matki Bożej, weselu pożycia Matki i Syna — w Hiszpanii czeka nas Ogrójec El Greco i Ukrzyżowany i Kalwaria i krew, motyw ulubiony, albowiem krew, sangre to widok urzekający dla Hiszpana, zanesiony od aren i toros. A historia tych toros i ofiary krwi idą w głąb dziejów tego kraju, aż do grot prehistorycznych, grot Altamiry.

Kościół hiszpański wydał świętych osobliwego typu: świętych-żołnierzy, entuzjastów dyscypliny, jak Ignacy Loyola i św. Teresa z Avili. Wydał on także, jedyny spośród Kościołów twórczy i namiętny: Inkwizycję.

MILION POLEGLYCH

Wojna domowa w Hiszpanii była wielkim przełomem, ostatnim może w buchem zbiorowej pasji, której Hiszpanie jakby się nawet wstydziły (ciekawość, czy kraje, którym odebrano możliwość wykrwawiania się na obcych polach bitew nie szukają kompensat w wojnach domowych? Rewolucja bolszewicka przeczy tego rodzaju uogólnieniu, bardzo pociągającemu). Wojna domowa to, jak powiadają Anglicy, a *skeleton in the cupboard* życia zbiorowego Hiszpanii: to upiór, który straszy i lepiej o nim nie mówić. A jednak wraca on stale w rozmowach, albowiem był to wielki wstrząs w historii nowoczesnej Hiszpanii i pokazał Hiszpanom do czego są zdolni. Wracają do tej sprawy, dzisiaj zatajonej w podświadomości, z jakimś zafascynowanym uporem.

Wojna domowa nie budzi już dzisiaj nadmiernych porywów — albowiem wypały się one w okrucieństwach i mordach, płon w sumie godny udziału mocarstwa w wojnie światowej: cyfra ofiar przekroczyła milion w zabitych. Ten upust krwi sprawi, że Hiszpania nie ma już dzisiaj sił na nowe porachunki i że politycznie jest ona bardziej ustatkowana, niż w latach 20-

tych. Upust krwi działa na narody tak, jak i na jednostki: obniża ich dynamizm wewnętrzny. Buntowniczość Hiszpanów została stonowana; dlatego, kto wie czy gdy nadejdzie moment wyboru regimenu po zgonie czy odejściu gen. Franco, czy Hiszpanie nie okażą większego opanowania politycznego, niż się przypuszcza? Uraz wojny domowej trwa w podświadomości, wojny, którą wywołały demony czwój genii z groźnej butli zbiorowego temperamentu.

KRAJ MOCNYCH UCZUC

Hiszpania ma wiele twarzy także i dlatego, że są to conajmniej trzy kraje: Kastylia, Katalonia i Andaluzja; ale jest i kraj czwarty — północy Hiszpanii, stanowiącej odmienny rezerwat zieleni, z krajem Basków na czele. Poznanie Katalonii nie daje klucza do charakteru hiszpańskiego — a Kastylia to również nie cała jeszcze Hiszpania. Katalończyk jest istotą pełną radości życia, bliższą Włochowi czy Francuzowi z Południa, aniżeli Kastyljczykowi. Ten drugi, to istota pełna moralnej powagi, człowiek odmiennego stosunku do życia: pojęcie grzechu jest u niego o wiele głębiej zakorzenione, aniżeli u Katalończyka. Nie zapominajmy, że legenda Don Juana — chociaż rodem z Sewilli — jest surowa, obleczona w kir i włosienicę, a w wersji kastyljkiej, granej stale na tyłu scenach w Hiszpanii, w dzień zaduszny, kończy się piekłem. Płomienie żądy zmieniają się w języki piekielnego ognia; kara za grzechy jest jasna i bez obszaru. Piekło dla Hiszpana jest tak oczywiste, jak raj dla mahometanina. Don Juan faktyczny, skończył w klasztorze; we Włoszech ani bohaterowie opowieści Boccaccia, ani Casanova nie zamierzali tam wstępować — a jeżeli tak, to tylko w niecnym zamiarach do klasztorów żeńskich. We Włoszech ideał kobiecy: matka, ucieleśniony został w Matce Bożej; w Hiszpanii panuje przede wszystkim kult Virgen. Dziewicy, może dlatego, że Hiszpan tęskni za tym ideałem i szanuje go, wiedząc zbyt dobrze o samej zachłanności męczyzny. Matka Boża pokazana jest często sama, samotna: Nuestra Señora de la Soledad, Matka Boska Samotności — to motyw i odmiana nieznaną chyba we Włoszech; ukazana jest nieraz sama jako królowa, pani, jako zasluchana w niebo Virgen — o ileż rzadziej obrazy hiszpańskie oddają Jej obraz z Dzieciątkiem i to w radośnym rozpromienieniu mistrzów włoskich.

Nawet Andaluzja, kraj rozreklamowany jako dziedzina „cygańska“, prowincja gitanos, gorącej krwi, niepohamowanych namiętności nie jest krajem beztroski; w tej namiętności jest i su-

rowość i wściekła zazdrość i zemsta i krwawa vendetta; w dramatach Garcia Lorca czujemy wyraźnie ton tej namiętności; nie jest to radość życia, beztronska Włoch, ale pasja ciemna w kolorystyce, zapamiętała, okrutna dla siebie i innych.

CZTERY OBLICZA

Mamy zatem w Hiszpanii cztery oblicza czterech krajów: od powagi i surowości twarzy Ignacego Loyoli, przez namiętną twarz gitany opętanej tańcem, poprzez opanowaną twarz Baska, aż po rozpogodzoną i dziecinną nieraz twarz katalońską, najbardziej zbliżoną do tego, co rozumiemy pod mianem śródziemnomorskiej joie de vivre. Powstaje pytanie, co łączy te cztery rasy? Oczywiście nie tylko zwarty i grubo ciosany blok wspólnego kontynentu; nie tylko wspólnota doli i historii (mimo wzajemnych walk i tarć: bo walki i szamotania spajają zarówno ludzi, jak i narody w osobliwych osmózach uczuciowych, które graniczą nieraz z freudowskim terminem love-hatred; wspólnota językowa, albowiem pomimo odrębności dialektów czy odrębność jak chcą Katalończycy, języka (kataloński jest bratem prowansalskiego), mowa hiszpańska jest językiem „nadrzędnym“; oczywiście, religia i obyczajowość; i ten czynnik, który nazywamy kulturą, chociaż tak trudno jest nam zdefiniować jej sens i granice. Przypuszczam, że to co łączy i zbliża rasy i narody to hierarchia wartości życiowych, a zatem, co te zbiorowiska najbardziej cenią; na ogół w całej Hiszpanii nie ma kultu pieniądza, chociaż Katalończyk jest doskonałym kupcem; wartości materialne nie znajdują się na pierwszym miejscu; poczucie godności jest wysoko wywindowane; kult więzów rodzinnych bardzo silny; umiowanie sztuki rozmowy; i — last but not least — instynktowne reagowanie na piękno.

Te momenty łączą chyba odrębne oblicza Hiszpanii; oblicza, a nie maski, jak chce jeden z autorów angielskich, analizujących ten kraj. Wydaje mi się, że słowo maska jest wyjątkowo nieodpowiednie w stosunku do kraju, który tak nie wiele chce zataić (inaczej aniżeli kraje nordyckie i germańskie: Anglia, Szwecja czy Niemcy noszą wiele masek).

Angielscy autorzy stworzyli sporą bibliotekę o Hiszpanii: od Geralda Brenana, którego prace *Spanish Labyrinth* i *The Face of Spain* zaliczyć należy do poważnych prób zrozumienia tego kraju, poprzez bystre obserwacje Margaret Steen w tomie *Granada Window*, aż po przyjemne gawędy Langdon-Daviesa, którego *Gatherings in Catalonia* są dowodem długoletniego zasiedzenia się

w Hiszpanii. Anglicy mieli nie raz słabość do Hiszpanii: od starego zrzędy Forda, który pozostawił ciekawy zapis swej podróży po półwyspie iberyjskim, sto lat temu, aż po Roberta Gravesa, powieściopisarza i autora *I. Claudius*, który wybrał sobie miejscowość Deya na Majorce, jako swoją bazę, od lat. Istnieje pewien odłam Anglików, który przepada za Hiszpanią — chociaż jej przeważnie nie rozumie; podobnie, jak jest warstwa czy klasa, która uwielbia Włochy i bodaj lepiej je rozumie; i wreszcie kategoria tych, którzy kochają Francję. Możliwe w tym podziale odkryć i motywy klasowy: *middle classes* W. Brytanii podobają sobie bardziej w Szwajcarii czy Niemczech, aniżeli w krajach łacińskich; te ostatnie zostawia się gustom *highbrows*.

Miłość pewnej kasty Anglików do Hiszpanii jest oczywiście świeższej daty, aniżeli zapal dla Włoch; Hiszpania nie należała do wielkiego *penum* 19-towiecznego Anglika czyli tzw. *Grand Tour* Europy. Literatura angielska nie poświęciła Hiszpanii ani części tego, co oddała Włochom; tym bowiem przekazała wiele z entuzjazmu i talentu Byrona, Shelley'a, Browninga, Ruskina i dalej przez J. A. Symonds'a i Waltera Patera, aż do D. H. Lawrence'a. Plon „włoski“ literatury angielskiej jest olbrzymi; hiszpański nieporównanie skromniejszy i mniejszego kalibru, jeżeli chodzi o autorów urzeczonych Hiszpanią. Niemniej jednak Anglicy lepiej opracowali Hiszpanię, aniżeli jej sąsiedzi — Francuzi; naturalnie grała tu rolę wrodzona Francuzom izolacja — zjawisko, które istniało aż do drugiej wojny, albowiem od r. 1945 Francuzi okazują o wiele więcej ciekawości dla świata i Europy i stali się wreszcie podróżnikami: dawniej Europa i świat zjeżdżały do Francji, teraz ona musi szukać nowych horyzontów. Francuzi wnieśli stosunkowo niewiele w poznanie Hiszpanii; jakkolwiek hiszpańskie wizje Théophile Gautier warte są licznych tomów autorów o mniejszej wyobraźni.

SENS I LEGENDA CORRIDI

Literatura podróżnicza w języku angielskim odnosząca się do Hiszpanii jest ogromna; ale przeważnie utyka — od czasów Forda — na poczucie obcości tego świata. (Nie można tego powiedzieć o słynnej książce Amerykanina Washington'a Irving'a o Alhambra, który przeszło sto lat temu odkrył Granadę i stworzył modę turystyki anglosaskiego po Hiszpanii). Anglicy o wiele łatwiej dają sobie radę z pogańskim katolicyzmem Włoch, aniżeli purytańskim Hiszpanii; niechęć wobec dawnego rywala imperialnego przebiega nieraz z relacją brytyjskich; znajdziemy

oczywiście opór z racji okrucieństwa hiszpańskiego wobec zwierząt i walki byków; jest jednak rzeczą znamioną, że jeżeli dotychczas przeważają w Anglii chór potępienia pod adresem toros, to od niedawna — może pod wpływem Hemingway'a i Montherlanta, obu wielbicieli *corrid*? — mamy do czynienia z wcale częstymi przejawami żywego zaciekawienia tym widowiskiem.

Sądzę, że bez poznania dzieł literatury angielskiej o Hiszpanii — w dziedzinie architektury trzeba wymienić poważne studium Sacheverella Sitwella o baroku tego kraju — traci się wiele. Nawet temat *gitanos* opracowany został niezwykle wyczerpująco przez badacza brytyjskiego dr Waltera Starkie. Nie ma bodaj dziedzin gdzieby nie dosięgła ciekawa, chociaż często niezgrabna, ręka angielskiego turysty-badacza.

Nawet jednak znajomość tego pękatego zbioru — a pochlebiam sobie, że znam większość książek angielskich na temat Hiszpanii, od ładnej relacji Rose Macaulay *The Fabled Shore* aż po zapiski w stylu *Here in Spain* pióra Chapmana Mortimera — nawet ta lektura nie zwalnia obserwatora tego kraju od dokonania indywidualnego wysiłku przedstawienia różnych twarzy Hiszpanii.

Jakież są rysy tego oblicza? Już o kilku wspomnieliśmy na poprzednich kartach — a więc np. o męskości. Jest to kraj bardzo męski, uznający cnoty męskie, a więc męstwo — stąd nasze polskie słowo: męski — a więc odwagę, pogardę śmierci, która jest w Hiszpanii bardziej składnikiem życia, aniżeli w innych krajach łacińskich. Tylko Hiszpanie potrafili stworzyć hasło *viva la muerte!* „Hiszpanie męstwo cenić umieją“, powiedział trafnie Mickiewicz: jest to naród uznający cnoty bitewne, a odwaga cechowała zarówno tych, co stawiali czoła pułkom Napoleona, (Zeromski oddał znakomicie w „Popiołach“ koloryt niejako hiszpańskiego oporu i bohaterstwa), jak i tych, co walczyli przeciwko sobie w wojnie domowej w r. 1936. To bohaterstwo powiązane jest często — jak i u nas — z motywami religijnymi; „Bóg i Ojczyzna“, nie wygasły jako hasła w tym kraju, w każdym razie były one jeszcze żywe w roku 1936-tym.

Pogarda dla śmierci i stała nią zainteresowanie; w rozlicznych płótnach wielkich i mniejszych mistrzów malarstwa hiszpańskiego oglądamy urzeczenie tajemnicą śmierci, ciekawość śmierci, przejęcie się mistyką krwi. Cały świat tauromachii, który z Anglików najlepiej rozumiał — podobnie jak psyche hiszpańską — poeta Roy Campbell, tłumacz liryków św. Jana od Krzyża (może dlatego, że Campbell był

człowiekiem noszącym *panache* i pochodził ze stepów Afryki pld.), cały ten teatr opisany przez Hemingway'a drobniawo w *Death in the Afternoon*, dowodzi stale żywego zaciekawienia misterium śmierci i krwi. Jest osobliwą ironią, że w miarę jak *corrida*, ten balet śmierci, (jak balet operujący całym zespołem pozycyj i „pas“), traci na popularności w samej Hiszpanii na rzecz anglo-saskiego wynalazku: *el futbol*, liczba angielskich amatorów walki byków stale rośnie. Mamy dzisiaj na arenach Hiszpanii kilku wcale znanych *matadorów* ze Stanów Zjednoczonych i Anglii. Nie trzeba chyba jednak dodawać, że *gros* Anglików potępia te uciechy, wierne przykazaniom *Royal Society for Prevention of Cruelty to Animals* (R.S.P.C.A.); nie przeszkadza to, że ci wyznawcy zasad R.S.P.C.A. spieszą na *corridy*, a potem szkalują je straszliwie; jest to typowy przejaw atrakcji grzechu i dwoistej gry hipokryzji.

Okrucieństwo Hiszpanii wydaje mi się otwarte i dlatego najbardziej strasne; każdy bodaj naród, każde zbiorowisko ludzkie jest okrutne — chodzi tylko o sposób. Najgorszy bodaj jest styl niemiecki: nie tylko bowiem obozy koncentracyjne Trzeciej Rzeszy ujawniły naukowe zacięcia tego okrucieństwa, ale i obłudę oraz sentymentalizm sadystów. Okrucieństwo francuskie — zbyt wiele wiemy o wyczynach poliej francuskiej i rozmaitych akcjach w francuskiej Afryce Płn., ażeby żywić na ten temat złudzenia — jest na pewno znów inne. W Hiszpanii traktuje się okrucieństwo jako składową część życia i to bynajmniej nie jako *une partie honteuse*. Hemingway w swojej powieści *For Whom the Bell Tolls* miał trafne wycucia tego okrucieństwa chowu hiszpańskiego: jest w nim jakaś domieszka fatalizmu, stoicyzmu i smutku — ale nie ma obłudy. W Anglii panuje osobliwy sentymentalizm na temat zwierząt; *los Łajki*, pierwszej pa-

sażerki *Sputnika* był tematem dyskusji i protestów, ustawicznie słyszy się utyskiwania na los zwierząt; istnieją akcja wymierzona w wiwiskę — a równocześnie wydarzają się ciągle akty okrucieństwa wobec dzieci. Sentymentalne nastawienie wobec zwierząt nie dowodzi jeszcze „dobroci“ człowieka; niepokojący jest fakt, że zbrodniarze, którzy nie przejmują się zbytnio dola człowieka rozpiływają się w czułości wobec hodowanych przez siebie zwierząt; nadzocy i komendanci niemieckich *Vernichtungslager* przejawiali nieraz tkliwość dla zwierząt. Oskarżanie zatem narodu o okrucieństwo na podstawie jego stosunku do zwierząt nie jest słuszne; każdy naród wyżywa się w jakimś okrucieństwie i każdy człowiek nosi w sobie załazek tego instynktu.

W Hiszpanii odbywa się od wieków rzecz *toros* i wyładowuje się od dawna zbiorowa wola okrucieństwa; dlatego może przynosi ulgę masom. W każdym razie tylko zaprzysięgły jarosz może szczerze potępić *toros*; zjadacze mięsa nie mają tutaj czystego sumienia: a arena jest godniejszym miejscem stracenia, niż rzeźnia; — być może, że właśnie w tej okrutnej grze przeważa moment — godności zwierzęcia. Umiera ono godniej na arenie, aniżeli w rzeźni; a jest to walka, w której szanse zabicia *matadora* nie są małe. Większość z nich — zwanych także od swojego narzędzia *maestrii* — *espada* — ginie na arenach; jest faktem, że pod koniec 18 w. próbowano ułaskawiać byki, które ocalały w walce, zwierzęta te za drugim występowaniem na arenie siały śmierć wśród *matadorów*: dowód, że byki nie są tępyimi zwierzętami. Od tego czasu zaniechano metody ułaskawiania byków: widowisko odbywa się dalej, a Hiszpanie trwają w przekonaniu, że śmierć na arenie jest dla zwierzęcia honorowa.

Zbigniew Grabowski

LWÓW
1782
WIEDEŃ

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
ST. BERNHARD
Likier ziołowy



KRUPNIK
STARKA

WIŚNIAK
WIŚNIOŹKA

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.
Tel. FRE 5808
(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)

Gdy Jugosławia otwiera granice

Titoistowski model komunizmu wszedł w nową fazę przeobrażeń. W roku 1948 istota zagadnienia polegała na otwartym przeciwstawieniu się interwencji Sowieców w wewnętrzne problemy Jugosławii, jednak przy zachowaniu dyktatury partyjnej Związku Komunistów Jugosławii. Obecnie obserwować można również tendencję otwartego korzystania z doświadczeń gospodarczych, społecznych, a nawet także politycznych krajów demokratycznych.

Jugosławiańska odmiana doktryny marksizmu-leninizmu, zaprawianej od lat titoistowskim sosem, chociaż ogląda się ustawicznie na Moskwę i praktykuje zasadniczą tezę doktrynalną „dyktatury proletariatu“, stara się wszakże dopasować w jakiś sposób starą teorię do nowej rzeczywistości życia współczesnego. To stanowi o wyróżnieniu się Jugosławii w bloku krajów rządzonych przez komunistów. Charakterystyczną cechą ekipy partyjnej rządzącej w Belgradzie jest poszukiwanie nowych praktycznych rozwiązań polityczno-gospodarczych przy zachowaniu w swoim ręku wyłączności władzy politycznej.

Być może ogromną rolę odegrało tu wypowiedzenie kiedyś posłuchu Stalinowi i dłuższy okres korzystania z pomocy demokracji zachodnich, tolerujących jakgdyby wyjątkowy reżim Tity. Nie bez znaczenia jest również bezpośrednie graniczenie z krajami demokratycznymi, takimi jak Włochy czy Austria. Pozwala to na konfrontację odmiennych rzeczywistości politycznych, obserwację doświadczeń odmiennego systemu i raczej dość naturalne w takim układzie naśladowanie. Nie bez znaczenia jest również fakt, że partia Tity choć brutalną metodą, jednak w otwartej walce, rzeczywiście zdobyła pod koniec wojny władzę w kraju i ma z tego tytułu pewne poczucie odpowiedzialności za wynik własnych rządów. O żadnym innym reżimie Europy Środkowo-Wschodniej niepodobna tego powiedzieć.

Według oświadczenia kierownika Instytutu Socjologii w Belgradzie, prof. Antona Vratusa, po ostatnich lipcowych zwolnieniach z pracy zbędnej siły roboczej, oficjalnie bezrobocie osiągnęło w Jugosławii groźną wysokość 450 tysięcy osób. Jest to bardzo dużo. Okazuje się przecie, że rząd Tity potrafi sobie i z tym problemem radzić, a nawet w pewnym stopniu na nim zarabiać i to w dodatku dewizy. Specyficzny układ stosunków na europejskim rynku pracy sprawił, że tę ogromną armię lu-

dzi zbędnych, rząd w Belgradzie potrafił wykorzystać gospodarczo. Jak? — odpowiedź jest prosta. Ten sam profesor Vratuś oświadczył: „Jugosławia jest krajem otwartym, wszyscy obywatele mogą przyjąć pracę tam, gdzie im lepiej płaca“. Praktycznie oznacza to, że granice Jugosławii są otwarte dla emigracji zarobkowej. I rzeczywiście w ostatnich latach emigracja tego typu jest bardzo liczna i stale rośnie. Rosną również korzyści, jakie z nich wyciąga kraj. Zamiast armii bezrobotnych pozostających na utrzymaniu społeczeństwa, zamiast przeciążenia zakładów pracy zbędną siłą roboczą, co hamuje modyfikację przemysłu i obniża wydajność pracy, robotnicy jugosłowiańscy wyjeżdżają swobodnie do przemysłowych krajów Europy Zachodniej. Tam, — jak to stwierdza znany pisarz i publicysta Voja Janović w piśmie „Komunista“ — zarabiają dużo więcej, niż mogliby zarobić u siebie w kraju, nabywają kwalifikacji zawodowych w krajach o najwyższej technologii produkcji, robią oszczędności i jeszcze przesyłają do Jugosławii grubą miliony w dewizach. W roku 1960 było to 18 milionów dolarów, w 1962 już 29 milionów, w 1963 — 48 milionów, a w roku 1964 już 60 milionów dolarów. Jugosławia i jej gospodarka uważa to za dobry interes: zyskuje dewizy za eksport pracy, której w kraju jest w nadmiarze, a robotnikom daje szansę lepszych zarobków i lepszego życia.

W ostatnich 12 latach opuściło Jugosławię 315 tysięcy robotników. W najbliższym 5-leciu jest w planie emigracji dalszych 200 tysięcy. Większość emigruje za pracą do Niemiec Zachodnich, Francji, Austrii, Belgii i ostatnio nawet do Szwecji. Obserwacje i przeliczenia wykazują, że po pewnym czasie, prawdopodobnie po zrobieniu pewnych oszczędności, ci emigranci zarobkowi wracają do Jugosławii, skoro obecnie jest ich w Europie Zachodniej tylko około 200 tysięcy. Wracają z doświadczeniem innego życia, z nowymi kwalifikacjami, zasobniejsi w oszczędności i co może najważniejsze ze świadomością, że wiele można osiągnąć dobrze zorganizowaną solidną pracą. Ich postawa wpływa zapewne z kolei i na praktyczne reformy życia w kraju. Jest to widoczne skoro nawet dziennikarze polscy z otoczenia Gomułki, gdy w listopadzie bawił tam z wizytą, nie mogli się nadszwić jugosłowiańskim porządkiem: dobrej obsłudze w sklepach i restauracjach, czystym i dobrze prowadzonym hotelom, sprzątanym porządnie ulicom i w ogóle lepszej organiza-

cji pracy. Poza korzyściami materialnymi są tu zatem widoczne także korzyści społeczne.

A teraz druga sprawa. 19 grudnia 1965 r. radio Belgrad w komentarzu Antona Kolendica, członka belgradzkiego Instytutu Polityki Międzynarodowej i Ekonomii, wysunęło projekt pełnego otwarcia granic dla turystyki, podróży i związanej z tym wymiany walutowej ze wszystkimi krajami, które są skłonne zawrzeć z Jugosławią odpowiednie umowy dwustronne. W pierwszym rzędzie propozycja skierowana jest do tzw. krajów socjalistycznych, a więc Węgier, Bułgarii, Polski, Rumunii, prawdopodobnie Niemiec Wschodnich, ale jako swego rodzaju wzór podaje stosunki graniczne włosko-jugosłowiańskie. Byłoby to związane ze zniesieniem potrzeby wiz, różnych specjalnych przepustek i zezwoleń. Wiązałoby się ze swobodą wymiany przez turystów i podróżnych polskich złotych na węgierskie forinty czy niemieckich marek na czeskie korony, w każdym banku i w każdym mieście.

Rzecznik belgradzkiego Instytutu Polityki Międzynarodowej uzasadnia swój projekt wymogami prawdziwego „internacjonalizmu proletariackiego“, który leży u podstaw międzynarodowego ruchu robotniczego. Obecny mały ruch graniczny między krajami „demokracji ludowych“ określa, jako anomalię, pozostałą po okresie minionym i dziedzictwie historyczno-nacjonalistycznych antagonizmów. Jako przykład, że te nastawienia można przewyżczyć podaje stosunki graniczne włosko-jugosłowiańskie, które jeszcze przez pierwsze cztery lata powojenne były czynnikiem międzynarodowego napięcia, a teraz są przykładem idealnej współpracy.

Charakterystyczne jest również stwierdzenie, że prawdziwej wymiany między narodami nie wypełnią dostatecznie oficjalne wizyty polityczne i wymiana różnych oficjalnych delegacji. Narody, aby się lepiej zrozumieć i bliżej żyć muszą mieć swobodę niekrępowanej granicami turystyki, bezpośredniego poznawania się, co jest dopiero właściwą drogą do zatarcia różnic nacjonalistycznych i antagonizmów historycznych. Jest to również droga do wzajemnego lepszego poznania się i lepszych form życia. Wedle słów komentatora belgradzkiego radia, jest to także zgodne z pojęciami „socjalistycznej demokracji“ i prowadzi do prawdziwego „proletariackiego internacjonalizmu“.

W sumie oznacza to, że rząd jugosłowiański wysuwa projekt otwarcia

granic, bo oświadczono nawet, że będzie dążyć do dalszego rozbudowania swoich 17 umów o wymianie turystycznej z krajami „socjalistycznymi“ i kapitalistycznymi, dążąc do dalszego ułatwiania podróży.

Niejako autorytatywnie narzuca się tu zestawienie tych dwóch spraw ze stosunkami w Polsce. I Polska pod rządami Gomułki ma problem bezrobocia. Prawda, że w innej skali i mniej rażącej formie, ale nawet zwykłe bezrobocie statystyczne, odnotowane na marzec 1965 r. stanowiło 89 tysięcy. Jakże jest bezrobocie faktyczne, ustalić trudniej, ale będzie conajmniej pięciokrotnie większe. Istnieje też problem zbyt dużej siły roboczej zatrudnionej w fabrykach tylko dlatego, że ich produkcja jest przestarzała w metodzie i uzbrojeniu maszynowym. Wszystko to razem składa się na stagnację wydajności pracy, z którą reżim Gomułki walczy, jak i na stagnację płac, która również się przyczynia do stagnacji wydajności. Są wprawdzie okręgi, które cierpią na brak rąk do pracy, jest to jednak pozorne, bo jak stwierdzają nawet komunistyczni obserwatorzy polskiego rynku pracy, wynika ze złego przygotowania zawodowego załóg fabrycznych, gdyż miejsca na które należy wprowadzić bardziej wydajnych robotników wysoko kwalifikowanych, zajmują w większej ilości robotnicy niewykwalifikowani, co tylko sztucznie zwiększa zatrudnienie. Jest to w pewnym stopniu błędne koło. Trudności nie da się rozwiązać dotychczasowymi metodami, wymuszania pracy wydajnej przez „brygady pracy socjalistycznej“. Już dużo skuteczniej pomogłaby tu metoda jugosłowiańska otwarciem granic dla emigracji zarobkowej. Korzyści polskie byłyby podobne, a może nawet większe. W zasadzie Polska ma wystarczające możliwości zatrudnienia i dobrego ekonomicznego wykorzystania wszystkich swoich obywateli. Rozwiązanie problemu hamują jednak biurokratyczne i doktrynalne nawyki obecnej administracji. Wprawdzie nie widzę ani możliwości, ani celowości kierowania nadwyżką polskiej siły roboczej do Niemiec Zachodnich, jak to praktykuje Jugosławia, ale np. odpowiednie kontyngenty skierowane na parę lat do Szwecji są chyba możliwe. Leży również w granicach praktycznych możliwości emigracja zarobkowa do W. Brytanii, która w najbliższym 5-leciu będzie miała niedobór siły roboczej sięgający 200 tysięcy osób, a gdzie robotnik polski ma dobrą markę.

Poza zdobytymi dla Polski dewizami miałyby to również i lokalne skutki w polityce zatrudnienia. Zakłady, które obecnie każdy plan realizują przez zwiększenia takiego zatrudnienia, w odmiernej sytuacji, gdy na rynku pra-

cy nie będzie nadmiaru siły roboczej, będą musiały usprawnić metody produkcji i zmodyfikować uzbrojenie produkcyjne. Nastąpi naturalna tendencja wzrostu płac i troski o pracownika, a to z kolei wzmoże wydajność pracy. Efektem końcowym będzie usprawnienie i potaniejanie polskiej produkcji przemysłowej, a więc i jej konkurencyjność na rynkach zagranicznych.

Podobnej natury korzyści mogłaby Polska wyciągnąć z pozytywnego ustosunkowania się do jugosłowiańskich projektów zniesienia formalności wizo-

wo-paszportowych w stosunkach grantycznych krajów tzw. socjalistycznych. I tu swobodna wymiana turystyki, a w oparciu o nią szersza wymiana obserwacji i doświadczeń może tylko usprawnić polskie stosunki społeczno-gospodarcze. Argument o praktycznym zastosowaniu „proletariackiego internacjonalizmu“ powinien ułatwić decyzję, nawet doktrynerom z KC PZPR.

W sumie należy życzyć rodakom w Kraju, aby Gomułka i jego reżim zdecydowali się pójść za przykładem Jugosławii. **Tadeusz Podgórski**

LUDZIE EMIGRACJI

NA MISYJNEJ PARAFII

Jakże trudno jest cokolwiek na emigracji odbudować. Raz załamująca się jakaś działalność podkopuje zaufanie. Stwarza zapórę nieprzebranych trudności dla tych co zdecydują się następnie dźwigać z ruiny tę samą budowlę. W normalnych warunkach społecznego życia nie chce stać w miejscu. Samo dźwiga się po każdej klęsce czy niepowodzeniu. Samo wypracowuje nowe formy. Na emigracji jest inaczej. Niepowodzenie otwiera drogę do rezygnacji. Jak gdyby nakłania do pogodzenia się z losem. Do wtopienia w obce otoczenie. Do przyjęcia jego form życia i akceptowania jego instytucji. A jeśli nawet uda się czasem podźwignąć jakąś emigracyjną działalność z upadku, z reguły jest ona już znacznie skromniejsza od tego co było poprzednio. Pogubią się ludzie, roztrwoną energią, zuboższą środki.

A przecież może się zdarzyć, że właśnie z upadku, jakby na przekór regule nowe życie organizacyjne zakwita bujniej i żywiej. Takiego cudu dokonał w parafii misyjnej Blackburn—Preston, ks. Stanisław Cześnikowski. Przez szereg lat działalność parafialna była tu wątła. Parafia rozbita na 15 ośrodków, w tym tylko dwa większe, chociaż liczy prawdopodobnie do 3 tysięcy Polaków, nie przejawiała poważniejszego życia religijnego. Wiele złożyło się na to przyczyn, których może lepiej nie przypominać. Gdy przed trzema laty objął parafię ks. Stanisław Cześnikowski, była skłócona i zubożona. Poza nieco licznymi grupami w Preston i Blackburn wszystko inne było w rozprężeniu. Samozaparcie, ofiarną pracą, dobrą radą i przykładem powoli dźwigał ks. Cześnikowski nowe dzieło. Rosło, przężniało, aż stało się żywym ośrodkiem polskim. Idealne współdziałanie z kołami kombatanckimi w Preston i Blackburn pozwala na sumowanie polskich

wysiłków. Nacisk na polskie szkolnictwo wciąga młode pokolenie. Umiejętności dotarcia do tych co się zagubili, sprawia że gromada polska nie topnieje, lecz stale się rozrasta.

Możliwości parafii nie są wielkie, bo teren jest trudny. Ale w granicach możliwości systematyczną pracą, poświęceniem i uporem zbudował ks. Cześnikowski jeśli nie wzór, to w każdym razie dobry przykład polskiej parafii misyjnej w ośrodku robotniczym. Jest ona czynnikiem ogniskującym zgodne polskie współdziałanie. Grupuje polskie wspólnoty. Gromadzi doświadczenia. Dzięki temu ma tendencję stałego rozwoju.

Warto więc może przyjrzeć się temu dzielnemu kapłanowi, co w tak krótkim czasie odmienił stosunki życia polskiego na tym dość rozległym obszarze. Pochodzi spod Tarnopola. Szkołę średnią ukończył we Lwowie, gdzie na politechnice rozpoczął studia techniczne. Podczas wojny był podchorążym w 1 Dywizji Grenadierów we Francji, a w czasie walk dywizji dostał się do niewoli niemieckiej. Po wojnie dołączył do 2-go Korpusu we Włoszech. Po demobilizacji odnajduje w sobie powołanie kapłańskie i udaje się na studia teologiczne do Rzymu. Po otrzymaniu święceń jest przez parę lat wikarym na Clapham w Londynie. Ostatnia, 3-letnia praca duszpasterska w Blackburn, dała dowód że ks. Cześnikowski wypracował nową metodę działalności parafialnej, która już pięknie owocuje. Bo poświęcenie i praca zawsze dają wyniki. Tym większe im pełniejsze jest rozpoznanie warunków, w których trzeba pracować.

ODWAGA I WYTRWAŁOŚĆ

Kogo los zastał po wojnie poza krajem ten świadomie wybierał emigrację, znając już całą jej przykrą stronę. Mając pełną ocenę trudności w jakich

wypadnie mu się w obcym świecie borykać. Miał też najczęściej, chociażby w oparciu o wojsko, jakieś minimalne pole nowego startu. Inaczej było z inż. Henrykiem Brzechwą. Na emigrację zdecydował się jako student w r. 1949. Uciekł wtedy do Szwecji. Tam szczęśliwie dostał prawo azylu i prawo pracy. Zaczął jako robotnik fabryczny. Uparł się wybić. Opanował trudny język. Szwedzi, orientując się że ma zdolności, umożliwili mu ukończenie studiów mechanicznych. Gdy osiągnął stopień naukowy z całym entuzjazmem oddał się praktyce zawodowej. Szybko wybijał się pracowitością i uporem. Obecnie jest głównym projektantem nowoczesnych walcowni stali w słynnych zakładach Morgårdshammars w centralnej Szwecji. Pięć najnowocześniejszych w świecie walcowni stali szlachejnych, zbudowanych przez Szwecję w ostatnich latach, jest jego projektu. Z tego tytułu jeździ dużo po świecie. W tym roku uruchamiał w Sheffield najnowszą angielską walcownię stali szlachejnych, zdolną produkować wysokowartościowe pręty stalowe grubości do 5 i pół mm. z szybkością 31 m. na sek.

Powiada: Utrzymanie się na dużej pozycji technicznej nie jest trudne. Najtrudniejsze jest wybić się w obcym środowisku. Trzeba mieć silną wolę i upór, by przecisnąć się w ciżbie konkurentów. W Szwecji jest wielu Polaków, którzy w trudnych warunkach obcego środowiska potrafili tego dokonać.

T. P.

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W.11.
Tel. BAT 0879



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

B.D.I.C

JAN TOKARSKI

Czy Sobór jest ponad Papieżem?

— KONCYLIARYZM —

Część Druga *)

VI

JAKIE są źródła koncyliaryzmu?

Tym pytaniem kończył się poprzedni artykuł w listopadowym numerze „Orla“. ściśle mówiąc należałoby się zapytać o źródła idei koncyliarynych. Bo choć ten wielki i wiekami narastający ruch posiadał cechy wspólne, to jednak nie da się sprowadzić do wspólnego mianownika. Jego eksponenci różnili się między sobą znacznie w poglądach nawet na sprawy węzłowe, co zwłaszcza wystąpiło po Konstancji, w okresie soboru bazylejskiego.

Koncyliaryzm w znaczeniu historyczno-teologicznym, czyli ten ruch, który odegrał zbawienną rolę w przywróceniu jedności i ocaleniu Kościoła zachodniego od rozbięcia i schizmy dwu a potem trzech papieży, jest wpływem zarówno teoretycznych rozważań nad naturą Kościoła, jak też różnych praktycznych, przeważnie politycznych, sytuacji i konfliktów. A więc po-

siada źródła teoretyczne i praktyczne.

Jako teoria miał korzenie podwójne, pozytywne. Źródłem pozytywnym był właściwie zawsze obecny także w chrześcijaństwie łacińskim pogląd na naturę Kościoła, który można sprowadzić do jednego uproszczonego zdania: wszelka władza w Kościele jest służbą, a nie panowaniem, a również Kościół jako instytucja zbawienia jest na usługi i dla dobra osoby ludzkiej. Był to ewangeliczny pogląd na Kościół, który tak silnie zaznacza się jeszcze w XII wieku u św. Bernarda, zwłaszcza w jego admoniejach (5 ksiąg), skierowanych do Eugeniusza III. Występuje również i u scholastyków, a na samym początku XIV w. dał mu umiarkowany wyraz głośny tomista paryski, dominikanin Jean Quidort (Joannes Dormiens, zwany też Surdus, Le-sourd, tj. Głuchy) w traktacie „De potestate regia et papali“ 1). Jan Śpiący powiada tu, że papież nie jest panem, lecz sługą choć równocześnie najwyższym członkiem Kościoła. Jest reprezentantem całej społeczności kościelnej i tylko szafarzem, dispensator, wszystkich dóbr kościelnych, duchowych i doczesnych. Panią i właścicielką jest Kościół Powszechny, który może papieża pociągnąć do odpowiedzialności za jego działalność. U Jana też występuje — jak mi się zdaje po raz pierwszy — postulat zreali-

*) Część pierwsza studium Jana Tokarskiego o ruchu koncyliarynym ukazała się w numerze listopadowym 1965 „Orla Białego“.

1) Tekst według 20 zachowanych rękopisów wydał Dom Jean Leclercq, OSB, w: Jean de Paris et l'ecclésiologie du XIII-e siècle, str. 173-166, Paryż 1942.

zowany dopiero podczas ostatniej sesji II Soboru watykańskiego, aby papież miał przy sobie synod (choć Jan tego terminu nie używa) przedstawicieli wszystkich Kościołów partykularnych, to jest prowincji kościelnych: „Et sic certe esset optimum regimen ecclesie si sub uno papa eligerentur plures ab omni provincia et de omni provincia ut sic in regimine ecclesie omnes aliquo modo haberent partem suam“²⁾. Było bowiem odwieczną zasadą kościelną, że w sprawach, które wszystkich dotyczą, wszyscy muszą mieć udział, lub być reprezentowani. Dlatego też przez długi czas synody przypominały, że wybór biskupa jest nieważny bez udziału ludu. (Przez czas długi dotyczyło to także obioru biskupa rzymskiego). Nawet kiedy w późniejszym średniowieczu zakradł się czy zapanował zwyczaj wybierania biskupa tylko przez kapituły, jeszcze wtedy przypomniano, że jego władza pochodzi bezpośrednio od Boga (bez pośrednictwa papieskiego, które tu niczego istotnego nie dodaje) i poprzez wybór lub zgodę ludu: „Potestas praelatorum inferiorum non est a Deo mediante papa, sed immediate a Deo et a populo eligente vel conveniente“. jak właśnie podkreśla wspomniany Jan z Paryża.

Lecz Jan już uwikłany był w wielką polemikę, jaka się rozpełtała pomiędzy obozem Bonifacego VIII a królem Filipem Pięknym. I tu dotykamy owego drugiego, czyli negatywnego tj. polemicznego źródła teorii koncyliarnych, jako reakcji przeciw jednostronności monarchizmu papieskiego i coraz większych czysto jurydycznie rzymskich uroszczeń władzy papieża, widocznych już u św. Leona Wielkiego (wiek V), rozwiniętych z końcem X i w początkach XI wieku przez papieży „niemieckich“, a którym szczególny rozpęd nadał św. Grzegorz VII. Hildebrand-Grzegorz przekreślał ewangeliczny służebny charakter władzy w Kościele i Kościoła samego przez sformułowanie zasady, że Kościół nie jest sługą, lecz panią: *Ecclesia est*

domina. Zwłaszcza do czasu Innocentego III obserwujemy przesadny papalizm pewnego typu kanonistów, zwanych też kurialistami. Rozwijają oni teorię, którą w innym artykule w „Orle“ nazwałem „kefalizacją“ (od greckiego słowa oznaczającego głowę). Ta teoria lub raczej zespół teorii rezerwowała papieżowi absolutną pełnię wszelkiej możliwej władzy nie tylko in spiritalibus lecz także in temporalibus. Idzi z Rzymu np. dowodził, że poza Kościołem nie istnieje żadna prawdziwa władza ani nawet własność. Także cesarstwo byłoby tylko uzurpacją, gdyby papież cesarza nie wybierał lub nie potwierdzał.

Nie mówiąc już o uzurpacjach w dziedzinie politycznej, których władza świecka nie uznawała, owa kefalizacja niosła z sobą w eklezjologii, to jest teologii Kościoła, i jego rzeczywistości codziennej nie tylko zatarcie właściwych relacji pomiędzy jego głową a innymi członkami i różnymi instytucjami; nie tylko czyniła coraz mniej rzeczywistą funkcję soboru i rolę biskupów oraz jej ewangeliczny charakter; nie tylko zmieniła pogląd na naturę Kościoła: ale zasłaniała sam Kościół Powszechny. Cały Kościół zaczynał być jakby tylko funkcją zasady hierarchicznej, upostaciowanej w papieżu, gdy — odwrotnie przecież cała struktura hierarchiczna łącznie z papieżem została powołana do istnienia dla dobra Kościoła. Wspomniany Idzi z Rzymu (Aegidius Romanus) czy Sylwester Prierias wyraźnie utożsamiają Kościół z papieżem, a kardynał Piotr Amelii z papieżem, inni zaś z papieżem i kolegium kardynalskim.

Tymczasem fakty dowiodły sztuczności i nierealności uroszczeń. Bo kiedy właśnie papieżstwo (i kolegium kardynalskie) wprowadziło cały Kościół zachodni w głęboki kryzys, trwający bez mała 40 lat, okazało się, że papieżstwo ani nie umie ani nie może rozwiązać go własną mocą i autorytetem. A jednak w tej wyjątkowej sytuacji wyjście z kryzysu się znalazło: Własnie koncyliaryzm położył kres rozdarciu Kościoła. Sobór zdeponował wszystkie trzy konkurencyjne papieży, panujących jednocześnie, a postawiwszy w słynnym dekreście „Haec Sancta“ (6.IV.1415) zasadę papieża pod soborem, wybrał papieża

za czwartego i w ten drastyczny sposób ratował Kościół i samo papieżstwo.

Czy więc koncyliaryzm miał naprawdę „charakter rewolucyjny“ jak to jeszcze 3 lata temu napisał prof. Tadeusz Silnicki³⁾, zresztą zgodnie z niemal jednobrzmiącą do niedawna opinią historyków?

VII

DWA główne zagadnienia pochłaniały uwagę średniowiecznych myślicieli prawnopolityczno-teologicznych. Jednym był odwieczny na Zachodzie konflikt między władzą świecką a duchowną, między *regnum* a *sacerdotium*. Drugi dotyczył natury Kościoła, zakresu i jednocześnie granic władzy jego głowy widzialnej, właściwych stosunków różnych jego członków, ustruktowania różnych jego instytucji. Życie sprawiało, że często oba te zagadnienia ściśle się z sobą łączyły a nawet mieszały. Stronicy cesarza Fryderyka II w wieku XIII, francuskiego Filipa Pięknego na przełomie wieków XIII i XIV i cesarza Ludwika Bawara w pierwszych dziesiątkach wieku XIV w różnych fazach konfliktu pomiędzy *regnum* a *sacerdotium* przeciw różnym uroszczeniom papieży i kurialistów, odwoływali się to do kolegium kardynalskiego, to do soboru powszechnego jako instytucji mających reprezentować większy autorytet od indywidualnego papieża. A więc idea soboru przeciw papieżowi czy ponad papieżem stała się ulubionym chwytem władców i ich doradców, specjalistów od prawa rzymskiego czyli legistów, a także niektórych teologów i kanonistów. Lecz jak pisze prof. Brian Tierney, ⁴⁾ z którego wprowadzenia do tych spraw tu korzystam, obie te sfery zagadnień, polityczna i eklezjologiczna (tj. *regnum* i *sacerdotium* z jednej strony, i natury Kościoła, etc. z drugiej), pomimo

³⁾ Polska i Sobory, str. 35. PAX, 1962.

⁴⁾ Foundations of the Conciliar Theory. The Contribution of the Medieval Canonists from Gratian to the Great Schism, str. 1, w serii: Cambridge Studies in Medieval Life and Thought, New Series, vol. 4. Cambridge University Press, 1955. Dopiero od tego dzieła zaczął się przełom w badaniach nad koncyliaryzmem, prowadzonych dalej już po liniach wytkniętych przez Ullmanna i Tierneya zwłaszcza przez badaczy niemieckich i austriackich.

²⁾ „Toteż najlepszy rząd Kościoła byłby taki, żeby pod jednym papieżem wybierać przez każdą prowincję i z każdej prowincji tylu, ilu tylko można: by w ten sposób poniekąd wszyscy mieli udział w rządzie Kościołem“ (przekł. J.T.).

zazębiana się w konkretnym życiu były odrębne w porządku logicznym; a co do sposobów ich rozwiązania panowały ostro zarysowane rozbieżności.

Pierwszy problem, upostaciowany w konflikcie pomiędzy cesarstwem a papieżem, nie mógł w ogóle znaleźć rozwiązania w średniowiecznej społeczności zachodniej. Średniowieczne rojenie o uniwersalnej monarchii rodziny narodów, każdy lud pod własnym władcą, lecz wszystkie pod przewodnictwem cesarza, nigdy nie stało się rzeczywistością. Poza Niemcami istniało bowiem drogą faktu tylko tam, gdzie cesarzom udało się wprowadzić uzależnienie militarno-polityczne, jak np. w niektórych częściach Włoch, czy w Czechach. Toteż konflikt teoretyczny w tej sprawie papalistów i tak zwanych imperialistów, tj. kuralnych kanonistów i legistów, musiał wreszcie umrzeć śmiercią naturalną, zanim jeszcze zdołano wypracować jakieś jasno zdefiniowane wyjście: Sprawily to rodzące się nacjonalizmy, powstawanie państwowych formacji narodowych, co dokonało nieodwracalnych faktów politycznych.

Zupełnie inny los miały najróżniejsze, często przeciwstawne, teorie dotyczące wewnętrznego ustroju Kościoła, jedyne, jak była o tym mowa wyżej, mające charakter rozważań pozytywnych, a drugie polemicznych — w wyniku powstających konfliktów. Gdy w problemie regnum i sacerdotium przebieg wypadków uczynił nawet poszukiwanie teoretycznego wyjścia zbędnym, gdyż zabrakło dla niego zastosowania praktycznego, tutaj właśnie przebieg wypadków zmusił zarówno zwolenników papieskiego absolutyzmu jak też zwolenników wyższości soboru do poszukiwania nie tylko rozwiązania teoretycznego, lecz także praktycznego. I papaliści i koncyliaryści staną w pewnej chwili przed koniecznością uregulowania machiny rządu Kościołem. Od razu jednak należy przypomnieć, że koncyliaryści, którzy to rozwiązanie znajdują, nie przekreślali bynajmniej ani nie negowali specjalnej roli papieża w Kościele, często nawet jeśli chodzi o samo zwołanie soboru, który w normalnych warunkach żeby być prawomocny, musiał ich zdaniem być ogłoszony przez papieża.

Albowiem wbrew temu, co pamiętamy z nauki historii czy historii Kościoła, koncyliaryzm nie był bynajmniej jakimś awanturnictwem zbłąkanych teologów i kanonistów, którzy wystąpili z niesłychanymi i radykalnie nowymi teoriami. Faktem jest, że wszystko, co było najlepszego wówczas w łacińskim chrześcijaństwie i wszyscy, którym najbardziej leżał na sercu problem uzdrowienia Kościoła i wyprowadzenia go ze śmiertelnego kryzysu, skupią się właśnie w tym wielkim ruchu myśli teologiczno-kanonistycznej. A sobór w Konstancji, który wyjście z kryzysu znalazł, nie tylko że nie był dziełem radykałów ani — tym mniej — rewolucjonistów, lecz triumfem zdrowych konserwatystów kościelnych.

VIII

DO niedawna, faktycznie do roku 1955, historycy powszechnie niemal wyprowadzali koncyliaryzm z pism Marsyliusza z Padwy (zm. 1342) i Williama Ockhama (zm. 1349). W rzeczywistości koncepcja soboru jako „reprezentacji“ całej społeczności chrześcijańskiej i przede ponad papieżem, lub też, w innym ujęciu, teoria, że jak świat większy jest niż Rzym (orbis maior est Urbe), tak też papież z soborem większy jest niż papież sam (papa cum concilio maior est papa solo), pochodzi ze znacznie dawniejszych czasów, niż obaj słynni polemici, pomiędzy którymi zresztą zachodzą istotne różnice. Do czego jednak sprowadzało się w najgrubszym uproszczeniu i tylko w tej dziedzinie — rozumowanie Marsyliusza i Ockhama?

Znakomity historyk kościelny msgr Hubertus Jedin w swej „Kleine Konziliengeschichte“ 5) w taki sposób streszcza ich poglądy:

„Tak jak państwo tworzy się przez wolę ludu i jest budowane od dołu, podobnie jest i z Kościołem. Jego hierarchia, papież i biskupi nie są z ustanowienia Chrystusa, lecz tylko wynikiem procesu historycznego. Władza kościelna, ograniczona do głoszenia słowa Bożego i sprawowania sakramentów jest nadana

społeczności wiernych. Sobór powszechny reprezentuje Kościół i jest wyższy od wszelkich stopni duchownych hierarchii, papieża nie wyłączając“ 6).

„Wiemy obecnie, pisze wspomniany uczony, że to wyprowadzanie teorii koncyliarnej z Marsyliusza i Ockhama, celowo tu przez nas uproszczone, aby tylko wystąpiło jak najjaśniej, nie odpowiada prawdzie. Przede wszystkim pojęcie „reprezentacji“ jest starsze od Marsyliusza i w swym rozwoju nic mu nie zawdzięcza“ 7).

To prawda (choć niezupełna). Należy tu jednak wprowadzić różniczenie pomiędzy poglądami Marsyliusza i Ockhama. Bo choć obaj znaleźli się w tym samym obozie antypapieskim i procesarskim (w otoczeniu cesarza „bawarskiego“), ich poglądów nie da się sprowadzić do jednego mianownika nawet do tego stopnia świadomie uproszczonego: czy też raczej: zwłaszcza że aż do tego stopnia uproszczonego, jak to uczynił znamienity historyk soboru trydenckiego.

Marsiglio di Padova jest jak wiemy autorem najzjadliwszej książki ‘antykościelnej’, jaką wydało średniowiecze: „Defensor Pacis“. Cesarz jest tym „obroncą pokoju“ tak Europie potrzebnego, a burzonego i rozrywzanego przez papieża i Kościół. Kościół zaś w tradycyjnym ujęciu zdaniem Marsyliusza stanowi uzurpację, jest oszustwem. Jest to jedynie pewne „stowarzyszenie“, w danym wypadku „societas creditum nomini Jesu Christi“. Stowarzyszenie wierzących Imieniu Jezusa Chrystusa i tacy wierzący są wszyscy równi. Podział na duchownych i świeckich jest jego zdaniem czymś drugorzędnym, nie istotnym i wprowadzonym tylko przez wymysł ludzki. I dopiero tutaj jest miejsce na twierdzenie, wspomniane przez Jediną, iż w Kościele jedna tylko funkcja ma pochodzenie boskie: sprawowanie sakramentów. Władza odprawiania Mszy, wyświęcania kapłanów i odpuszczanie grzechów jest istotnie pochodzenia boskiego i należy do kapłanów regularnie wyświęconych. Lecz funkcja duchownych kończy się na tych czynno-

5) Herder, Freiburg 1959. Przekład angielski pt. Ecumenical Councils of the Catholic Church (Herder, Freiburg i Nelson, Edinburgh—London, 1960).

6) Id., ibid., s. 106.

7) Ibid., s. 106.

ciach sakramentalno-liturgicznych. Jednak w żaden sposób nie należy do duchownych decyzja ani kto ma otrzymać święcenia, ani dla jakiej części Kościoła, ani w jakim stopniu hierarchicznym, ani pod jakimi warunkami kapłan ma być kapłanem. To zależy od powszechności wiernych. Powszechność może wyznaczać na urzędy i stanowić o ich stopniu i rodzaju, a tylko sobór, a więc reprezentacja powszechności, ma prawo do sankcji i ekskomunikacji. Od powszechności też sobór otrzymuje znaczenie.

Faktycznie jednak wynika z poglądów Marsyliusza, że i sobór posiada znaczenie dość fikcyjne. Albowiem nie ma mocy do wydawania takich decyzji, które składałyby się na sprawowanie rządów Kościołem. Rząd nad Kościołem Marsiglio daje władzy świeckiej. Czym jest bowiem Kościół? „Kościół” to aspekt religijny społeczeństwa, odbicie tego, co w danej chwili społeczeństwo potrzebuje jako religii lub „czuje” jako religię. O wszelkich zaś potrzebach społeczeństwa musi decydować władca. Przeto władca świecki nie tylko ma prawo rządzenia Kościołem, lecz jest to jego podstawowy obowiązek. Zresztą już w XIII wieku Fryderyk II miał podobny stosunek do religii jako pewnego rodzaju „świadczenia” państwowego i wobec państwa. Religia jest czymś takim jak podatki i państwo ma prawo „wymieścić” tyle tylko i „takiej” religii, jak i ile uzna za stosowne i potrzebne. Dla Marsyliusza zaś religia stanowi wydział czy departament (*pars*) państwa; a cesarz, głowa uniwersalnej monarchii chrześcijańskiej, ma prawo do usuwania papieża (*Def. pacis, dictio 2.c.25*).

Głównym celem władcy to zapewnić państwu jedność. Ku temu służą sankcje, jako źródło praw. Istota praw państwowych polega zdaniem Marsyliusza na stosowaniu sankcyj, które w tym celu lud deleguje władzy świeckiej. Wszystko więc co ta władza postanawia, zarządza i nakazuje, posiada walor i moc prawa. Jest prawem. Byłoby zgrabną rzeczą dla jedności i spójności państwa, gdyby wolno było zastanawiać się komukolwiek nad tym, czym prawo jest „dobre” czy „złe”. Są to niedopuszczalne kryteria. Państwu nie wolno się godzić na to,

aby istniał autorytet, który by sobie pozwalał na krytykowanie jakiegokolwiek postanowienia legalnego ze stanowiska moralności i głosił, że dane prawo jest niesprawiedliwe, krzywdzące, sprzeczne z prawem natury, itp. Tymczasem taką własnie funkcję przypisuje sobie Kościół i spełnia ją od wieków. Potępia on niektóre prawa jako tyranie, bo są sprzeczne z pojęciem sprawiedliwości, ostrzega władców, upomina ich, grozi karami, wreszcie karze rzeczywiście, a poddanym państwa Kościół mówi, że niesprawiedliwych i tyrańskich praw nie mają ani nawet nie powinni słuchać.

Tymczasem państwo tak musi być zorganizowane, aby żaden papież czy biskup nie mógł sobie pozwolić na wykonywanie tego rodzaju destrukcyjnej funkcji. W państwie może i musi istnieć tylko jedna władza, jeden autorytet. Nie może zatem być w nim miejsca na jakiegokolwiek ciała i społeczności uprzywilejowane, na żadne immunitety. Nawet więc dla samego dobra Kościoła wierni Chrystusowi

muszą być poddani władcy świeckiemu, jego prawom i jego sędziom także w dziedzinie ściśle kościelnej: to jest tam, gdzie prawo boskie w celu realizacji potrzebuje czynnika ludzkiego. Dlatego tylko państwo może uczyć religii przy pomocy odpowiednio wyszkolonych i tacy tylko mogą sprawować funkcje liturgiczne. Nie istnieje bowiem nic żeby nie wiedzieć jak subtelnie duchowego, co by w jakiś sposób nie dotyczyło dobra zbiorowości politycznej. Z tego zaś wynika, że państwo musi kontrolować całą sferę duchową i panować nad nią, musi regulować życie kleru, narzucać mu wzory postępowania, nawet rodzaj postów, modlitw i umartwień. Wypada też się zastanowić, czy nie należy odebrać duchownym wszelkiej własności a zdać ich w duchu ewangelicznego ubóstwa na łaskę i utrzymanie państwa: bo to stanowić będzie dla władcy jeszcze jeden stopień kontroli. W przyszłości też tylko państwo może mieć w swych rękach wszystkie ośrodki wykształcenia i formowania zwłaszcza klas wyższych i takie ich urabianie pod każdym względem, aby te klasy stały się posłusznym narzędziem państwa w realizowaniu jego celów.

Widać z tego przeglądu, że choć Marsiglio di Padova przyznawał soborowi prawo ograniczonej sankcji, to jednak nie tylko nie zapoczątkował, ale nawet nie przyczynił się do sformułowania teorii koncyliarnej, bo praktycznie także soborowi zaprzeczał konkretnej rzeczywistości. Istotnym składnikiem koncyliarizmu jest pojęcie reprezentacji: że sobór jest reprezentacją najwyższych uprawnień całego Kościoła, przeto jego postanowienia wiążą wszystkich łącznie z biskupami i papieżem. Tak pojęta reprezentacja Marsyliuszowi jest raczej obca. Choć podstawą wszystkiego jest dlań „lud”, jednak ów „lud” deleguje swoje sankcje władzy świeckiej, i to we wszystkich dziedzinach, także kościelnej i religijnej. A władca, rząd, władza świecka, organizacja i funkcjonowanie państwa, to raczej narzędzie ludu niż jego „reprezentacja”.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jan Tokarski

Józef Garliński

„Z I E M I A”

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność” i „Matki i żony”).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom XCIX

Wincenty Witos

MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

Gdy chcesz pokoju — bombarduj kraj nieprzyjaciela

„Jeśli chcesz pokoju — gotuj się do wojny“, to stara zasada rzymska, która bywała często wytyczną polityki państw. Obecna polityka amerykańska można, według tego wzoru sparafrazować, jako „Jeśli chcesz pokoju — bombarduj kraj nieprzyjaciela“.

Prez. Johnson ze swymi doradcami stoi twardo przy poglądzie, że komunisty mogą być skłonieni wyłącznie siłą do zaprzestania dywersji i ataków na południowy Wietnam, a to wymaga przeniesienia akcji zbrojnej na obszar powyżej 17 równoleżnika, przynajmniej z powietrza i przynajmniej do bombardowania dróg komunikacyjnych i ośrodków przemysłowych. Bombardowanie to zostało, po zawieszeniu go 24 grudnia 1965, z końcem stycznia wznowione. Podczas przerwy Biały Dom prowadził swoją głośną ofensywę pokojową, która teraz ma być kontynuowana obok wznowionych ataków lotniczych na północny Wietnam. Za teren jej obrano z początkiem lutego Radę Bezpieczeństwa ONZ.

IDEOLOGICZNA SŁABOŚĆ AMERYKAŃSKIEJ WALKI Z KOMUNIZMEM

Najlepszą obroną jest atak i prowadzenie wojny, w której atakować może tylko nieprzyjaciel, jest zbyt poważnym obciążeniem dowództwa i armii, która przez to musi być narażona na dodatkowe straty. Z punktu widzenia wojkowego postulat ofensywy co najmniej powietrznej na płn. Wietnam jest więc zupełnie zrozumiały i uzasadniony. Słabiej przedstawia się on natomiast w połączeniu z postawą ideologiczną, jaką w wojnie wietnamskiej — na tle swojej ogólnej polityki koegzystencji — zajmują Stany Zjednoczone. Jest to ideologia obrony wolności jedynie południowego Wietnamu i śmiertelnego zwalczania komunizmu jedynie na jego obszarze. Tak ograniczony geograficznie ideał wojenny Waszyngtonu w Wietnamie został ostatnio jeszcze raz sformułowany przez prez. Johnsona w noworocznym orędziu o Stanie Unii, wygłoszonym 12 stycznia 1966.

Tymczasem, takie geograficzne ograniczenie odbiera antykomunistycznemu ideałowi Amerykanów głębszy charakter oraz uniwersalną kwalifikację moralną. Skoro komunizm jest tak zły i groźny dla narodów, że warto poświęcać dla zwalczania go życie ludzkie na terenie płd. Wietnamu, to dlaczego ma

się tolerować go na terenie północnym tegoż kraju? Dlaczego koegzystuje się z nim w polityce światowej? Dlaczego aprobuje się jego panowanie nad kilkudziesięciu narodami Azji i Europy? Takie pytania stawiają sobie z pewnością przede wszystkim południowi wietnamczycy, którzy przecież stanowią całość z swoją północą i takie pytania muszą się też nasuwać samym żołnierzom amerykańskim.

Mocniejszą postawę dla swego fanatyzmu mają tu komuniści wietnamscy, którym przyświeca ideał „wyzwolenia“ całego kraju rodzinnego, podczas gdy rząd sajsjoński walczy, według miarodajnej interpretacji amerykańskiej, tylko o jego połowę. Z drugiej strony, dwuznaczna postawa ideowa Amerykanów wobec komunizmu ułatwia propagandę, że jest on przez nich zwalczany tylko tam, gdzie zagraża mocarstwowym interesom Stanów Zjednoczonych, a raczej ogólne i obiektywne walki z nim są więc wysuwane ze względów egoistycznych oraz nieszczerze.

I ARMATY I MASŁO...

Według orędzia prez. Johnsona Stany Zjednoczone są krajem tak silnym gospodarczo, że nie stoi przed nimi alternatywa „armaty czy masło“, głośna przed drugą wojną światową i obowiązująca większość narodów współczesnych. Przemawiając 12 stycznia, Prezydent oświadczył, że będzie „szukał dróg do pokoju nieprzerwanie, lecz nie kosztem poświęcenia płd. Wietnamu, ani kosztem głównych celów Wielkiego Społeczeństwa wewnątrz kraju“.

W rzeczywistości, budżet wniesiony do kongresu 24 stycznia, wynoszący po stronie wydatków olbrzymią sumę blisko 113 miliardów dolarów, przewiduje na inwestycje wewnętrzne, związane z programem Wielkiego Społeczeństwa, 3 i 1/2 miliarda więcej, niż w roku bieżącym, ale w następnym okresie tempo tego wzrostu ma spaść do 2,1 miliarda. Można stąd wnosić, że jednak pewien wpływ, ograniczający wydatki wewnętrzne, wywarło na budżet przewidywane przeciąganie się wojny. Niemniej, gospodarka amerykańska jest w stanie imponującej dynamiki. Bezrobocie spada nieustannie i z cyfry 7% przed pięciu laty doszło do 4% w roku obecnym. Wytwórczość w tymże minionym 5-leciu rosła przeciętnie o 5,5% rocznie, a ceny równocześnie podnosiły się tylko o 1,3%. Amerykański dochód narodowy, według budżetowego orędzia,

wzrośnie w bieżącym roku o 46 miliardów do rocznej sumy 722 miliardów.

Wspaniały ten organizm gospodarczy ma bez wątpienia możliwości finansowania olbrzymich imprez pokojowych i wojennych zarazem. A jednak światowa ekspansja komunistycznej dywersji, sięgająca coraz śmielej również na zachodnią półkulę, może go też stawiać wobec zadań na dalsza metę uciążliwych lub nawet przerastających amerykańskie siły ekonomiczne. Bogactwo materialne znaczy wiele, ale bez konsekwentnej polityki i pogłębienia ideologii może się okazać niewystarczającym do zwycięstwa atutem.

KUBA CENTRALĄ ANTY-IMPERIALIZMU

Powstrzymywanie, czyli „containment“, komunistycznej ekspansji poza powojenne granice sfer wpływów w Europie i poza linię bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, określaną w Azji nad Pacyfikiem, po objęciu władzy przez komunistów w Chinach, przełamane zostało najbardziej prowokacyjnie przez czerwony reżym dr Fidel Castro na Kubie. Tuż pod bokiem Ameryki Północnej, czyli ponadto z pogwałceniem doktryny Monroe, zaprzeczającej ustrojom innym, niż demokratyczne, prawa bytu na zachodniej półkuli, komunizm zdołał utworzyć swoją ofensywną bazę, którą od lat Waszyngton bezskutecznie próbuje zlikwidować.

Ostatnio, siódma rocznica tego reżymu święcona była w Hawanie szczególnie uroczystości i połączona z trójkontynentalną konferencją „antymperialistyczną“ ludów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. W przeciwieństwie do afro-azjatyckiego tzw. Bandungu, którego zjazd w Algierze dwukrotnie musiano odwołać, rozszerzony ten o Amerykę Łacińską międzynarodowy zespół, przez komunizm dyrygowany, odbył swoją konferencję w stolicy Kuby z powodzeniem. Nie tylko bowiem zjechało się w Hawanie blisko sto delegacji, w czym dwadzieścia kilka amerykańskich, nie tylko 35-osobowe delegacje Moskwy i Pekinu, m. m. że toczyły między sobą zwykłe spory, dotrwały do końca i uzgodniły końcową rezolucję. Nadto, duch jej szedł po linii rewolucyjnych postulatów dr Fidel Castro i Hawanę wybrano na centralę „postępowego ruchu wyzwolenia narodowego“ oraz „anty-imperialistycznej solidarności“.

Przedmiotem dwutygodniowych obrad, toczonych w pierwszej połowie stycznia, były „wszystkie formy walki, łącznie z walką zbrojną ludów trzech kontynentów przeciw imperializmowi, kolonializmowi i neokolonializmowi, przewodzonemu przez imperializm amerykański“. W zjeździe wzięły również udział zakonspirowane delegacje podziemnych ruchów rewolucyjnych Wenezueli, Kolumbii, Guatemali i Peru, których metody mają stanowić wzór dla innych. Konferencja bowiem zdecydowała zaostreć walki także w innych krajach Łacińskiej Ameryki Środkowej i Południowej.

W ten sposób, Organizacja Państw Amerykańskich, na której jesiennym zjeździe w Rio de Janeiro, Waszyngton bezskutecznie próbował powołać międzyamerykańskie siły zbrojne dla tłumienia rewolucji, stanie w obliczu wzmożonej akcji komunistycznej na swoich obszarach. Póki toleruje się główne bazy komunizmu, przede wszystkim w Moskwie i Pekinie, na gaszenie rozniecanych stamtąd ognisk dywersji będzie trzeba coraz więcej sił, a pokój światowy będzie kwadraturą koła.

DYKTATURY W AFRYCE I GDZIEINDZIEJ

Ekskolonialnym państwom Afryki, których kilkadziesiąt uzyskało w ostatnich latach suwerenność, daleko jest do stabilizacji wewnętrznej, zwłaszcza na zasadach demokracji, w imię której je utworzono.

Do dyktatury płk. Nassera w Egipcie światowa opinia zdołała się dawno już przyzwyczaić; zamach płk. Bumedienne w Algierii na dyktatora Ben Bellę nie spowodował ani reakcji międzynarodowej, ani istotnych zmian w tamtejszym reżymie totalnym. Wreszcie, kiedy na jesieni 1965 — po latach beznadziejnego chaosu — usunął w Kongo cywilnego prezydenta Kazawubu i sam zajął jego miejsce — generał Mobutu, wojskowa dyktatura zaczęła wyglądać na typowy ustrój młodej... demokracji afrykańskiej.

Nic dziwnego więc, że oficerowie innych krajów „czarnego lądu“ zaczęli odczuwać powołanie do polityki i rządzenia, co około Nowego Roku 1966 dało trzy z rzędu, a nieco później czwarty zamach stanu, wojskowy, w przybrzeżnych państwach Afryki środkowo-zachodniej. Przed świętami Bożego Narodzenia obaliła cywilny rząd armia pod dowództwem generała Seglo w Dahomeju, następnie — pod płk. Bokassą — w Republice Środkowo Afrykańskiej i dalej pod płk. Lamizą — w Górnej Wolcie. Oprócz tych trzech państw, które były dawniej koloniami Francji i posługują się językiem francuskim, dalej i z kolei w połowie stycznia do-

szło do zamachu wojskowego w dawnej kolonii brytyjskiej w najliczniejszym, 62-milionowym kraju afrykańskim, Nigerii. W przeciwieństwie do niemal bezkrywanych przewrotów poprzednich, nigerski był połączony z okrutnymi mordami, obalanych szefów rządów prowincjonalnych z rodzinami oraz premiera rządu federalnego, sir Abubakara Balewa w stołecznym mieście Lagos. Po przewrocie naczelną władzę objął generał Ironsi, który jakoby nie był w przewrót zamieszany i który uzyskał tymczasem powszechne uznanie czynników legalnych oraz rewolucjonistów. Teraz z kolei, niektórzy korespondenci donoszą o przygotowaniach do zamachów wojskowych w Ganie i Tanzanii.

Rewolucja w Nigerii stała się tym większą sensacją, że nastąpiła bezpośrednio po odbytej tam konferencji państw Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, do której ten kraj należy, konferencji poświęconej przywracaniu demokracji w Rodezji. Powzięto więc rozmaite arcydemokratyczne uchwały i uchwalono przyszłe sankcje przeciw gwałcącym zasadę rządów większości Rodezjczykom, a wszystko to w tymże Lagos, które było już w ogniu przygotowań do mordowania ministrów oraz zaprowadzania dyktatury wojskowej.

W rzeczywistości, ekskolonialne państwa afrykańskie nie rządzą się nigdzie demokratycznie. Najgwałtowniej zaś atakujące Rodezję osobistości, to przeważnie dyktatorzy we własnych krajach, jak dr Nkruma w Ganie, Nasser w Egipcie, czy Keniata w Kenii. Ponieważ jednak reżymy te są przeważnie komunizujące, ani komunistów, ani tzw. lewicowe koła w krajach zachodnich, czy w ONZ przeciw ich niedemokratyczności nie protestują. Z pewnego rodzaju tolerancji tejsze lewicy korzystają też czasowo dyktatury wojskowe, o ile i póki utrzymują rzeczywisty lub pozorny charakter co najmniej socjalistyczny. Jest też faktem, że na innych kontynentach, w Azji lub Ameryce Łacińskiej wojskowe takie rządy okazują się przeważnie najuczciwsze, stosunkowo praworzadne i jedynie zdolne do obrony swoich narodów przed totalizmem czerwonym. Brazylia, Peru, pld. Korea, Syjam, Pakistan czy wreszcie pld. Wietnam to najważniejsze sytuacje takich przykłady. Odnosi się czasem wrażenie, że ten międzynarodowy pęd do dyktatur wojskowych korzysta z jakiegoś możnego, centralnego poparcia, kto wie czy nie amerykańskiego.

POGROM KOMUNISTÓW W INDONEZJI

Faktyczną dyktaturą wojska jest też, jak można wnioskować, ustrój Indone-

zji od czasu komunistycznego zamachu gwardii pałacowej Sukarny z 30 września 1965 i następnej kontrrewolucji wojska, popartego głównie przez antykomunistyczne partie muzułmańskie i część młodzieży. Rola prez. Sukarny w czasie pałacowego zamachu, którego ofiarą padło 6 generałów z jego otoczenia, a minister obrony Nasution uszedł wprawdzie z życiem, lecz zamachowcy w jego prywatnym mieszkaniu zamordowali jego córkę, była dwuznaczna i odtąd nie wygląda, by faktycznie rządził krajem.

Minione cztery miesiące były zakrojonym na olbrzymią skalę pogromem trzymilionowej partii komunistycznej, której przywódcy zasiadali w gabinecie Sukarny, głoszącego w dalszym ciągu politykę współdziałania z nimi. Niemniej, przywódcy ci: Aidit i Nioto w niewyjaśnionych oficjalnie okolicznościach zginęli w rozruchach i zamieszkach na obszarze wielu wysp i śmierć znalazło górą 80 tysięcy komunistów oraz ludności chińskiej, której wiele ma Indonezja, głównie w miastach. Równocześnie sam Sukarno głosił i głosi dalej swoją politykę „antyimperializmu“ oraz równowagi, czyli oscylowania, między Zachodem a komunizmem, niezgodną z wielką czystką komunistycznej partii wewnątrz kraju.

Utrwała się więc przekonanie, że rzeczywistą władzę sprawują wojskowi z generałem Suharto, dowódcą sił zbrojnych i generałem Sutjipto, komendantem policji na czele. Sukarno zaś, niedawny dyktator i dalej formalny prezydent jest już tylko figurantem, którego dni nawet w tym charakterze są rzekomo policzone. Jeśli to się okaże prawdą i Sukarno ustąpi, czy zostanie usunięty, Indonezja będzie państwem nowej dyktatury wojskowej i antykomunistycznej, zapewne chętnie widzianej na tym obszarze kuli ziemskiej, przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię.

Tam, gdzie — jak w Wietnamie, Syjamie czy Malezji — komunizm zagraża bezpośrednio interesom tych mocarstw, nie uprawiają z nim „koegzystencji“, ani nie biorą na serio swojej normalnej frazeologii demokratycznej.

Zdzisław Stahl

NOWE WYDANIE
głośniejszej książki
STEFANA KORBOŃSKIEGO
„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

KARIERA „PANA PUŁKOWNIKA“

KILKANAŚCIE miesięcy temu, przed sądem krakowskim odbyła się niecodzienna sprawa. Niecodzienna, gdyż na ławie oskarżonych zasiadł uniwersytecki specjalista od wojskowego prawa karnego, płk. dr Polan-Haraschin, zastępca profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik zaocznych studiów prawniczych tegoż uniwersytetu i wreszcie ex-prokurator wojskowy z epoki, w której to wszystko było różowe i twórcze, i, w której to, jak pisał kiedyś na łamach krajowej „Kultury“ Żółkiewski: „Człowiek kasał się we własny język“. Otóż „pan pułkownik“ odpowiadał przed krakowskim sądem za to, że z dobrej płatnej grzeczności, od czasu do czasu, wystawiał dyplomy ukończenia studiów osobom, które nie miały nigdy szczęścia przekroczyć dostojnych progów Ajma Mater Jagiellonica. Wiele pisała na temat prasa krajowa, a ostatnio przypomniał o tym, m. Gaston de Cerizay, w wrześniowym numerze paryskiej „Kultury“.

Powracam dziś do tej sprawy, bo wiem nie tyle są ciekawe perypetie „pana pułkownika“ przed polskim sądem, co mało znana genialna historia jego kariery. Genialna, bowiem zapewne swoim blaskiem przyćmiła nawet sławnego kapitana z Köpenick, a od kapitana właśnie się zaczęło.

Rok 1939 zastaje młodego Haraschina, absolwenta liceum krakowskiego, na skromnej posadce urzędnika pocztowego (gdzie mu tam było wówczas do „Polana“!) Ale już we wrześniu tegoż roku zaczyna swoją wielką karierą żołnierską. Zmobilizowany jako porucznik polowy, do pięknie skrojonego munduru wprowadził drobną inowację, polegającą na tym, że dystynkcje pocztowe — cztery kwadraciki — zamiast na rękawie przyszył sobie na naramiennikach. Dowódca dywizji, u którego się zameldował, miał dość innych kłopotów, aniżeli sprawdzanie czy mundur p. Haraschina odpowiada wymogom pocztowej ordynacji. Wkrótce potem, wzięty do niewoli Haraschin, przedstawił się krótko Niemcom: „...Jestem polskim kapitanem“ I tak trafił do Oflagu. Życie w Oflagu nie było miłe, a i z bracią oficerską trudno mu była znaleźć wspólny język. Rodzina, do której pisze listy o pomoc, dowiadyuje się, że Niemcy poszukują urzędników pocztowych, i występuje do krakowskiego „Distriktamt“ o spowodowanie zwolnienia z oflagu Haraschina, właśnie urzędnika pocztowego, który dostał się do niewoli omyłkowo, bo był przecież tylko przydzielonym wojsku pracownikiem cywilnym. W ten to sposób, po kilku miesiącach niewoli, Haraschin wrócił spokojnie w domowe pielesze, wzbogacony w zaświadczenie

zwolnienia z oflagu, co zaważyło później na jego błyskotliwej karierze wojskowej. Na zaświadczeniu było wypisane czarno na białym: Hauptmann Haraschin.

W roku 1942 rzuca się w wir „pracy konspiracyjnej“. Pracuje wówczas w monopoli tytoniowym i za pośrednictwem znajomego pułkownika Y. wypożycza firmowy samochód kapitanowi X., komendantowi jednego z obwodów krakowskiej AK. Kapitanowi X., który chce go zwerbować do organizacji, wierzy się w tajemnicy, że już został zaprzysiężony przez pułkownika Y. Temu zaś, przy jakiejś okazji opowiada znów, że złożył przysięgę kapitanowi X. Dzięki temu sprytnemu manewrowi, Haraschin spokojnie przesiedział w Krakowie okupację, doczekawszy się czasów, kiedy i dla niego słońce zabyło pełnym blaskiem.

Haraschin pochodził z solidnej krakowskiej rodziny. Jego ojciec był nauczycielem liceum w którym kiedyś składał maturę gen. Rola-Żymierski. Nic dziwnego, że Żymierski, gdy w 1945 r. zawitał do Krakowa, odwiedził swojego starego profesora. Ten, rzecz oczywista, przedstawił mu syna.

— A pan co teraz robi, młody człowieku? — zapytał Żymierski.

— Byłem w oflagu, potem w konspiracji, obecnie, panie generale, nie mam żadnej posady.

— Jakto? — zdziwił się Żymierski — Oficer i w takich czasach poza wojskiem? Proszę się u mnie zaraz zgłosić w Warszawie. Dam panu przydział.

W dwa tygodnie później, Haraschin meldował się osobiście u pana generała. Pokazanie świstka o zwolnieniu z oflagu było już tylko zbyteczną formalnością. Żymierski uwierzył mu bez zastrzeżeń. Uwierzył również i w to, że ten dobrze zapowiadający się młodzieniec tylko na skutek wojny musiał przerwać studia prawnicze. Haraschin wyszedł od Żymierskiego z karteczką podpisaną przez generała do szefa departamentu personalnego MON: „...Proszę przyjąć kpt. Harschina do wojska i przydzielić, zgodnie z jego kwalifikacjami, do służby w wymiarze sprawiedliwości“. Oczywiście, że człowieka z takim giejtem nikt już o jakiegokolwiek dokumenty nie ośmielił się pytać. Ponieważ zgodnie z ówczesnym rozkazem dowództwa armii berlingowskiej, wszyscy oficerowie rezerwy wstępujący do służby byli automatycznie awansowani o stopień wyżej, z departamen-

tu personalnego wyszedł zatem major Haraschin, prokurator wojskowy.

Powojenna działalność pana prokuratora była tak oczywista, że nie warto się nad nią rozwodzić. Wystarczy, przytoczyć jego własne słowa; kiedy był w dobrym humorze, pokazywał studentom swojego pięknego Watermana, mówiąc: „Tym piórem podpisałem tyle wyroków śmierci, że mógłbym sobie założyć w Krakowie własny cementarzyk“.

Wyroki śmierci oraz śledztwa z rzędu tych, co to „dajcie mi człowieka, a ja już mu paragraf znajdę“, przyniosły panu Haraschinowi pułkownikowskie szlify. W tym też czasie zdołał ukończyć studia prawnicze i dzięki protekcjom i tzw. „siłom wyższymi“, które wywarły odpowiedni wpływ na dziekanat wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, „pan pułkownik“ rozpoczął w jego murach karierę naukową, jako wykładowca z zakresu wojskowego prawa postępowania karnego, następnie jako kierownik zaocznych studiów prawniczych. Warto wspomnieć, że pracę doktorską mgr Haraschin zrobił u pewnego profesora, którego syn, za działalność konspiracyjną, przebywał wówczas w więzieniu do dyspozycji prokuratora Haraschina.

Wydawało się, że kiedy w r. 1956 powiał ów nieprzyjemny dla niektórych wiatr październikowy, pan prokurator gotów się był przynajmniej zająć. Skądże! Okazało się wtenczas, że to właśnie on był ofiarą terronu stalinowskiego, że zawsze walczył o przywrócenie praworządności i że był przecież oficerem AK. Tak narodziła się nowa postać: płk. dr Polan-Haraschin odziany w mundur i ugarniowany wszelkimi prawie odznaczeniami, jakie w Polsce istnieją. Później okazało się, że część ich nosił na swoje własne „oficerskie słowo honoru“, zaś część na podstawie niezwyfikowanych zaświadczeń.

Kiedy go aresztowano, w Radzie Państwa leżał przygotowany do wręczenia dekret o mianowaniu płk. Haraschina generałem brygady oraz nominacją na szefa Instytutu Wojskowego Prawa Karnego.

Aż żal za serce chwyta, kiedy się pomyśli, że jedyną przeszkodą w tej błyskotliwej oryginalnej karierze był wyrok sądu krakowskiego, który jak kula armatnia d'Artagnanowi pod Maëstricht, wyrwał mu z ręki buławę marszałkowską, bo chyba generał Haraschin miałby szansę zostać z czasem marszałkiem.

WPADŁEM jak z deszczu pod rynną. Ledwie pożegnałem się w Alpach ze śniegiem i wróciłem do Paryża, gdy tu w ciągu jednej nocy spadło ponad 20 cm. tego narciarskiego puchu. 20 cm. to dużo, stojący przed domem mój samochód (jak i inne) zamienił się w biały pagórek, a na ulicach Paryża porobiły się potworne korki, bo to miasto nie ma prawie żadnego pogotowia ani sprzętu do odśnieżania ulic. Takie opady zdarzają się raz na 20 lat (tak mówią spece od meteorologii), więc ojcowie miasta uważają, że nie ma sensu wydawać pieniądze na drogi sprzęt, który jest potrzebny tak rzadko.

Oczywiście by zadokumentować, że śnieg to mój żywioł, ubrałem się w spodnie narciarskie i wiatrówkę, wziąłem do ręki kijki i tak cyrkulowałem po ulicach. Nart wolałem nie ruszać, bo mógłbym się przypadkiem ześlizgnąć na jezdnię, gdzie samochody wyznaczały dziwne kristianie. Niemniej na podszwy butów zaaplikowałem smar na świeży puch.

Po kilku dniach trochę się ociepliło i znowu przyszedł mróz. Z samochodem tragedia, gdy wreszcie zdecydowałem się go odśnieżyć. Puch zamienił się w warstwę lodu i musiałem zmobilizować całą rodzinę, która przez pół dnia zносиła gorącą wodę. Później kręciłem przez pół godziny korbą, bo starter ani nie drgnął i gdy wreszcie zapuściłem silnik, musiałem rozbijać lód przed kołami, które kręciły się najspokojniej w miejscu w zlodowaciałych dołkach. Nawet w Paryżu śnieg powoduje emocje.

Ale wróćmy do Alp. Wyjechałem na moje stare śmiecie — do Grindelwaldu w Oberlandzie Berneńskim. Śniegu jak rzadko — padał prawie cały czas i to głównie w dzień, co mi przypominało „mleko“ w Gorganach — tylko na szczęście w Alpach w takie śnieżycy nie słychać wilków. Są natomiast dość rasowe wilczyce, zwłaszcza w barach w godzinach cocktailu, tylko nie wyją, lecz zachęcająco pomrukują. Czasami widać je na chodnikach z nartami — nigdy na nartach.

W TYM roku postanowiłem zmienić narty, bo moje poczciwe, stare Attenhofery (klejone z hickory) są już poważnie sfałtgowane, nie tyle od mojej jazdy, ile od przejeżdżania przez nie innych narciarzy, gdy z powodu różnych okoliczności musiałem się zatrzymywać na zjazdach w pozycji leżącej. Tym razem postanowiłem sobie zafundować narty metalowe. Długo wybierałem nim zdecydowałem się na szwajcarskie Schwendener, model slalomowy. Dlaczego na nie? Po pierwsze odpowiada mi nazwa, bo lubię się szwendać, zwłaszcza w godzinach pozasłużbowych, a po drugie tylko ten model jest czerwono-pomarańczowego koloru, w którym jest mi do twarzy.

TEGOROCZNY ŚNIEG ALPEJSKI

Jean Claude

Ja już z nart wróciłem, ale wielu czytelników z pewnością dopiero wybiera się w góry, bo najlepszy miesiąc to luty, a w wielu stacjach i marzec, bo pełno śniegu, no i słońce... W styczniu ze słońcem słabiej, ale za to niższe ceny, bo hotele nie są wypełnione i człowieka bardzo szanują — frank przedstawia w tym miesiącu podwójną wartość. Toteż dla orientacji tych lutowych i marcowych narciarzy podam kilka informacji o sprzęcie narciarskim, który tak szczegółowo oglądałem. Wciąż większość stanowią narty drewniane, oczywiście wszystkie klejone w wyszukany sposób, czasami z dwudziestu kilku części i warstw. Wszystkie mają podszwy ślizgową z plastyku i normalnie na same zjazdy (z małymi wyjątkami) smary są niepotrzebne. Te deski z góry są pokryte plastykiem, co je chroni przed takimi właśnie, co jeżdżą na cudzych nartach. Poczciwego jesionu, za wyjątkiem modeli dziecięcych, w ogóle nie widziałem, ani też jednolitych desek hickorkowych — nieklejonych. Takie klejone dobre drewniane narty kosztują od 200 franków (szwajcarskich) w górę — za 300 ma się doskonale dechy. Całkowicie metalowych nart widać bardzo mało (jest ich więcej we Francji niż w Szwajcarii), bo mają dużą wadę — wibrują na zlodowaciałych zjazdach. Powtarzam wyrażenie fachowców, bo nie wiem dokładnie na czym to wibrowanie polega. Normalne metalowe narty mają między metalowym spodem i górą drzewo — bo jednak ono najlepiej zapewnia prawidłową elastyczność. Ceny takich nart, oczywiście dobrych, zaczynają się od 400 franków (choć są i tańsze). W Grindelwald, jest to miejscowość dla zaawansowanych narciarzy, królują cztery marki: austriacka Kneissl z czterema modelami: „White Star“ — to szczyt szczytów, fabrykowane ze specjalnego materiału „Epoxi“ dla olim-



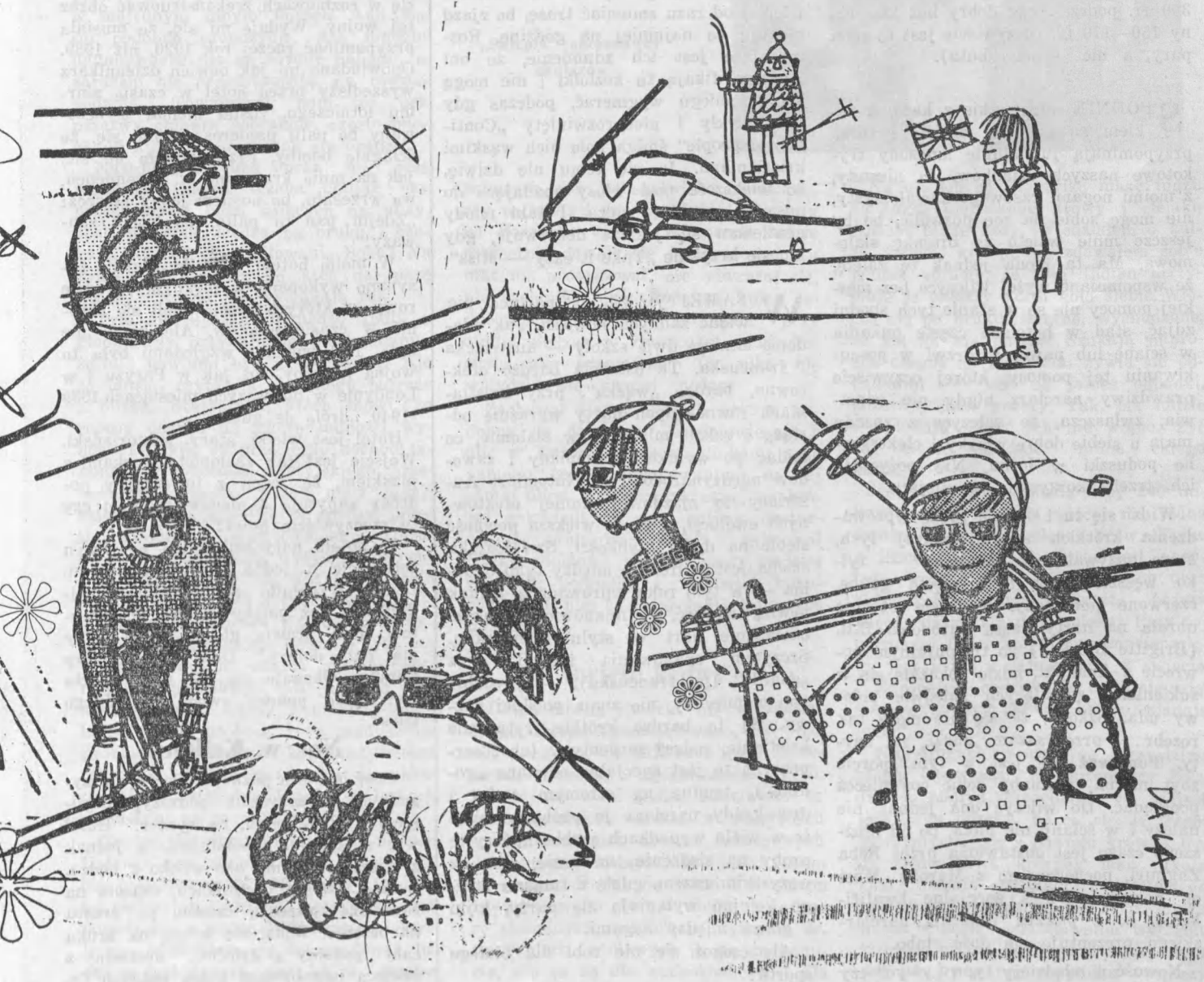
pijczyków (i luksusowych wilczyc), kosztują 528 fr. Dalej idą modele „Red Star“ (458 fr.), „Black Star“ (398 fr.) i „Blue Star“ — najtańsze, ale nie zanotowałem ceny. Druga firma do brych narciarzy to amerykańska „Head“ — ceny od 448 fr. (model „Standard“) do 598 fr. (model „Competition — Giant Slalom“). Trzecia firma, szwajcarska, Attenhofer, której modele metalowe „Jet“ kosztują od 398 fr. do 458 — drewniane ok. 250 fr. i wyżej. Dalej słynna firma austriacka Fischer (model „President“ 590 fr. a „Alu Steel“ 458 fr.) i „Kastle“ („Fiberplast Snowking“ 578 fr.). Oczywiście to arystokracja nart, bo większość modeli jest o wiele tańsza, nawet Kneissl ma model „Diplomat W.“ za 198 fr. Ale, jak powiedziałem, dobre deski kosztują przeciętnie 250 fr. Francuskich nart w Grindelwald widziałem mało, choć są tu

świetne modele, zwłaszcza cała seria „Allais“.

W wiązaniach też wybór przebogaty. Najwięcej widziałem firmy „Marker“, następnie „Tyrolia“ i na trzecim miejscu właśnie francuskie „Allais“. Ja za większością, jako dobry demokrata, wybrałem „Markery“, są łatwe do regulowania. Widać już nowy typ wiązań, zwłaszcza firmy „Tyrolia“, bez kabła zamykanego dźwignią w przodzie buta. Jest dość skomplikowany uchwyt na obcas i jak reklama mówi, wystarczy postawić nogę na nartcie i nacisnąć obcas — bez schylania się. By zdjęć narty również nie trzeba się schylać, bo pociska się końcem kijka ten uchwyt na obcasem. Jest to oczywiście nieprawda, bo schylić się trzeba, by zapiąć zabezpieczający narty — pasek, który zapobiega temu, by narta, gdy spadnie z nogi, nie poszusowała w dół

sama. Oczywiście są to wszystko wiązania bezpieczeństwa, tzn. gdy się upadnie w niebezpieczny sposób, to wiązanie powinno puścić — bez łamania nogi. Wszystkie typy doskonale działają w sklepie i zwykle sprzedawca tak je reguluje, że puszczają nawet przy ostrzejszym zakręcie. Wobec tego narciarz je dociska aż nie spadają — ale wtedy najczęściej łamie nogę, bo docisnął za bardzo. Wicm coś o tym, a w tym roku wie syn Jerzego Jankowskiego.

W butach narciarskich są również nowości. Od kilku lat modne są buty zapinane na klamry — cztery lub pięć, a nie sznurowane. Zaletą ich jest to, że zapinają się szybko i dodatkowo, do chodzenia i podchodzenia łatwo jest rozpiąć lub zluźnić dwie (lub jedną, zależy od modelu) górne klamry. Dalszą ich zaletą miało być to, że nie mają wewnętrznej cholewki. Dla niewtajem-



nicznych trzeba tu wyjaśnić, że normalne buty narciarskie mają dwie cholewki, wewnętrzna z miękkiej skóry i zewnętrzna z grubej, twardej i nieprzemakalnej — każda jest sznurowana oddzielnie. Są to właściwie dwa buty na jednej podeszwie. Otóż te buty z klamrami mają tylko tę grubą cholewkę, dobrze wyściełaną wewnątrz. Dodatkowo noga prezentuje się cienko w pięcinie, czym wielu kokietów i kokotek nie gardzi. Okazuje się jednak w praniu, że ta jedna gruba cholewka ma wady: but jest twardy, często uwiera, a gdy jest bardzo niska temperatura to noga w nim marznie. Wobec tego niektórzy fabrykanci, nie rezygnując z klamer, wprowadzają ponownie tę wewnętrzną, miękką i ciepłą cholewkę. Typowym przykładem jest but słynnej firmy „Molitor“ z Wengen, zapiwany na klamry z małymi kabelkami stalowymi — tylko niestety kosztuje ponad 300 fr. podczas gdy dobry but klasyczny 150—170 fr. (oczywiście jest to cena pary, a nie jednego buta).

SPODNIĘ narciarskie z każdym rokiem są bardziej obcisłe i teraz przypominają już długie kalessony trykotowe naszych dziadków. Ja niestety, z moimi nogami rasowego kawalerzysty, nie mogę sobie na nie pozwolić, bo by jeszcze mnie wzięto za bramkę słomową. Ma ta moda jednak tę zaletę, że wspomniane wyżej wilczyce bez męskiej pomocy nie są w stanie tych spodni zdjąć, stąd w hotelach częste pukania w ścianę lub nawet w drzwi w poszukiwaniu tej pomocy, której oczywiście prawdziwy narciarz nigdy nie odmawia, zwłaszcza, że wilczyce z zasady mają u siebie dobre whisky i elektryczne poduszki w łóżku. Nie pożyczają ich, trzeba korzystać na miejscu.

Widzi się tu i ówdzie próbę wprowadzenia krótkich spodni, rodzaj tych, które nazywaliśmy „pumpami“ — tylko węższe. Przy nich często grube, czerwone pończochy. Tak się obecnie ubrała na narty nasza narodowa B.B. (Brigitte Bardot) po tryumfalnym powrocie z Ameryki, gdzie pokazała się w sukienkach sięgających zaledwie połowy uda. Szkoda, że się nie może tak rozebrać... przepraszam, ubrać, na narty. Ponieważ nie jest w tym sporcie zbyt mocna, możnaby sobie coś niecoś pooglądać. Do wilczyce ona jednak nie należy i w ściany nie puka, bo od dłuższego czasu jest obstawiona przez Boba Zaghuri, pochodzącego z Maroka. Musi on posiadać jakieś specjalne kwalifikacje, bo z punktu widzenia narciarskiego prezentuje się dość słabo.

Nowość u młodzieży typu „yé-yé“ czy też „beatników“ (raczej to ostatnie, bo

wyduje z siebie tylko anglosaskie okrzyki) stanowią spodnie, które po francusku nazywają „tubes“ — tuby, czy rury. Jest to rodzaj „blue-jeans“ zakrywających cholewki butów.

GRINDELWALD jest miejscowością międzynarodową, wielu Francuzów, u których Szwajcaria od kilku lat jest bardzo modna, Włochów, Niemców, Holendrów, Belgów (miałem całą rodzinę Amerykanów przy stole), widziałem nawet parę Japończyków, no i oczywiście „Brytów“ — jak ich nazywa nasz przyjaciel Staś Gierat. Tych ostatnich poznaje się z daleka, chodzą stadami, ubierają się przedziwnie i po kilku lekcjach na nartach całą gromadą idą bez namysłu na najtrudniejsze zjazdy. Tam oczywiście następuje kłobowisko i taki rejtach i gwałt, do jakiego tylko spokojni i opanowani mieszkańcy Albionu są zdolni. Słyszysz się ich na kilometr i lepiej od razu zmieniać trasę, bo zjazd blokują co najmniej na godzinę. Rozczulające jest ich zdumienie, że oni Anglicy, fikają tu koziołki i nie mogą się ze śniegu wygmerać, podczas gdy ten zwykły i niedorozwinięty „Continental people“ śmiga koło nich wąskimi kristianiami. Ja się temu nie dziwię, bo większość nosi włosy spadające do nosa — nie nie widzą. I taki młody gentleman się jeszcze denerwuje, gdy mu się krzyknie „Take it easy — Miss“.

WSAMEJ jeździe na nartach nie widać żadnych nowości. Jak wiadomo istnieją dwie szkoły — austriacka i francuska. Ta ostatnia bardzo efektowna, bardzo „wąska“, przy kristianiach równoległych narty wyraźnie odciąża i szkoli mistrzów w slalomie, co widać po wynikach olimpiady i zawodów międzynarodowych. Natomiast Austriacy to zjazdowcy, mniej efektywnych ewolucji, a za to większa pewność siebie na dużej szybkości. Szwajcarska szkoła jest pośrednią między tymi dwiema — w tym roku wprowadziła jednak pewną nowość, a mianowicie większe odciążanie nart w stylu francuskim. Szczytem opanowania techniki jest „godille“ (po francusku), — „wedeln“ (po niemiecku), nie znam polskiej nazwy. Są to bardzo krótkie, rytmiczne kristianie, rodzaj serpentyny (choć serpentyna to jest specjalna odmiana „godille“), trudne na stromym stoku i dziś każdy narciarz je próbuje, mimo że w wielu wypadkach szybko kończy te próby na siedzeniu, na nosie, albo na wszystkim razem, gdzie z tumanu śniegu kolejno wyłaniają się narty, kijki i głowa między nogami.

Ale czegoż się nie robi dla białego sportu?

Jan Claude

PIERWSZE moje spotkanie z Indiami nastąpiło wieczorem w Kalkucie. Później mówili mi znajomi że szkoda: Kalkuta źle usposabia do Indii. Lepiej zaczynać od innego miasta, albo od Bombaju, albo od Delhi. Ale sam nie żałuję, że przybywając ze Wschodu, bo z Bangkoku, najpierw zobaczyłem właśnie to wielkie miasto południowych Indii i dawną stolicę kraju. Bombaju i innych miast niestety nie widziałem, a New Delhi, sztuczna stolica, to nie Indie.

Przylatujemy późnym wieczorem. Lotnisko, podobnie jak to w Delhi, raczej skromne, stare, nieco zaniedbane. Choć wojna z Pakistanem skończyła się przed dwoma miesiącami, wszędzie widać jej ślady. Przed drzwiami worki z piaskiem, wszędzie strzałki wskazują drogę do schronu przeciwlotniczego. Nalotów tu nie było, ale wojnę traktowano poważnie. Później starałem się w rozmowach zrekonstruować obraz tej wojny. Wydało mi się, że musiała przypominać raczej rok 1920, niż 1939. Opowiadano mi jak pewien dziennikarz wyszedłszy przed hotel w czasie alarmu lotniczego, został niemal zlynchowany bo palił papierosa. Bano się, że ściągnie bomby. Przypominało mi się, jak na mnie krzyzczano w Krzemieńcu, we wrześniu, bo nosiłem jasny płaszcz: „Zdejm pan to palto, bo lotnik zauważy!“

W moim hotelu w Delhi właśnie zasypano wykopane w pięknym ogrodzie rowy, w których goście mieli się chronić w czasie nalotów. Ale bomb nie było. Pod wieloma względami była to wojna na niby, coś jak w Paryżu i w Londynie w pierwszych miesiącach 1939-1940 „drôle de guerre“.

Hotel jest wielki, stary, wiktoriański. Wejście jest tak zasłonięte workami z piaskiem, że jeden z towarzyszy podróży zapytuje z niedowierzaniem: czy to rzeczywiście hotel?

W hotelu natychmiast po przybyciu zetknięcie z jedną z bołaczek Indii. Ledwie wypełniło się formularz meldunkowy już portier, nawet nie szepcąc, lecz prawie głośno pyta: „Czy ma pan dolary? Dam panu dobry kurs“. Okazuje się, że rupia warta jest tylko połowę swego oficjalnego kursu.

Noc w Kalkucie

Choć jest dość późno, wychodzę z przygodnym towarzyszem podróży, Anglikiem z Hongkongu, na spacer. Hotel jest w samym śródmieściu, a jednak z miejsca stajemy oko w oko z nędzą. Ludzie leżą na chodnikach, czasem na rozłożonej gazecie, czasem po prostu na betonie. Widzi się śpiące na bruku całe rodziny z dziećmi. Jesteśmy z miejsca nagabywani przez różnych facetów. Dorożkarz, który nas chce wo-

SPOTKANIE Z INDIAMI

(Z fotografiami autora)

zić, riksza, który gotów jest nas ciągnąć, coraz to inny stręczyciel mający do zaoferowania i dziewczynki i chłopców i kino pornograficzne. Prawda, w niejednym innym mieście Azji ma się podobne propozycje. Ale nigdzie nagabywacze nie są równie nahałni, a zarazem nie przedstawiają się równie nędźnie. Towarzyszy nam też bez przerwy chmara żebraków, często dzieci, od których nie można się opędzić.

Nazajutrz za dnia obraz nie jest weselszy. Znowu trzeba omijać czy przeskakiwać ludzi śpiących na ulicy. Jeśli nie śpią, siedzą na bruku i czekają. Na co? Na zmiłowanie Boże? Na pracę? Na to, by im ktoś dał parę groszy? Nawet nie wyciągają rąk.

Tyle się słyszało o nędzy Indii, o głodzie czy przynajmniej niedożywaniu, że nie powinno być zaskoczenia. Ale co innego czytać, a co innego patrzeć z bliska. Statystyka, która mówi, że roczny dochód na głowę ludności wynosi £17, tyle, co przeciętny dochód tygodniowy robotnika brytyjskiego, przeraża, ale dopiero widok ulicy indyjskiej daje pojęcie, co to znaczy, przetłumaczone na język cierpienia. Ogromna większość musi żyć za 10 pensów dziennie. To nie jest łatwo sobie wyobrazić, gdy się o tym czyta.

Chodzę po ulicach Kalkuty z rosnącym przygnębieniem. Myślę o tym, jak wiele zależy od udania się eksperymentu indyjskiego. W Azji są dwa wielkie kraje: Chiny komunistyczne i Indie. Jedne próbują rozwiązać swoje problemy w drodze komunistycznego totalizmu, drugie na drodze demokratycznej. Jeśli demokracja w Indiach zawiędzie, to co wówczas?

To, co się widzi, chodząc po ulicach Kalkuty czy starego Delhi, nie uosabia optymizmu. Niepokoi nie tylko nędza, ale także dające się wyczuć pogodzenie z nędzą. W pierwszej chwili nie odważałem się fotografować ludzi w lachmanach, nor, które trudno nazwać sklepikami, łepianek bardziej

„Sklepek“ sprzedawcy
okularów



ponurych, niż jakiegokolwiek widziane, czy to w Azji czy w Afryce. Ale, gdy na Formozie czy w Wietnamie ludzie niechętnie dawali się fotografować, tu nikt nie protestował, nie odwracał się, nie zasłaniał ręką. Rodzina, która jednocześnie myślała i gotowała przy studni siedząc w rynsztoku, uśmiechała się przyjaźnie. Tu nikt nie wstydził się swojej nędzy.

Zachował się w Indiach system podobny do dawnych średniowiecznych ulic w Europie z rzemieślnikami tego samego cechu zgromadzonymi na tej samej ulicy. Trafiłem na ulicę, na której gnieździł się sami optycy, dostarczający okularów. Każdy zajmował budkę wielkości wąskiej szafy, siedział w kucki pośrodku i załatwiał klientów. Pod nim siedział jakiś inny, coś pitraszac.

Święte krowy

Długo można chodzić, nie widząc żadnego sklepu żywnościowego, czy nawet straganu. Co najwyżej jakiś sprzedawca miseczką ugotowanego ryżu. Później w New Delhi, zaskoczyło to samo zjawisko: nigdzie, w ciągnących się kilometrami, często luksusowych dzielnicach rezydencyjnych i tak samo w starym Delhi nie widzi się sklepu żywnościowego. Jest w Delhi tylko parę skromnych restauracji. Tylko w restauracjach hotelowych je się znakomicie, ale te są dla cudzoziemców i dla niewielu bogaczy indyjskich.

Na ulicach są nie tylko masy ludzi. Są także niezliczone krowy i cielaki, czasem także kozy. Wiedziałem o kulcie świętej krowy, nie zdawałem sobie jednak sprawy, że tyłu Indian utrzymuje te obiekty kultu koło siebie. Włóczą się po bruku, smutne, wychudzone, aż żal na nie patrzeć. Szukają napróżno czegoś do zjedzenia, żywią się odpadkami — jeśli są jakieś odpadki, pożerają stare gazety. Tak, jak ludzie — głodują. Zabić ich nie wolno. Żyć też im się nie daje, mimo całego kultu.

Jest ich moc, pogłowie liczy 240 milionów czyli wypada więcej niż jedna sztuka na dwóch mieszkańców. Tylko z jednej trzeciej pogłowia jest pożytek: woły ciągną pługi i wozy oraz kręcą kołami studni. Reszta pożera więcej paszy niż daje mleka. Przy tej ogromnej ilości krów, konsumpcja mleka jest jedną z najniższych w świecie.

Europejski obserwator dosadnie ujął sprawę: „w tym kraju, krowy zjadają ludzi“.

Na drogach krowy są prawdziwą plagą. Opowiadali mi Europejczycy kole-dzy, że podróż samochodem po Indiach jest istną udręką, bo co chwilę trzeba zatrzymywać się z powodu krów. I biała człowiekowi, któryby jąka przejechał. Policja pozwala cudzoziemcom by, wbrew przepisom, nie zatrzymywali się w razie spowodowania wypadku, którego ofiarą padła krowa, a, doradza im, by w tym wypadku zwiększyli szybkość i uciekali, bo grozi im



...Wszędzie na ulicach krowy...

śmierć z rąk rozhisteryzowanego tłumu. Jeśliby kierowca nie zdążył wysiąść z samochodu i uciec, to podpalałoby wóz razem z nim.

W książce o Indiach znalazłem wiadomość z prasy, która pokazuje reakcję tłumu:

„Jodhpur — emerytowany policjant został tu zabity rogami byka w obecności dużej liczby ludzi. Nawet, gdy ofiara wyzionęła ducha, byk tratował i rozrywał zwłoki.

Jeepy policyjne goniły byka, wyrwały go, poczym przywiązały go do drzewa. Tymczasem zebrał się tłum 10,000 ludzi i groziło, że sytuacja wymknie się z rąk. Tłum był oburzony, że byk został poraniony. Komisarz policji uspokoił go dopiero zapewnieniem, że byk pogryziony został przez wściekłego psa i byłby bardziej niebezpieczny, gdyby go puścić swobodnie. Później byk zdechł wskutek swoich ran“.

Dlaczego życie krowy czy byka jest ważniejsze od życia człowieka? Jeden z powodów kultu to wiara, że gdy zmarły człowiek stanie na brzegu rzeki śmierci, to tylko trzymając się krowiego ogona może bezpiecznie przedostać się na drugą stronę.

Miliony małą, miliardy szcurów

Mały nie są wprawdzie święte, ale też zjadają ludzkie jedzenie. Jest ich w Indiach ok. 50 milionów. Nie widać ich w Delhi czy Kalkucie, ale w mniejszych miastach włóczą się po ulicach. Podawano mi fantastyczną cyfrę zjadanej przez nie żywności: 10 procent całego zaopatrzenia. Chyba to przesada, ale nawet jeśli to tylko ułamek tej ilości, to i tak za dużo.

Nie byłem niestety na wsi. Ale

wszystko co się słyszy na temat rolnictwa brzmi przerażająco.

A więc prymitywna gospodarka. Nehru poświęcił rolnictwo przemysłowi. Choć tylko 22 procent ziemi uprawnej ma zapewnione nawodnienie, kredyty na projekty irygacyjne jeszcze się zmniejszyły w czwartym planie pięcioletnim. Połowa chłopów nie jest właścicielem ziemi, którą uprawia, bo reforma rolna jest wciąż odkładana. Indie pozostają w erze wołu i drewnianego pługa zamiast wkroczyć w erę traktorów. Ilość nawozów sztucznych wynosi jedną trzecią tego, co jest potrzebne. Ale oferty obcego przemysłu budowania nowych fabryk nawozów sztucznych zostały odrzucone ze względów zasadniczych.

Na skutek przestarzałych metod przechowywania ziarna, szcury mają używanie. Czytałem, że jest ich w Indiach 5 miliardów. Ciekaw jestem, jak to obliczono. Ponoć zjadają 10 procent zapasów żywności. Gdyby je wytrzebić problem wyżywienia byłby prawie rozwiązany.

Z górą cztery piąte spośród 570 tysięcy wsi indyjskich jest izolowanych, nie posiada żadnej drogi, któraby łączyła je z najbliższym miastem czy miasteczkiem.

Na wsi nie ma elektryczności. Co ma robić chłop indyjski siedząc w swej lepiance, nie mający co jeść? Wiadomo. Pozostaje mu tylko miłość. Choć raczej powiedzieć należy: płodzenie dzieci.

Przybywa 12 milionów rocznie

I tu dochodzimy do następnego wielkiego problemu Indii, ściśle zreszta łączącego się z zagadnieniem głodu: z problemu przeludnienia.

Ile Indie mają mieszkańców? W gruncie rzeczy nikt nie wie, tak jak nikt nie potrafi powiedzieć ilu jest Chińczyków. Raz czyta się o 450 milionach, kiedy indziej o 470 czy 480. Sama różnica w szacunku wynosi więc tyle prawie, co jest Polaków w Polsce. Roczny przyrost oblicza się na 12 milionów, czyli więcej, niż wynosi ludność Węgier. Wystarczy uświadomić sobie, że podczas gdy zbiory w 1965 były takie same, jak w 1960, przybyło w tym czasie 60 milionów ust do nakarmienia, by zrozumieć, dlaczego Indie stanęły teraz w obliczu potwornej groźby głodu.

Już przed laty politycy indyjscy doszli do wniosku, że taki przyrost grozi katastrofą i zdecydowani byli wkroczyć na drogę regulacji urodzin. Przykładem była Japonia, która zredukowała przyrost do jednego procentu rocznie. Ale do lata 1965 kończyło się na gadaniu. Na przeszkodzie stał niski poziom kultury w kraju liczącym 75% analfabetów. Metoda „kalendarsza“ musiała zawieść. Wprawdzie rząd rozdawał sznurki z galezkami, zielone wskazywały kobietom na dni „bezpieczne“, a czarne na dni, w których groziło zajście w ciążę, ale dzieci się bawiły tymi sznurkami i psuły obliczenia. Niektóre kobiety myślały, że sznurki i gałki to uroki, które zabezpieczają przed ciążą. Inne znowu nie chciały się nimi posługiwać, bo były podobne do naszyjników, którymi ozdabiane są krowy. A człowiek nie powinien konkurować ze świętością...

Bezmała milion ludzi dobrowolnie poddał się sterylizacji, ale nie mogło to decydująco zaważyć na sytuacji. Metoda pigułek i inne środki antykoncepcyjne były za drogie, wymagając nadzoru lekarskiego.

Zdaniem rzeczoznawców dopiero amerykański „loop“ — mały plastyczny środek antykoncepcyjny umieszczony wewnątrz macicy stanowi rozwiązanie problemu. Jest bardzo tani — koszt produkcji wynosi jednego amerykańskiego centa i ma być prawie całkowicie skuteczny. Spośród 2,839 kobiet, które poddały się próbie, tylko jednaście zaszło w ciążę, przyczem pięć po usunięciu „loop“u“.

Daleka droga

Jest już w budowie fabryka, która ma masowo produkować ten środek. Tymczasem rozdawany jest milion sztuk, ofiarowanych przez organizację amerykańską. Główny problem polega na tym, że „loop“ musi być umieszczony przez doktora i najpierw trzeba wyszkolić lekarzy, których zreszta jest za mało.

W każdym razie w 1966 r. milion kobiet ma być w ten sposób zabezpie-

ezonych przed ciążą. Po 1968 r. liczba osiągnąć ma pięć milionów rocznie.

Przedstawiciel ministerstwa zdrowia w ministerstwie informacji mówił z entuzjazmem o tym programie: „Oczekiwaliśmy oporów, ostatecznie jesteśmy krajem średniowiecznym. Tymczasem oporów nie ma, ludzie rozumieją potrzebę regulacji urodzin“.

Pytam, jaki cel sobie postawili? Odpowiada: „Chcemy zredukować liczbę urodzin z 40,7 pro mille do ok. 25 w ciągu 10 lat. Chcielibyśmy zredukować nawet do 20, ale to jest niemożliwe“.

Ile będzie w takim razie wynosił przyrost? To będzie zależało od tego w jakiej mierze zmaleje śmiertelność, która teraz wynosi 21,6 pro mille. Przeciętna wieku w Indiach więcej niż podwoiła się po wojnie, ale wciąż wynosi tylko 47 lat, w Japonii dochodzi już do 69 lat, a na Tajwanie do 63. Niewątpliwie i w Indiach, jeśli problem żywienia zostanie rozwiązany, długość życia będzie się przedłużała.

Toteż daleko jest jeszcze do rozwiązania problemu. W każdym razie wysiłek propagandowy jest wielki. Z afiszów na murach miast, uśmiecha się kobieta trzymająca w ręku „Loop“ i zaprasza do najbliższego ośrodka planowania dobrobytu rodzinnego po informację.

Ale w najbliższych latach „loop“ klęskę głodu nie zapobiegnie. Musi potrwać lata, nim problem przyrostu zostanie rozwiązany. Nie mówiąc już o tym, że nawet obecnej ludności — Indie nie są w stanie żywić.

„Nie dajmy się rozdzielić“

Afisz zachwalający planowanie rodzin sąsiadują na murach Delhi z innymi, które pozwalają lepiej zrozumieć dalszy wielki problem Indii. Jeden



„Myją się i gotują przy ulicznym kranie...“

zwłaszcza afisz, który widać na każdym kroku wydał mi się rewelacyjny.

Przedstawiał szereg głów, różnie nakrytych i reprezentujących różne typy ludzkie, a podpis głosił: „Jesteśmy wszyscy Hindusami, nie pozwólmy nikomu rozdzielić nas“. Jest też inna wersja, którą można zauważyć tu i ówdzie. Głowy są te same, natomiast podpis głosi: „Jeden wielki kraj, jeden wielki naród“. Brak tylko dodatku: jeden wielki przywódca...

Nie jest dobrze, gdy trzeba ciągle kłaść nacisk na jedność narodową, ostrzegać przed próbami skłócenia jednej grupy z drugą. Tam, gdzie istnieje prawdziwa świadomość narodowa, tam tego rodzaju propaganda nie byłaby potrzebna. W Indiach widocznie tej świadomości brak.

Pytani, czy uważają proces uświadczenia sobie przez masy jedności narodowej za zakończony — bardziej to łagodna forma, niż brutalne pytanie: czy jesteście narodem? — politycy czy dziennikarze indyjscy odpowiadają: „Oczywiście, że tak“. Ale już obserwatorzy obcy, są innego zdania.

Istotnie wśród bez mała pół miliarda mieszkańców Indii, różnice są równie wielkie, jak wśród 350 milionów Europejczyków. Może nawet jakiś Sikh różni się więcej od członka plemienia Naga, niż Szkot od Albańczyka, Hiszpan od Turka. Indie, to mozaika ludów, ras, religii, języków. Jest w tym olbrzymim kraju 15 głównych języków, nie licząc wielu setek narzeczy. Jest siedem wielkich religii. Są dwie stare kultury.

Czy może istnieć naród nie mający wspólnego języka? Oczywiście istnieje Szwajcaria, której mieszkańcy mówią po niemiecku, francusku czy włosku. Ale te trzy języki są równoprawnymi językami urzędowymi i nie zostały sprowadzone z zewnątrz. W ZSRR mówi się o „narodzie radzieckim“, ale Rosjanie pozostali Rosjanami, Gruzini Gruzinami, Ukraińcy Ukraińcami. Język rosyjski został narzucony wszystkim.

Naród bez języka

W Indiach nie ma wspólnego języka. Elita mówi po angielsku, który jest językiem obcym. Niewątpliwie dla wielu jest to już dziś język macierzysty, np. dla premiera pani Indiry Ghandi. Jej ojciec, Nehru, mówił słabo językiem Hindi, Hindusi mówią po angielsku, często doskonale, piszą świetnie, widać, że myślą po angielsku, ale czasem mówią kiepsko i z trudnością. Byłem na posiedzeniu parlamentu. Pra-



Szalas z dykty i łachmanów w śródmieściu Kalkuty

SPOTKANIE Z INDIAMI

wie wszyscy posłowie zabierali głos po angielsku. Była to poprawna angielszczyzna, ale nie brzmiała naturalnie.

Co więcej, po angielsku mówi tylko elita. Miliony nie umieją ani słowa po angielsku.

Politycy indyjscy wiedzą, że problem istnieje. W styczniu 1965 rząd zadekretował, że Hindi ma być językiem urzędowym, choć tylko 40 procent, albo i mniej ludności nim mówi. Rezultatem była prawie rewolucja; zamieszki, mordy, samobójstwa, zwłaszcza na południu kraju, w Madrasie i gdzieindziej, gdzie mówi się najczęściej językiem Tamil czy Telugu. Rząd musiał odwołać dekret i pogodzić się z tym, że „tymczasem“ obok angielskiego i Hindi można używać 14 języków południowych. Nehru kiedyś myślał o uczynieniu z angielskiego języka urzędowego, ale zaniechał, zdając sobie sprawę, że zrazi sobie masy.

Paradoksem Indii jest fakt, że ten jedyny wspólny język, bez którego wykształcony mieszkaniec północy nie byłby w stanie porozumieć się z rodakiem z południa, to pozostałość po zniechęconej erze kolonialnej, to dziedzictwo po „British raj“ — brytyjskim panowaniu.

Oczywiście wielu polityków zdaje sobie sprawę z korzyści posługiwania się na codzień językiem światowym. Ale z pewnością nie sprzyja to wytworzeniu się poczucia wspólnoty narodowej.

Tymbardziej starają się politycy indyjscy wykorzystać wszystko, co wzmacnia jedność i świadomość narodową. Z tego punktu widzenia krótka wojna z Pakistanem była dla Indii ogromnie ważna. Pogłębiła poczucie jedności, wytworzyła dumę narodową. Czytając pełne szowinizmu artykuły, oglądając w sercu Delhi wystawę poświęconą wojnie, a pełną przesadnych pochwał pod adresem bohaterstwa żołnierzy indyjskich, snulem refleksje na temat tego, jaki szmat drogi uszły Indie od czasów „non-violence“ Gandi'ego. Na czele rządu stoi dziś kobieta tego samego nazwiska, ale Indie Mahatmy i Indie Indiry Gandi, to jakby dwa różne kraje!

Największa demokracja świata

Brytyjski „raj“ pozostawił nie tylko język. Pozostawił także demokrację. Indie, to największa demokracja świata. Ale czy solidna?

Już sam fakt, że mimo wszystkich trudności i katastrofy demokracja indyjska nie zawaliła się, jest niemalym osiągnięciem. Gdzieindziej w krajach dawnego imperium brytyjskiego próby

przeszczepiania demokracji typu westminsterskiego, nie powiodły się. W Pakistanie, w Burmie, w różnych krajach Afryki, zamiast demokracji mamy dyktaturę wojskową, czy dyktaturę jednej partii. Ceylon, znalazłszy się na skraju przepaści, uratowany został w wyborach w 1964, ale daleko mu do stabilizacji.

W Indiach formy demokratyczne są przestrzegane. W Lok Sabha czyli w izbie niższej parlamentu czuje się atmosferę prawdziwie demokratyczną. Choć posłowie siedzą półkolem, nastrój przypomina Izbę Gmin. To nie jest jakaś wschodnio-europejska karykatura parlamentaryzmu!

Ale demokracji indyjskiej daleko do perfekcji. Niedobną jest rzeczą, że od początku niepodległego bytu w 1949 r. u władzy jest ta sama partia Kongresu. Istnieje kilka partii opozycyjnych, czasem antypatyczne, jak skrajnie reakcyjna partia hinduska, Jan Sangh, czasem pociągające swym zdrowym rozsądkiem i trzeźwością sądów, jak wzorowana na amerykańskich Republikanach i powołująca się programowo na zachodnio-niemieckich socjaldemokratów, partia Swatantra. Ale żadna z tych partii nie ma poważnych szans zdobycia władzy.

Niemniej przeto demokracja indyjska nie wydaje się chwilowo poważnie zagrożona. Po śmierci Nehru wielu oczekiwało katastrofy. Ale żadnej katastrofy nie było. Niepodobna przewidzieć, czy któregoś dnia, jeśli rząd nie potrafi rozwiązać problemu wyżywienia, ani przezwyciężyć korupcji, wojsko nie uchwyci władzy. Chwilowo na to się nie zanosi.

Decydującym czynnikiem wydaje się sprawa nakarmienia głodnych mas. Mści się polityka Nehru, który dla rozbudowy przemysłu poświęcił rolnictwo. Kolejne plany pięcioletnie kładły nacisk na rozbudowę ciężkiego przemysłu, zamiast na nawodnienie, na produkcję sztucznych nawozów, na transport. A przecież bez zdrowego rolnictwa Indie nie mogą oprzeć swej gospodarki, a tym samym swojej demokracji, na mocnych podstawach.

W tym roku na skutek katastrofalnej suszy problem przybiera straszliwe rozmiary. Stu milionom ludzi grozi głód. Być może, jednak ta klęska mieć będzie dodatni rezultat, zmuszając Indie do wysunięcia problemu rolnictwa na pierwsze miejsce. Zwłaszcza, że będzie to warunek pomocy amerykańskiej. Amerykanie, którzy w 1957 r. dostarczyli dwa miliony ton zboża, w ub. roku musieli dać Indiom 6 milionów, a w 1966 dostarczyć muszą bodaj 15 milionów, jeśli ludzie nie mają umierać tysiącami. Ale już uprzedzili, że bliski jest moment, w którym nie

będą mieli dość żywności, aby żywić rosnące masy indyjskie.

Komunizmowi Chin przeciwstawiają Indie swój socjalizm, który ma dla nas wydźwięk magiczny. Ale wydaje się, że więcej by osiągnęły, za przykładem Japonii, pozostawiając większe pole inicjatywie prywatnej, gdyby przewyciężyły idący w parze z socjalizmem zalew biurokracji, która jest jednym z przekleństw życia indyjskiego.

Na swojej drodze do postępu i dobrobytu Indie mają wiele obciążeń; zabobony, kasty, brak tradycji narodowej, konflikty religijne, zacofane rolnictwo, zależność od kaprysów pogody. Ale mają jeden potężny atut: wolność. Za postęp osiągnięty w okresie niepodległości, który pokrywa się z okresem rządów komunistycznych w Chinach, zapłacili nieporównanie mniejszą cenę, niż Chińczycy: budują swoją przyszłość na zasadach demokracji. Jest to budowa bardziej solidna.

Ale demokracja będzie na prawdę zabezpieczona dopiero gdy politycy indyjscy potrafią rozwiązać gigantyczne problemy wobec których stoją.

Aleksander Bregman

ŚWIATOWY KONKURS DLA DZIECI POLSKICH POZA KRAJEM NA PRACE MALARSKIE, RYSUNKOWE, GRAFICZNE I WYCINANKI 1965/1966

POLSKA YMCA na Zachodzie Europy w porozumieniu z Polską Macierzą Szkolną, Stowarzyszeniem Kombatanów Polskich oraz Zrzeszeniem Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą zaprasza DZIECI POLSKIE mieszkające poza krajem do udziału w WYSTAWIE i KONKURSIE ŚWIATOWYM na prace malarskie, rysunkowe, graficzne i wycinanki.

WARUNKI KONKURSU:

1. Udział w Konkursie mogą brać dzieci polskie mieszkające stale poza Polską, — w wieku do lat 14 (ukończonych);
2. PRZEDMIOTEM KONKURSU są: rysunki, malarstwo, grafika, wycinanki i inne prace plastyczne, wykonane na tematy prozy i poezji polskich pisarzy;
3. TECHNIKA I ROZMIARY PRAC. Nadesłane na Konkurs i Wystawę prace mogą być wykonane w dowolnej technice. Rozmiary prac nie powinny być mniejsze niż karta zeszytowa. Każda praca powinna być zaopatrzona na odwrocie w podpis i adres autora oraz tytuł;
4. PRZESYŁKA. Prace należy nadsyłać na konkurs tak, by mogły dojść do Londynu przed 10 maja 1966 r. Prace należy nadsyłać z załączonym zgłosze-

niem na adres: POLISH Y. M. C. A., 46/47, KENSINGTON GARDENS SQUARE, LONDON, W.2., ENGLAND. z napisem na opakowaniu paczki względnie koperty: NON COMMERCIAL VALUE — CULTURAL EXCHANGE CHILDRENS' EXHIBITION;

5. JURY. Selekcji prac na Wystawę oraz przyznania nagród w Konkursie dokona jury złożone z artystów malarzy, pedagogów oraz przedstawiciela organizatorów Konkursu i Wystawy;

6. DYPLOMY, NAGRODY. Wszyscy uczestnicy Konkursu otrzymają dyplomy, w zależności od ilości nadesłanych na Konkurs prac, przyznane zostaną nagrody. Nagrody będą w postaci artystycznych albumów i wydawnictw o polskim malarstwie i sztuce, kompletów przyborów malarskich oraz innych przedmiotów, ofiarowanych dla uczestników wyróżnionych w Konkursie. Nazwiska nagrodzonych ogłoszone zostaną w prasie polskiej poza granicami kraju. Nagrody wraz z dyplomami przesłane będą wyróżnionym uczestnikom Konkursu.

7. WYSTAWA. Z wyselekcjonowanych prac zorganizowana zostanie Wystawa.

8. OSOBNĄ NAGRODĄ będzie przyznana za najlepszą pracę związaną z tematyką MILLENNIUM POLSKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ;

9. Wysyłając prace należy wyraźnie zaznaczyć, czy mają być zwrócone autorom. Prace nie zwrócone, za zgodą autora, wejdą w skład zbiorów, które dostępne będą dla studiów pedagogicznych względnie urządzania wystaw prac dzieciennych;

10. Komitet Organizacyjny Konkursu i Wystawy zastrzega sobie możliwość wysłania prac w ramach wystawy z nich sporządzonej do innych ośrodków polskich oraz zastrzega sobie prawo reprodukcji prac w prasie;

11. Komitet Organizacyjny Konkursu współdziałać będzie z Komitetem Millennium Polski Chrześcijańskiej w Londynie i z jego oddziałami w innych krajach;

12. OPLATA za udział w Konkursie, jako zwrot opłat pocztowych i innych w związku z urządzeniem Wystawy wynosi 5 Międzynarodowych Kuponów Pocztowych od uczestnika, bez względu na technikę i ilość prac.

13. WYSYŁKI GRUPOWE. Przy nadsyłaniu grupowym ze szkół polskich względnie kursów językowych itp. obowiązuje opłata, jak dla jednej osoby.

ZA KOMITET ORGANIZACYJNY
(-) S. Stachowicz (-) B. T. Lesiecki

Adres pocztowy Komitetu Konkursu:
POLISH YMCA, 46/47, KENSINGTON GARDENS SQUARE, LONDON, W.2., GREAT BRITAIN.

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

B.D.I.C

POWRÓT BAJKI

NIM człowiek wymyślił filozofię, konstytucję, szkoły, więzienia i urzędy stanu cywilnego — na świecie panowała bajka. W rusałki i bogów wcale nie trzeba było wierzyć: spotykało się ich na wybrzeżu, wśród drzew, u źródła; Figurowali w korzeni drzewa genealogicznego; Czynili ziemię miejscem ciekawym i pięknym. Miejscem gdzie zdziwienie co chwila zakwita i dojrzewa zachwytem. Nie było w owym świecie miejsca na równość: wszystko tam miało własne, sobie wyłącznie wyznaczone miejsce. Była to nierówność wewnątrz organicznej całości — jak nierówność części ciała czy członków rodziny — nie powodująca waśni ani zawiści, bo oczywista i konieczna.

Rzeczywistość bajki wypełniona była — i jest — niespodziankami. Ledwie nas one jednak zaskoczą poznajemy że były nieuniknione, przyzwyczajamy się do nich natychmiast jak do bicia własnego serca — zauważonego po raz pierwszy. Tymczasem w życiu nie wiele trafia się niespodzianek. Składa się ono z masy bezsensowych i zbędnych szczegółów. Wypełniają każdą chwilę, zabierają nam czas, siły, uwagę — i przemijają bez śladu, lub pozostawiając tylko posmak nieokreślonego obrzydzenia. Jak błoto przeciekają przez palce.

Bajka także używa szczegółu. Ale używa go oszczędnie. Tyle tylko ile jej trzeba jasno, bezbłędnie określić tło: rzeczywistość. Na tym tle rozwijać się zaczyna konsekwentne w swej fantastyczności pasmo wydarzeń. Z zapartym tchem śledzisz mieniącą się, ruchliwą wstęgę, bystry, z pozoru kapryśny nurt. Ale gdy spojładasz wstecz, rozumiesz że jego bieg był konieczny a kres nieunikniony.

Tak więc w bajce, w literaturze, w sztuce, panuje ład. Wszystkim rządzą mądre prawa. Piękne książeczki molestowane przez potwory znajdują rycerzy, — po stoczonym przez nich boju i wyzwoleniu — ofiarowują serca. Smoki nieuchronnie giną w walce, zabijane przez bohaterów (o wiele od nich słab-

szych i naiwniejszych), albo zamieniają się w niewinne a niekiedy pożyteczne stwory — cać w rodzaju psów podwórzowych — w brytany, które książeczki, w chwilach wolnych od romantycznych zajęć prowadzą na jedwabnej wstążce do zielonego wodopaju.

Nawet śmierć — jeśli już musi być śmierć — jest właściwie tylko odważnym krokiem w nieskończoność. Zdarza się najczęściej na polu bitwy, przy dźwięku trąb i szczęku oręża, a jest ukoronowana wspałym pogrzebem oraz nagrobkiem który „przetrwia wieki“ i świadczyć będzie prawdzie legendy, skrzydlatej famie. Takie pomniki istot nieistniejących w życiu a urodzonych i wypieszczonych przez bajkę zachowały się do dziś: nagrobek zbuntowanego przeciw ojcu synów Clovisa II w poactwie w Jumieges czy dom Dulcinei w Toboso. Portret jej wielbiela zawędrował nawet na banknoty i widnieje tam wśród innych hiszpańskich bohaterów. Przykład godny uwagi, bo nawiązujący do starożytnego a pięknego zwyczaju zdobienia monet wizerunkami bogów i herosów.

Oczywiście są i inne bajki: bajki smutne, bajki-kaleki. Książeczki zatracają w nich pamięć, świadomość swego znakomitego urodzenia. Występują pod upokarzającymi je przyzwiskami. Rycerze i potwory noszą jednakowe, szare ubrania i mówią tym samym językiem. Rozpoznać ich można dopiero pod sam koniec opowieści a i to, często, z trudem. Ale i owe ułomne bajki — a dziś coraz ich więcej — rządzone są regułami, jeśli nie etyki, to przynajmniej kompozycji. Władą nimi rytm.

Życie wypełnia bezsens małych upokorzeń, zmęczenie, pół-prawdy zgrzyty. Każdy następny krok jest nieobliczalny w swej banalności. Nie do przewidzenia, bo powodowany zbiegiem przypadków w których brak pomysłowości walczy o lepsze z brakiem smaku.

Bajka — której na drugie imię: Sztuka — pod grozą natychmiastowej śmierci i utraty czci, przestrzegać musi praw dyktowanych przez

wzruszenie. Ten surowy kodeks który nakazuje fantazję nie znosi kłamstwa. Jedynego kłamstwa które się naprawdę liczy: kłamstwa uczuć.

Oto malowana bajka florencka — fragment piętnastowiecznej Tebeidy: jak w wielu obrazach tego rodzaju i z tego okresu kolejne fazy opowiadania przedstawiane tu są na tej samej desce i kompozycje stanowią jedną całość.

Obraz opowiada cud — uzdrowienia lwiat. W pierwszej „scenie“ lwica skarży się przed świętym pustelnikiem że urodziły się jej ślepe dzieci. Gniewnemu bólowi zwierzęcia przeciwstawiony jest statyczny spokój pustelnika i dwóch towarzyszących mu mnichów. Lwica przykłęknęła na przednie kolana. Skowyczy, z męką, z nadzieją.

Mnisi nie zwracają na bestię uwagi. Wiodą spór o podłożu teologicznym. Zapewne o tym czy godzi się uzdrawiać zwierzęta? Wynik dysputy wypada pomyślnie dla matki: druga scena przedstawia pustelnika który dotknięciem swych świętych płaców obdarza lwia wzrokiem. Jego towarzysze — nie przekonani — toczą dalej mądry dyskurs.

Wreszcie scena trzecia: święty modli się, wznosząc oczy ku niebu i pobożnie składając dłonie. Jest sam. Nie. Nie sam. Bo przez zarośla, skulona, pokorna, podchodzi lwica. Niesie mu w podziękowanie ofiarę: skórę zabitego zwierzęcia. Byłoby ciekawym kłamstwem, sprzeciwiałoby się ciemnemu nurtowi rzeczywistości i prawom bajki gdyby zwierzę zaczęło odmawiać różaniec, przyniosło worek złotych monet na odbudowę

kościół — lub wygłosiło mowę przeciw błędowi pelagianizmu. Lwica okazuje wdzięczność w granicach wyznaczonych przez jej lwia rzeczywistość.

Tymczasem, nieraz, napotkane w życiu stworzenie ludzkie któremu pomogłeś, któremu okazałeś przywiązanie lub czułość — co prawda dziękuje ustami opuchłymi od frazów, ale w oczach widać błysk pogardy, zazdrości, kłamstwa. Bajka jest prawdą.

To dlatego — między innymi dlatego — wierzę w bajki. Nie wierzę w życie.

NIEKIEDY jednak bajka wraca do utraconego królestwa. Jakby chciała zaznaczyć że nie była tylko urojeniem, tworem przesądu i niewiedzy, ale właśnie ziarnem rzeczywistości. Oczywiście jak każdy wygnany władca, do zrealizowania swego powrotu potrzebuje sprzymierzeńców, stronników. Gdy chcesz pomagać jej sam utrudzisz się na zbyt i opadną ci ręce. Wiare stracisz nim doczekasz zwycięstwa.

Ale niekiedy — nie często — w drodze swej napotkasz drugiego człowieka który tak jak ty wierzy w bajki i tak jak ty je kocha.

Wspólnymi siłami zaczynacie odmieniać — rozjaśniać i udużniać — oblicze codzienności. Oczywiście poufnie, na własny wasz jedynie użytek, prawie w tajemnicy; Królestwo bajki tym jest potężniejsze im mniejsze, im bardziej niepozorne. Ukryte wśród traw, wydane w straż pająkom. Ale nawet tak

małego królestwa obrona nie jest łatwa.

Wszystko będzie przeciw wam: świat któremu dobrze jest w barłogu bezsensu i nudy, ludzie którzy wolą wygodny nieład życia od surowego ładu fantazji. Codziennosc nalegać będzie, kusić wszystkimi świecidełkami i przysmakami, i zachęcać do zaniechania niepowszechnych poczynań.

Hałas rozmów, alkohol ambicji, narkotyk pożądań będą próbowały wypełnić każdą waszą chwilę tak szczelnie by dla bajki, ani dla was samych nie zostało już czasu ani miejsca.

Najczęściej życie wygrywa. Znużeni ustępujecie. Dajecie się nieść, szarpać, ciskać, karmić pianą i szumowinami. Wałęsacie się zmęczeni, parszacie śmiechem, mówicie głupstwa.

I oto nagle wybucha jasność. Pozornie bez powodu. Po potrąceniu gałęzi w kwiatkach, po słowie jakimś które obudziło echo, rezonans, rytm. Chwile nabierają pięknego sensu, nieoczekiwanej urody. Przez drobiazg, jak przez powiększające szkło widać cały wszechświat przygody.

Bajka — za którą tęsknota nigdy nie opuszcza najbardziej nawet znużonego serca — wraca. Ma twarzyczkę dziecka i piąta psoty. Nie daj się jednak zwieść pozorom: doskonały ład, harmonia, są jej udziałem. Wybawia od martwej bezna dziejności dnia powszechnego tak skutecznie że nie tyle zaczynasz wątpić iż owa powszedniość była, ale wręcz zapominasz o możliwości jej istnienia. Zapominasz, jak to mówi, „na śmierć“. Bo i w śmierci jest coś z bajki. Nawet bardzo wiele: z otchłani lśnią wielkie oczy niespodzianki. Cisza skandowana jest niemal heksametrem. Nieskończoności wiekiustych poczynań nie towarzyszy już zmęczenie czy zniechęcenie. Niepokój który was gnał powtarza się i teraz jak muzyczna faza, tylko w cieplejszych, jaśniejszych tonacjach.

To dlatego — głównie dlatego — nie wierzę w życie. Wierzę w bajki. Bo jakże nie wierzyć w nieskończoność która się uśmiecha? I jakże wierzyć w coś, co niknie, czeźnie. W coś — po czym, jeśli jakiś trwały ślad zostanie, to tylko w owej zwalczanej, pogardzanej fantazji. W bajce.

Mieczysław Paszkiewicz

Orzeł Biały, luty 1966



BIURO PODRÓŻY

ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNENT.

ZAZDROŚĆ

DŁUGO nie domyślałam się niczego. Miłość spadła na nas nieoczekiwanie, wybuchła pełnią bez poznawania się i szukania pomocu, podejrzliwie, czy aby naprawdę znaleźliśmy się — my jedni — przeznaczeni dla siebie? W naszym stosunku od pierwszej jego chwili nie było miejsca na nic innego jak tylko zachwyt i pokorę. Odkrywaliśmy się w radości, w zdumieniu, w głębokiej wdzięczności, że taki cud wydarzył się nam — dlaczego właśnie nam, którzy już byliśmy zrezygnowani.

Nie wiem jak on mnie odkrył, w jakim momencie, w którym niedokończonym słowie, w pierwszym świadomym spojrzeniu. Nie mówił o tym nigdy. Ale ja odkryłam go jak przystań na gładkiej fali, jak źródło w cieniu zwykłego jaru życia. Odkryłam go najzwyczajniej, jakbym wiedziała zawsze, od dzieciństwa, że będzie. Był mi znajłym i skarbem i nagrodą za życie, kimś nieprawdopodobnym przez swą prawdziwość — więc jakże mogłam domyśleć się czegokolwiek — na początku?

Nie wiem i pewnie już nigdy nie dowiem się, nie przypomnę sobie, nie odtworzę co było tym pierwszym sygnałem, pierwszym ostrzeżeniem. Może ruch jakiś nieświadomie imitujący ruch kobiety, kiedy wieczorem zasuwiał firanki nad oknem pracowni? Może ten ruch, właściwie niezauważony, pozostał mi w podświadomości, bo był ruchem nabytym, niemęskim — może to właśnie było pierwszym alarmem? A może kolory, które lubił. Albo „Requiem“ Verdiego, którego chóry schwyliłam kiedyś na radioodbiorniku a on zasłuchał się w nie jakoś inaczej, boleśniej, a potem odszedł w głąb pracowni, trochę jak pies, którego uderzono nagle za zapomniane już przewinienie. Nie wiem, nie pamiętam, nie schwyć. A to takie ważne.

Gdybym wiedziała wcześniej — to może to co mi powiedział na początku naszej miłości, gdy uciekałam pod jego dach od mego ostat-

niego nieudanego kochanka — może jego słowa dałyby mi klucz do niego, zaoszczędziłyby tyle rozpaczy. Ale wtedy słuchałam jeszcze głuchymi uszami i patrzyłam ślepyimi oczami — brałam w siebie jedynie piękno, dobroć i wielkość jaka w nim była dla mnie i nic nie chciałam, nie umiałam zrozumieć.

Powiedział mi wtedy w pierwszych tygodniach naszej miłości: „prawdziwy mężczyzna, czy jeśli wolisz — wrażliwy — rzadko kocha kobietę. Kocha miłość. Patrz — mój obraz, obraz na sztalugach. Rozpięty na rusztowaniu sztalug, aby go podtrzymywały, obraz jeszcze pusty, nienamalowany. Oto zaprawione płótno, które drzewo sztalug podtrzymuje, abym wygodniej malował. Obrazu jeszcze nie ma, tylko sztalugi już podtrzymują to co będzie. Stoją jak kościec, suche, bardzo potrzebne dla obrazu, który stworzę. Nianczą mój obraz, a gdy go wynianczą moimi rękoma — staną się zbędne. Tak samo jest z miłością. Bo widzisz, naprawdę nie kocha się kogoś, a tylko swoją własną o nim koncepcję miłości...“

Może nawet na początku chciałam być ostrożna. Żal mi było mojego zapijaczonoego kochanka, który mnie kochał uparcie i wiernie, któremu byłam potrzebna. Był młodszy ode mnie i bardzo silny, a kiedy nie pił, imponował mi tymi ciemnymi mocami fizycznej przemocy, którą w nim czułam. Wiedziałam, że potrafiłby zabić w gniewie, albo z zazdrości, a to kobietę przywiązuje. Wiedziałam także, że dałby się zabić za mnie. Cóż, kiedy pił. Najpierw przychodził pijany z radości, potem ze smutku, w końcu z rozpaczy. Nigdy nie podniósł na mnie ręki — gdyby podniósł — to może jeszcze ocknęłabym się do jego miłości. Ale ze mną był łagodny. Brał mnie na ręce i nosił wokół pokoju, trzymając mocno w swoich olbrzymich, marynarskich dłoniach. Przymierzał na ukos podłogę pracowni, kołysał mnie jak kaleskę dziewczynkę z nieudanej bajki

i przyrzekał, że teraz wszystko się odmieni, że pił dziś po raz ostatni, że mnie wyrzeźbi tak pięknie jak jeszcze nikt nigdy nie wyrzeźbił kobiety; że gdy zdobędzie sławę, uciekniemy pełni pieniędzy i chwały; uciekniemy na morze, na wyspę, którą zobaczył kiedyś obrzeżoną słońcem przez lukę statku, na którym niegdyś służył. — Zobaczysz — mówił — pokażę ci jeszcze i siłę morza i swoją siłę, trzeźwego artysty-marynarza.

Uciekałam któregoś dnia od niego przez ulicę, bo już nie mogłam dłużej znosić jego pijanego oddechu, obietnic i kajania się, a także i tego, że wyzwalalam w nim łagodność, a nie siłę. Przebiegłam jezdnią po nierównych łbach bruku na drugą stronę ulicy — i tak znalazłam moją miłość.

Najpierw przychodziłam raz na tydzień, siadałam cichutko aby nie zawadzać, patrzyłam jak malował, jak parał się ze swoimi problemami na płótnie, milczący i nieobecny. Z rzadka rzucił w moją stronę uśmiech jak najpiękniejszy podarek. Miał uśmiech nieśmiały, łagodny, wypływający spod rzęs. Był to uśmiech chłopca, który przepraszał, że szykuje się na skok w dorosłe życie, krył w nim swoją niepewność, ciekawość i słabość. I ta słabość właśnie, po raz pierwszy przychwycona w jego uśmiechu, wydała mi się u niego najpiękniejszą cnotą.

Wszystko w nim dla mnie było od początku słuszne i logiczne, rasowe i mądre, nieodzowne. Wszystko w nim było wiadome przeczućmi go, zdawna oczekiwane, od czasów panińskiego łóżka, gdy w nocie przedwiośnia natury i własnego ciała myślałam o mężczyźnie, który już niedługo — może jutro? — wejdzie w krąg mojego życia. Ale mężczyzna z przedwiosennych majaków mojej młodości nie zjawiał się jakoś latami i trzeba było w końcu zrezygnować z jego obrazu i rozdrobnić podświadomą o nim pamięć na fragmentaryczne cząstki wielu kochanków, z których

każdy miał na pewno w sobie jakąś cechę tamtego ze snów, ale nigdy wszystkie.

Aż wreszcie okazało się, że jeżeli wierzyć i szukać i nie wyzbywać się własnego pojęcia o miłości, jeżeli stukać do wielu drzwi i od wielu odchodzić, ale zawsze z nadzieją — to można znaleźć.

Objawienie ostatecznego znalezienia było tak oczywiste już w pierwszych dniach naszych spotkań, że ani żal, ani obowiązki, ani nawet zwyczajna ludzka uczciwość w stosunku do innych, którzy zawinili jedynie tym, że nie byli nim — nie mogła powstrzymać mnie od dzikiej, namiętnej radości, że oto doszłam. Tak długo szukaliśmy się poprzez inne ciała na naszych odmiennych szlakach i oto znaleźliśmy się zwyczajnie na tej wąziutkiej uliczce artystów, którzy nie mieli powodzenia.

Od chwili naszej miłości wszystko czym żyliśmy dotychczas — stało się nieprawdziwe. Nasze losy, zamknięte w ramach brudnego zaułka miały w sobie smak nieprawdopodobnej operetki. Znaleźliśmy się wszyscy troje na tej ulicy przez pomyłkę — dlatego, że na innych, lepszych ulicach, w wytworniejszych domach nie udało się nikomu z nas odnaleźć sensu życia. I tak mój rzeźbiarz-marynarz miał dom w przemysłowym mieście i matkę siedzącą na pieniądzach i fabrykę po ojcu, która zamiełowana dla bryły wilgotnej gliny i niespokojnej kobiety wciąż cudem jakimś przynosiła dochody.

Mój dom w podmiejskiej dzielnicy z wystrzyżonym na trawniku bukszpanem i — och — z basenem dla ptaków przed oknem — ten mój dom to też nie było prawdziwe życie, a ludzie czekający w nim na mnie nie byli prawdziwymi ludźmi. Prawdziwa stała się któregoś dnia tylko ta uliczka, na którą trafiłam niechcący w poszukiwaniu studia dla rzeźbiarza-kochanka, aby co piątku mógł przyjeżdżać z dalekiego miasta, żeby mnie rzeźbić, kochać i nienawidzić.

Z oddalenia wczorajszego czasu wspominam moment objawienia, które otarło się o mnie jak skrzydłem archanioła, wspominam wielkość miłości, która na pewno być mogła i sensem istnienia, i jego odkupieniem — a okazała się tyl-

ko klątką z kanarkiem i jeszcze jedną gorzką pewnością, że bardzo długo nie wie się, iż wróg najgorszy to nie ja sama dla siebie, ani dom, ani rodzina, ani spójnia, którą życie narzuca komunałem zbliżając w małżeństwie i w macierzyństwie obcych sobie ludzi na wieczystą niechęć — ale człowiek, którego znajduje się tylko raz w życiu. Dopiero on jest tym najprawdziwszym wrogiem, przeciwko któremu nie można obronić się ani rozumem, ani uczuciem, ani rozpaczą. Wrogiem najstraszliwszym jest ten, któremu na imię miłość, ten o którym pisało się w oparach dojrzewającego ciała: moja druga, platońska połowa. Wrogiem najgorszym jest ten, którego się kocha najbardziej.

Nie, nie jestem wdzięczna za to, że go spotkałam. Nie, nie jestem wdzięczna za to, że przez niego poznałam gorycz najśodszej, niepowtarzalnej miłości. Wiem, że nie ma już nic przede mną i dlatego przeklinam to jedyne doznane szczęście.

Kochaliśmy się, och, jak myśmy się kochali. Spojrzeniem i myślą i pieśczęcią, która od razu była najwłaściwszą. Kochaliśmy się naszymi znużonymi od wielu potyczek ciałami i tkankami mózgu, jednako uczulonymi na te same przejawy piękna: na wstający za oknami dzień, na frazę muzyczną, na magię pisanego słowa, na barwę kwiatu. Dlaczego tak wspaniale kochaliśmy się od razu, kto nas tym przeklął i za co?

A więc któregoś dnia uciekłam do niego przez jezdnię.

— Proszę przygarnąć mnie u siebie — powiedziałam — mój rzeźbiarz, ten wysoki mężczyzna z przeciwległego studia, znów upił się do nieprzytomności i grozi, że pójdzie z nożem do mojego domu, do mojego męża. Zapomniał, że nie zna adresu. Proszę mnie przyjąć na chwilę, bo dzisiaj trochę się go boję i mam już wszystkiego dosyć, to zrozumiałe, prawda?

Ach, gdybym wiedziała wówczas, że najkrótsza droga do niego to właśnie ta, którą obrałam podświadomie, droga uciemionej kobiety — może przyjęłabym inny ton?

Był bardziej Don Kiszotem niż Don Juanem. I może dlatego właśnie wydałam mu się taka piękna i

taka bezbronna w mojej ucieczce przez jezdnię? Nie dlatego, że byłam naprawdę bezbronna, ale dlatego, że znalazłam się nieszczęśliwa w moim zasobnym domu na przedmieściu, i uciekłam z jego mieszczkańskich ścian w miraże tej uliczki artystów?

Tak się więc to zaczęło: od siedzenia cichutko, od śledzenia najpierw tego co malował, a potem tylko od wodzenia za ruchem jego rąk między paletą a płótnem. Później niedługo przyszły próby przyciągnięcia ku sobie jego oczu błękitnych i chłodnych. A jeszcze potem było patrzenie na jego usta tak piękne i tak okrutne, jak usta śpiącego niemowlęcia które były ustami tylko po to, aby wysysać z życia słodycz i wszelką potrzebę istnienia, bez końcowego rozrachunku. Miał usta podobne ustom mego syna, które tak jak u dziecka — poruszały się podczas snu w nieświadomym a zachłannym ruchu utrzymania samego życia.

Nieprędko poznałam dotyk jego rąk na moim ciele. Nie spieszył się do mnie tak jak ja się nie spieszyłam do niego. Patrzył na mnie niemal surowo i sam nie wiedział, napewno nie wiedział, że pastwił się już wtedy nade mną spojrzeniem, które mnie obnażało, ale jeszcze nie pragnęło — domysłem tego, co mógł mi dać, ale jeszcze nie chciał — on jeden, niepowtarzalny, najbliższy, obcy i wrogi, on — druga platońska połowa.

Ukończył wreszcie obraz, przy którym zastałam go w dniu mojej do niego ucieczki. Był to obraz w zimnej, niebieskiej tonacji — w jego tonacji. Był to obraz, z którym żył przez długie miesiące w głębi siebie: obraz szaletu w Szwajcarii, szaletu w nocy, wśród obojętnych sosen i chłodnych gwiazd. Ale ja zrozumiałam od razu, że tam — za drzwiami szaletu, które zaznaczył tylko kilkoma liniami rysunku — ktoś spał. I pojęłam od razu, że poza obrazem, tam gdzie koniec płótna znaczył granicę jego malarstwa — czekał on sam, wpatrzony w drzwi szaletu. Dojrzałam to wszystko w jakimś przeblasku natchnienia, który był pierwszym przeblaskiem miłości — i przeraziłam się, chciałam uciec. A gdy już miałam dowiedzieć się do końca, do dna

co ten obraz naprawdę przedstawiał, kto spał — okrutny — za ciemnymi drzwiami — on doszedł do obrazu i zrzucił z siebie poplamiony farbami kitel. Stał przede mną nagi do pasa w płóciennych, niebieskich spodniach — on, moja druga platońska połowa, on — mój grecki pasterz, faun o błękitnych oczach, nieprawdziwy kochanek.

Tak się zaczęło. Byliśmy naraz w sobie i dla siebie. Byliśmy jednością i oczekiwaniem, spełnieniem i spokojem. Nasz spokój był burzą, albo może było inaczej: nasza burza była także spokojem. Nie wiem, przecież kocham go ciągle, więc cóż wiedzieć mogę — naprawdę?

Był także moim płodem, dumnym płodem poczętym ze mnie samej. Nosiłam go w sobie i był we mnie zarazem synem i kochankiem, żywiłam go sobą jak zgłodniałe szczenię, stapałam się w ogniu jego pieśzoty jak ołowiana kula do coraz to mniejszego, boleśniejszego punktu rozkoszy, w którym nasze dwa ciała także stapiały się w jedno.

Tak się zaczęło, to nasze życie, która do dzisiaj rozgrzesza mnie z tego, że śmiem żyć dalej. Urodziłam się tylko na tę miłość. Och, naturalnie, że w biały dzień w trzeźwy dzień nawet mnie samej trudno w to uwierzyć. Dzisiaj się już nie ludzę, nie szukam, już wiem, że każdy żyje dla jednego tylko przeżycia i że dlatego mogę już czekać jedynie na śmierć. Może kiedyś w oczach mojego syna dojrzę na moment to samo spojrzenie — niebieskie i zimne, skierowane do innej kobiety. Ogarnie mnie wtedy ostatnia radość i poczucie częściowej rekompensaty. Bo wtedy i ona, ta nieznaną, może nieurodzoną jeszcze przyszłą kobietą mojego syna dowie się czym jest cierpienie. Niech i ona wie co to znaczy, kobieta mojego syna, druga najstraszliwsza rywalka.

Kochaliśmy się.

Przez jezdnię, w domu przeznaczonym na rozbiórkę, paliło się światło co piątek i wiedziałam, że kochanek-marynarz czeka na mnie przed bryłą gliny, przy pustej butelce dżinu. Cekał. Pisał listy do moich przyjaciółek, groził, że się utopi u brzegów wyspy, na której miał znaleźć szczęście ze mną. Nie

przejmowało mnie to. Był marynarzem i nie umiał pływać, a gdyby nawet umiał i tak nie wzruszyłby mnie swoją śmiercią. Kochałam innego. Więc pił i czekał. Rzeźbił i czekał. Odsuwał od siebie matkę z brylantami i robotników w fabryce. W moich nieobecnych przy nim rękach leżały losy wielu rodzin — a ja gładziłam włosy mojego mężczyzny i byłam szczęśliwą, szczęściem embriona, szczęściem z pół snu, o którym nie wie się jak jest wielkie, bo nie objęte jest rzeczywistością życia.

Och Boże, mówię sobie teraz — czy to wszystko było naprawdę kiedyś możliwe, prawdziwe, przeżyte?

Któregoś dnia z nadmiaru miłości przyniosłam mu kanarka. Kupiłam go na tej szerokiej, gwarnej ulicy, która prowadziła do naszej. Na dużej ulicy odbywał się targ co tydzień i pomyślałam sobie, że taki żółty, beztroski ptaszek wniesie do jego pracowni nieco światła i że wspomnienie o mnie, gdy już odejdę wieczorem do mego domu na przedmieściu przefiltruje się przez jego ciepłe kolorem pióra w tęsknotę i pragnienia. Kanarek śpiewał, więc był samcem, mimo okrągłej piersi wydętej jak ogłoszenie biustonoszy.

Ucieszył się gdy przyniosłam klatkę. W oczach zapalił mu się błysk jakiejś wielkiej tkliwości. Podszedł do kanarka, pogłodził jego przerażone, nasrożone skrzydła i powiedział do mnie: „To przecież ty, to ty tak wyglądasz naprawdę, kolorowy ptaku, ptaku uwięziony na szarej ulicy.“

Nazwaliśmy go „Il Poverello“ na pamiątkę Świętego, którego wielkość zrozumieliśmy oboje dopiero od chwili naszej miłości. Przed tym postać św. Franciszka była dla nas jedynie symbolem rzeczy nieosiągalnych. Dopiero w naszej miłości znaleźliśmy klucz do mniszka z Assyżu — zrozumieliśmy że człowiek skazany na wielkie uczucie musi ogarniać miłością — wszystko co go otacza. Któż nam zarzucić mógł, że w naszej miłości nie kochaliśmy Boga podobnie jak on — z kornym schyleniem głowy przed cudem miłości, z wdzięcznością i niekończącym się zachwytem? Kochaliśmy Boga za to, że nam dał siebie nawzajem — kochaliśmy Go w jakiś dziwny, oszalały sposób, ale

może nie tak daleki od Biedaka z Assyżu sposób?

Dopiero po nastaniu kanarka przysły te pierwsze gesty i zamyślenia, te zamykania się w głębi siebie, kiedy nie miałem do niego dostępu. To był czas „Requiem“ Verdiego i zasuwanie kotar i lęki, które w nim czułam, gdy mnie dotykał miłosną dłonią — a ja leżałam przed nim odkryta nie tylko z sukien, ale i z własnej duszy — przed nim jedynym naprawdę naga?

Któregoś dnia zwyczajnie, jak głupia kobieta, która wciąż jeszcze nie rozumiała jakie spotkało ją szczęście — spytałam jak wszystkie inne: czy kochałeś kogoś tak samo jak mnie? — Leżałam zadowolona po miłości, rozpieszczona jak kot, leniwa niedawną rozkoszą.

— Tak — odpowiedział — Tak.

Serce zamarło we mnie od razu, po prostu na chwilę przestało bić. Stężałam w przerażeniu — tak jakbym miała jakiegokolwiek prawo do niego nie tylko teraz, ale zawsze, jak matka, od początku jego dni, jakbym nie wiedziała, że kochał inne przede mną, bo musiał, bo to było nie tylko naturalne, ale konieczne aby był takim jakim był — dla mnie.

— Jaka była? — spytałam — Jaka była, powiedz. I czekałam, że mi odpowie, że była mniej piękna ode mnie. I nie taka dobra. I nie taka mądra.

— Była piękna — powiedział — Nosila w sobie stygmat wielkości.

— Mów dalej — powiedziałam.

— Była nieszczęśliwa... jest nieszczęśliwa — dodał i zamilkł.

— Nieszczęśliwa? powtórzyłam. To było takie zwyczajne.

A poza tym jak mógł żalować kogoś, kogoś wspominać — przy mnie? Spojrzałam na Poverella, który w kącie pokoju zaniósł się naraz śpiewem. Zawstydziałam się, on był po prostu dobry. Zapomniał tylko na chwilę w tej swojej dziecięcej dobroci, że nikt mu dać nie mógł tego co ja mu dawałam. Spojrzałam na swoje smukłe ramiona, na dziecięcinę piersi, dotknęłam w niezamierzony pieśzociec własnej szyi, rzęś i policzków.

— Nieszczęśliwa — powtórzyłam raz jeszcze — nieszczęśliwsza ode mnie — Z mężem obcej rasy, z kochankiem-pijakiem, ze zmarnowanym, rozdrobnionym życiem? Nie

mów, to niemożliwe. Nikt nie mógł być nieszczęśliwszy ode mnie zanim poznałam ciebie...

Uśmiechnął się w bok, w stronę kanarka i nic nie powiedział.

Wiem, co pomyślał wtedy: że takiej pięknej kobiecie jak ja wolno być egoistką. Że takie kobiety jak ja — kobiety z portretu, którego jeszcze nikt nie namalował prawdziwie, jak mówił — mogą sobie pozwolić na flirt z nieszczęściem bo nie widzą czym ono jest naprawdę. Ach, gdyby wiedział, gdyby tylko wiedział zamknięty w swym własnym kokonie egocentryzmu jak trudno jest odejść od człowieka, w którym płynie obca mi krew, jak trudno jest uciec od krzyku niemowlęcia, ażeby odejść, zdradzić, oszukać dlatego tylko, że się kogoś nie kocha. Jak nadaremnie zmywa się w kąpeli dotyk semickich przebiegłych, wschodnich palców na własnym niechętnym ciele. Gdyby wiedział jak patrzy się w oczy własnego syna z lękiem: czyj będzie, czyj jest — mojej rasy czy tamtej?

— Kochałeś ją — powiedziałam i rozplakałam się ze wstydu za samą siebie.

Od tego wieczoru zaczęłam go obserwować. Patrzałam na niego ukradkiem, podejrzliwie, drżąc jednocześnie aby nie zauważyć niczego. Nieraz wróciwszy do siebie podnosiłam słuchawkę telefonu i nakręcałam jego numer. Zwykle odzywał się niecierpliwym głosem, który mi sprawiał radość: był niecierpliw, więc nie oczekiwał niczyjego wezwania. Odkładałam słuchawkę, biegłam śpiewając do pokoju dziecka, znowu szczęśliwa i młoda i piękna. Nie wiedziałam wtedy, że to co brałam za niecierpliwość — było lękiem.

Ale były i takie wieczory, kiedy nie odpowiadał na telefon. Brałam wówczas taksówkę, pędziłam przez ulice miasta, aby pod jego domem przez niedociągnięte firanki, które mu sama uszyłam — dojrzeć cień jego sylwetki. Zdarzały się także i takie dni kiedy w pracowni było ciemno.

Przez długie tygodnie nie pytałam go o nic. Leżałam w jego uścisku rozdarta jak nowym porodem — podejrzliwością. Tak samo bolało od trzewi, tak samo wyduszało z głębi ciała jęk, który kryłam przed

nim tak jak przed lekarzem w klinice kryłam mój zwierzęcy krzyk, wstydziałam się jak rodząca swojej własnej, nieopanowanej słabości.

Leżeliśmy nieraz w długich milczeniach, przytuleni do siebie na płaszczyźnie tapczanu jak na pustynnym łądzie. Kanarek spał pod przykryciem zasłonki, którą mu skroilałam z resztek niebieskich firaneczek z kołyski mego syna — czasami zakwilił przez sen pod ciemnością sztucznej nocy, tak jak ja wśród nocy prawdziwej, gdy dusił mnie niepokój o niego.

I wreszcie kiedyś spytałam znowu: — Powiedz mi o niej, o tej, którą kochałeś — jak mnie...

Najpierw się zachnął, ale zaraz przygarnął się do mnie w ruch, który był identyczny z ruchem mojego dziecka, powiedział: tobie opowiem o niej, tobie jedynej, bo innej od innych. Moja bliska — Tak. Może kocham ją jeszcze? Rozumiesz? odszedłem od niej — dla ciebie, połowo moja, cóż ona temu winna? Mamy dziś siebie, a ona...

— Była piękna — powiedziałam bez sensu — Powiedz jaka była piękna...

— Jest piękna — odpowiedział — ciągle, dla mnie...

A więc odsuwał nasze firanki, tak jak zasuwiał kiedyś tamte inne, w pokoju ich miłości w szwajcarskim szalecie z obrazu. Słuchał z nią razem Verdiego, chwalił kolory jej sukien. Kochał ją. Kiedyś? Teraz? Zawsze?

— Czy była dobra? — spytałam.

— Nie, nie była dobra. Nieszczęśliwi nie mogą być dobrzy.

— Co ci dała?

— Niepokój — odpowiedział i zamilkł.

Wówczas zrozumiałam, że ciągle muszę się jej jeszcze bać. Byłam dla niego jedynie radością, spokojem, zaufaniem i ciszą.

— Czy jest w tym mieście? spytałam.

— Tak — odpowiedział i znów na chwilę stał się małym chłopcem, którego matka spowiada ze złych postępów w szkole. — Tak, żyje w tym mieście.

Nie śmiałam pytać o nic więcej.

Przez tydzień nie widziałam go. Mój synek był chory. Siedziałam przy kołysce bez zasłonek, duży był z niego już chłopak, wyraźnie stał z kołyski, ale trzymałam go w

niej dlatego, że w ten sposób zatrzymywałam z nim moją pierwotną łączność, łączność niepodzielności najważniejszą dla kobiety — siedziałam przy nim i byłam niemal uspokojona.

Kiedy jednak wróciłam na naszą uliczkę — kiedy wpadłam zadyuszana i niecierpliwa aby nagłym ruchem otworzyć drzwi na poblysk północnego światła studia — miałam dla niego kwiaty w rękę i woalkę na twarzy — chciałam żeby ją zdarł z mych policzków głodnymi ustami — w studio zadźwięczała jakaś obca cisza, czegoś brakowało.

Stał przy sztalugach, grzebał coś w farbach, ale nie malował.

— Miły — powiedziałam — Miły, to ja.

Klatki z kanarkiem nie było na zwykłym miejscu pod ciepłą kuchenną ścianą. — Gdzie Poverello? — spytałam i nowy strach ścisnął mi serce.

— Nie wytrzymał chłodu ostatnich dni. Zdechł — odpowiedział, nie patrząc na mnie.

Nie kochaliśmy się tego wieczoru. Płakałam w rękawy jego roboczej bluzy. Gładził mnie po włosach milczał.

— Ci ci się stało? — płakałam — Co ci się stało?

Nie odpowiadał.

Wtedy straszliwa, zjadliwa, okrutna zazdrość objęła mnie jak ściana ognia. Czułam czyjaś obecność i w studio i w nim samym. Wstałam z zimnego tapczanu, spytałam raz jeszcze czy mnie kochał.

Wtedy to odpowiedział mi, że się nie kocha kogoś, tylko własne o nim wyobrażenie. Był zimny. Był inny, był nieszczęśliwy, nie mój. Był odbiciem jak w mętnym zwierciadle cudzych spraw, do których nie miałam klucza, był obcy, zgubiony we własnym śnie, świecie, wyrzucie, rozpacz.

Żegnaliśmy się na progu uściskiem, ale nie pocałunkiem. Odgarnęłam mu włosy z czoła najczulszym ruchem, powiedziałam: syneczku, nie rozpaczaj, może ja naprawdę rozumiem wszystko?

Spojrzał na mnie, ale milczał dalej. Więc przycisnęłam go do siebie, otuliłam sobą. Powiedz, proszę — powiedz. Uwierzył mi. — Zaczął mówić. Och, jakże ci trudno było mówić mój miły, połowo moja, jakże ci było trudno —

— Tamta kobieta mnie potrzebuje, jestem związany z tamtą — na zawsze chyba i obok ciebie. Kocham cię, ale muszę być z tamtą — także —

— Rozumiem — powiedziałam — Mów dalej, rozumiem. Nie rozumiałam — mogłam się tylko domyślać, że była młodsza, piękniejsza, mądrzejsza i lepsza ode mnie.

— Z nią były związane nadzieje, które się nie spełniły. Moje sny o wielkości i szczęściu. Była mi jak siostra bilźniacza siostra kazirodca w rozczarowaniu życiem — rozumiesz? Czy rozumiesz jak to łączy?

Ty jesteś jak chleb, jak chleb który smakuje na codzień i zawsze. A ona... Już nie wiem sam. Może właśnie smakuje najlepiej tylko to co nie zaspakaja głodu szczęścia, co rozczarowuje? Może motorem życia jest nie spełnienie a rozczarowanie? Pomóż mi, zrozummy razem — rzeczywistości moja, chlebie mój, który mi tamtej zastąpić nie możeś dlatego że tamta się — nie spełniła?

Czekał na moją odpowiedź. Naiwny, naiwny. Uciekłam kamiennymi schodami w dół, które — po raz pierwszy zauważyłam to — cuchnęły kotami. Zatrzymałam się w bramie i jakiś straszliwy ucisk schwytał mnie za piersi, za serce — ale czy ja miałam wtedy serce? Gdybym miała to przecieżyby pękło mi podczas rozmowy.

Postałam chwilę, nic nie myśląc. A potem — też nie wiem dlaczego — wróciłam na górę.

Stałam pod jego drzwiami chyba nie po to, aby go śledzić, ale żeby po prostu wrócić, rozplakać się, prosić o litość, wytłumaczyć, że takiej jak ja nie spotyka się codzień, chciałam się upokorzyć i zachwalić raz jeszcze.

Rozmawiał przez telefon. Zamawiał kwiaty podawał adres. Posyłał kwiaty. Wiedziałam już gdzie mieszkała, znałam jej imię.

Przez trzy dni leżałam u siebie w domu. Na czwarty dzień ubrałam się w mój czarny paryski kostium i poszłam pod zapamiętany adres.

Musiałam tam iść. Musiałam powiedzieć jej, że to ja kocham go więcej, że go jej oddaję — na pewno piękniejszej i młodszej, że go oddaję bo jest ode mnie dla niego waż-

niejsza. To było wszystko co wymyśleć mogłam przez trzy noce mej samotności.

Łatwo znalazłam jej dom. Był jasny i wielopiętny, schowany w ogrodzie, zasobny. Na ogrodowej furtce wisiała kartka; „Kanarek do sprzedania. Śpiewa“.

Oworzono mi drzwi. Nie pamiętam kto je otworzył. Nie pamiętam ścian hallu, ani schodów, ani dywanu.

— Ja... o kanarka — powiedziałam.

Wprowadzono mnie do pokoju o wielu oknach. Na ścianach wisiały zaschłe wieńce, na jednej zblakłej szarfie odczytałam napisa: „A l'incomparable“.

Więc była nie tylko piękniejsza i młodsza ode mnie, była mu także i siostrą w sztuce — nie wiedziałam w jakiej, to już nie było ważne.

„Incomparable“. Zamknęłam oczy skupiłam się w sobie. Zaraz ją zobaczę. Zaraz jej go oddam. A l'incomparable.

— O kanarka? — spytał ktoś za mną.

Spojrzałyśmy na siebie i czas stanął. Stała przede mną groteskowa chuda, stara. Ubrana w dziewczęcy, zgnieciony dezabil zdobny w koronki i wstążki stała przede mną zniszczona kobieta, patrzyła na mnie starymi oczami, wyciągała ku mnie rękę gestem zaproszenia — straszliwą rękę kostuchy. Mignęła ku mnie spod koronek udami, które wisiały na gołeniach jak niepotrzebne szmaty.

— O kanarka? spytała znowu.

— Nie — odpowiedziałam — nie. Ja przyszłam zapytać się dlaczego chce pani go zabrać ode mnie?

Roześmiała się. Jej stare oczy zabłysły nagle młodym niebezpiecznym blaskiem i stały się na moment bardzo pięknymi oczami.

— Więc to pani — powiedziała — nowa muza? Pani sama w to chyba nie wierzy.

W kącie zakwilił Il Poverello. Poznał mnie. Podeszłam do klatki.

— Chcę go odkupić — powiedziałam.

— O nie — roześmiała się znowu i jej śmiech uderzył mnie w twarz — Kazałam go sobie oddać, tego śmiesznego ptaszka, więc mi go oddał — prezent od ostatniej

kochanki. Płakał, ale oddał. On zawsze zrobi wszystko co zechce. Kanarka sprzedam komu innemu. Niech to wystarczy za dalszą rozmowę.

Nie wiem jak uciekłam od niej, od jej głosu i oczu, starości i groteski. W taksówce strzęsłam się i spłakałam aż wreszcie pod jego domem uspokoiłam się. Płacąc za kurs dojrzałam w lusterku szofera swą młodą, piękną, zapłakaną twarz.

— Miły — krzyknęłam od progu — Mój miły. Byłam u niej. Il Poverello żyje, czeka na sprzedaż. Miły, co to wszystko znaczy ta kobieta? Ta stara, straszna kobieta?

Odwrócił w bok głowę przed moimi ustami, podszedł ku sztalugom, poglaskał sztalierz, powiedział:

— Przy mnie była piękna. Kochałam ją. Zostaw mnie z moim straszliwym ciężarem, nie każ mi zdradzać do dna.

* * *

Nie wróciłam więcej na tę uliczkę. Nie miałam po co wracać, bo nie miałam o co walczyć

Chodzę i jem i bawię się z dzieckiem. I śpię. Bardzo dużo. Ale nie żyję.

Zazdrość jest składnikiem i pożywką życia, może nawet trzeba być zazdrosnym, aby poznać najprawdziwszy smak miłości. W zazdrości trzeba walczyć, w zazdrości można przegrać. To jest ryzyko miłości. Ale kiedy naprzeciw mojego ciała wychodzi z ram przeszłości cień, groteska i karykatura — to jakże wierzyć, że się wygra? Jak można wygrać?

Może wróćę z czasem do kochanka-marynarza. Nie wiem jeszcze. Może w szale pijackim zabije mnie wreszcie któregoś dnia, a może będę żyła jeszcze bardzo długo? Może za lata, gdy mięśnie moich ud opadną jak dwie szmaty na suche pi-szczele kości — rozumiem, że ciągle jestem jeszcze piękna — dla kogoś — omamem przeszłości? I może będę rada i dumna i okrutna — tak jak była ona? Bo może największym zwycięstwem jakie spotkać może kobietę — jest właśnie siła wspomnień jakie narzuca? Może dlatego się żyje? Nie wiem, Przegrałam walkę zazdrości, nie chcę żyć.

Klara Evans

— Dureń! — powiedział, zawiązując muszkę przed lustrem Jim Lackland. — Absolutny dureń! Pojęcia nie mam, co Corbett w nim widzi?

Moira czekała cierpliwie, aż skończy, aby założyć swój naszyjnik. Tyle razy słyszała już tego rodzaju opinie swego męża o jego najgroźniejszym rywalu do stanowiska naczelnego kierownika działu sprzedaży, Edwardzie Dunstane, że zupełnie przestało to ją interesować.

— Skończyłeś? — zapytała, podchodząc do lustra. — Zapnij mi naszyjnik, dobrze?

— Dajże mi najpierw zawiązać tę muszkę — zirytował się Jim. — Nie możesz poczekać dwóch minut? Mamy przecież mnóstwo czasu. Zebranie nie zacznie się przed siódmą, a przez pierwsze piętnaście minut i tak nikogo nie będzie.

— Wolisz, by Dunstane zjawił się przed tobą? — spytała z leciutką ironią w głosie. — Będzie miał okazję porozmawiać z Corbettem, sam na sam.

Wiedziała, że sama możliwością takiej rozmowy wystarczy, aby przyspieszyć ich wyjazd o dobry kwadrans. Cały personel firmy od pół roku żywo interesował się możliwością obsadzenia stanowiska, wakującego od śmierci poprzedniego kierownika. Zasadniczo kandydatów było dwóch: Jim, kierownik działu sprzedaży na Wielką Brytanię i Edward, kierownik eksportu. Pracownicy z zaciekawieniem śledzili spadek lub wzrost szans rywali, zależnie od sukcesów lub niepowodzeń ich posunięć. Robiono nawet zakłady, które — trzeba to przyznać — w większości wypadków wyraźnie faworyzowały Dunstane'a. Ale naczelną dyrektor firmy, Corbett, dotychczas się nie wypowiedział na ten temat. Spodziewano się, że może dzisiaj, na dorocznym przyjęciu w swojej rezydencji w Sussex, zawiadomi zebranych o swoim wyborze. Jim oczekiwał tego i naturalnie podniecenie nie wpływało dodatnio na jego humor.

— To by zupełnie do niego pasowało — zgodził się, robiąc miejsce żonie przed lustrem. — Musimy tak wycelować, żeby być u Corbetta dokładnie na siódmą. Corbett ceni punktualność.

„Corbett ceni także wiele innych rzeczy“ — myślała, leniwie odgarniając włosy z karku, aby umożliwić mężowi zapięcie naszyjnika. Czula w stosunku do niego coś w rodzaju politowania. Cóż on w gruncie rzeczy wiedział o Corbett'cie? Moira została kochanką naczelnego dyrektora cztery lata temu — i wkrótce potem przyszła promocja Jima. Naturalnie, Jim był głęboko przeświadczony, że to wyróżnienie spotkało go z powodu jego zasług i umiejętności. Moira wiedziała lepiej, co o nim sądził dyrektor.

SUKCES MOIRY LACKLAND

— Marnujesz się — powiedział jej wkrótce po ich poznaniu. — Przecież Jim, to taka przeciętność. O czym wy ze sobą mówicie?

Z zadowoleniem spoglądała na swe odbicie w lustrze. Nie, stanowczo jej nie można było nazwać przeciętną! Być może, że wielu mężczyzn uważałoby ją za zbyt pełną, ale przy tej wrażliwości to zupełnie nie rażyło. Zresztą Henryk Corbett lubił posagowe kobiety; zaważyła to od razu, gdy była po raz pierwszy w biurze i spotkała jego sekretarkę. Moira doskonale zdawała sobie sprawę, że nie była jedyną kobietą w życiu Corbetta w przeciągu tych ostatnich czterech lat, ale sam fakt, że potrafiła go zdobyć i utrzymać (co, prawdopodobnie słusznie, przypisywała nie okazywaniu przez siebie zazdrości o jego żonę i inne przyjacielki) dawał jej tyle zadowolenia, że ten brak wyłączności jej nie przeszkadzał. Ostatecznie, przecież i Henryk musiał ją dzielić z Jimem.

— Skończyłeś? — zapytała.

Jim szamotał się ze skomplikowanym zapięciem.

— Mogliby wymyślić coś prostszego — wybuchnął. — Ten idiotyczny zamk nie chce się nigdy zamknąć.

— Pozwól — powiedziała spokojnie i, przesunąwszy zapięcie do przodu, zamknęła je bez trudności.

Po chwili siedzieli w samochodzie. Jima irytowało dzisiaj wszystko: czerwone światła na skrzyżowaniu, wyprzedzający go sportowy Aston Martin, samotny przechodzień na „zebrze“ i milczenie żony.

— Mogłabyś coś powiedzieć — warknął po przedwczesnym wystartowaniu na światłach. — Jedziemy, jak na pogrzebie.

— O czym chciałbyś rozmawiać? — zapytała. — Może o ostatniej książce

Braine'a, albo o wystawie Barbary Hepworth? A może wolałbyś raczej omówić premierę Hamleta w Aldwych?

Wiedziała doskonale, że nie tak go nie mogło zirytować, jak ironia. Jim wiedział, że żona jego jest bardziej od niego wykształcona, ma znacznie szersze zainteresowania, o wiele większą umiejętność prowadzenia towarzyskiej konwersacji — i był z tego potrosze dumny. Widząc ją, otoczoną gromem męskim na przyjęciu i słysząc jej trafne i pewne odpowiedzi, odczuwał ten sam rodzaj satysfakcji, jak kiedyś mniej zamożny kolega podziwiał jego Jaguara. Poza tym, traktował urodę i zalety towarzyskie Moiry, jako ułatwienie w nawiązywaniu utrzymywaniu potrzebnych stosunków handlowych. Możliwość tego, że Moira mogłaby go zdradzać, chociażby z Corbett'em, w ogóle nie przychodziła mu do głowy. Był głęboko przeświadczony, że przy swoich zdolnościach i możliwościach miał wszelkie dane na zrobienie prawdziwie wielkiej kariery — ba, pewnie większej od Corbetta! Kiedyś się przecież muszą na nim poznać, a wtedy nie ma stanowiska, którego by nie mógł osiągnąć. I właśnie ze względu na niezbitą równość swej własnej wartości nie znośli ironii w ustach Moiry. Czuli się wobec tego oręża zupełnie bezbronna i widzieli własną niezdarność. Naturalnie, doprowadzało go to do pasji.

— Wiesz dobrze, że przy mojej pracy nie mam czasu na tego rodzaju dyrdymałki! — odburknął, zwiększając szybkość. — Czy ty naprawdę nie umiesz po ludzku rozmawiać? No, o zwyczajnych, ważnych, istotnych sprawach? Przecież dzisiaj mogą się zdecydować nasze losy w firmie.

No, nareszcie powiedział, co mu leżało na sercu. Spojrzył ukosem na profil żony w migotliwym świetle ulicy.

— Nie wiedziałam, że ja również należę do firmy — odpowiedziała Moira. — Myślałam, że to tylko wyżsi funkcjonariusze są wyłączną jej własnością.

— Nie żartuj, Moira — Jim czuł potrzebę wygadania się, podzielenia się swoimi nadziejami i wątpliwościami. — Przecież ci już wspominałem, że Corbett może dzisiaj ogłosić swoją decyzję na temat stanowiska Jonesa. Wiesz przecież, że on to lubi robić na swoich przyjęciach.

Wiedziała doskonale. Znała Henryka na wylot: przy całej swojej inteligencji i kulturze przepadał za zgrywaniem się na wielkiego wodza przemysłowego w amerykańskim stylu. Uważała to zawsze za bardzo zabawne, ale przestała z niego żartować na ten temat, kiedy zauważyła, jak bardzo go dotyczą jej ironiczne uwagi. Tak, to zupełnie niewykluczone, że Henryk dzisiaj ogłosi, na kogo padł jego wybór. Nie czuła się w tej sprawie specjalnie zaangażowana, bo nawet zwycięstwo Edwarda nie oznaczało jej osobistej porażki. Edward był kawalerem i promocja jego oznaczałaby tylko jedno, a mianowicie lepszą ocenę jego zdolności przez Henryka. Z tego rodzaju werdyktem Moira sama zgadzała się zupełnie; Edward był na pewno inteligentniejszy od jej męża. Był zresztą okres, pewnie z pięć lat temu, że Edward bardzo jej się podobał i bardzo zabiegał o jej względy. Kto wie, do czego by doszło, gdyby na horyzoncie nie pojawił się nagle Henryk. Moira pamiętała doskonale rozczarowanie i zdziwienie Edwarda, kiedy nagle odegrała przed nim rolę oddanej i wiernej żony i dała mu do zrozumienia, że mogą być tylko przyjaciółmi. Szczerze mówiąc, wcale nie była pewna, czy Edward się nie domyślił prawdziwego powodu; w każdym razie prawie bez nalegania przeszedł na bardzo poprawne stosunki towarzyskie, nigdy nie zaniedbując złożenia jej komplementów z powodu nowego uczesania, diorowskiej sukni, czy też jej własnej urody. Tak, Moira lubiła Edwarda i chętnie zachowywałaby go w rezerwie na wypadek odejścia Henryka, które przecież kiedyś musiało nastąpić.

— Owszem, to bardzo możliwe — zgodziła się z mężem. — Co myślała twoi koledzy w firmie?

Od tej chwili miała spokój. Jim nie potrzebował dalszej zachęty. Aż do momentu zajechania przed rezydencję Corbetta przeprowadzał szczegółową analizę poglądów kolegów na swoje i Edwarda możliwości, cytował ich pochlebnie dla siebie uwagi, oraz ich niepoehlebne dla Edwarda spostrzeżenia, rozważał zwrócenia się naczelnego dyrektora do nich obu i zdecydowanie podkreślał niezgodne z zasadami fair

play ubiegania się o sympatię Corbetta przez swego rywala.

Pomimo bardzo punktualnego przybycia nie byli pierwsi. W pokoju, do którego wprowadził ich butler Corbetta znajdował się już oprócz gospodarza i jego żony przystojny, szpakowaty mężczyzna i ładna, postawna kobieta trochę po trzydziestce.

— Państwo się nie znacie? — przedstawił ich wzajemnie Henryk. — Pan i pani Lackland — pan i pani Stonehouse.

Moira z zainteresowaniem przyglądała się żonie Stonehouse'a. Wiedziała, że ten typ urody bardzo odpowiada Henrykowi, ale nigdy dotąd nie spotkała Stonehouse'ów w domu Corbetta. „Nie dałabym dwóch groszy za to, że to nie jego dawna, albo nowa przyjaciółka“ — pomyślała i odwróciła się, aby przywitać się z Edwardem, który właśnie zjawił się na progu. Po chwili parterowe pokoje rezydencji zaroily się gośćmi. Jak zwykle na dorocznym przyjęciu dyrektora, obecni byli wszyscy wyżsi urzędnicy firmy, główny rezydent, doradca prawny i kilka osób spoza firmy, poza Stonehouse'ami. Punktualnie o ósmej podano kolację w dużej jadalni o pięknym stropie z dekoracyjnych belek, z którego gospodarz był dumny, starając się przekonać gości (bez większego zresztą skutku), że to pamiątka po poprzedniej budowlu, wzniesionej na tym samym miejscu za czasów Elżbiety I.

Moira siedziała niedaleko od gospodarza, mając po prawej ręce Edwarda, po lewej odchodzącego w tym roku na emeryturę szefa zakupów, Johnsona, który zabawiał ją uporczywie z nieco edwardiańską galanterią. Korzystając z momentu, kiedy Johnson skupił całą swoją uwagę nad pieczysem, zwróciła się do Edwarda:

— Podobno to dzisiaj waga się losy świata?

Zrozumiał i odpowiedział z uśmiechem:

— Tak orzekła wyrocznia. Czekamy na wyrok. Orzeczenie spodziewane jest tradycyjnie przy deserze.

Podniosła wyzywająco swój kieliszek:

— Oby zwyciężył najgodniejszy konkurent!

— Ten, kto zwycięża, zawsze jest najgodniejszy — takie są przepisy gry — Edward starał się utrzymać żartobliwy ton, ale widziała, że był zdenerwowany.

— Kto są ci Stonehouse'owie? — zapytała, wskazując oczami świeżo spotkanych gości, którzy zajmowali honorowe miejsca tuż przy pani i panu domu.

Wzruszył ramionami.

— Pewnie jacyś ważni klienci, na których Corbett chce zrobić dobre wrażenie.

Przy deserze, zgodnie z tradycją i przewidywaniami, sprowokowany z góry zaaranżowanymi okrzykami: „Przemówienie! My chcemy przemówienia!“ Corbett podniósł się z miejsca. Na sali zaległa cisza. Wszyscy przyoblekli swoje twarze w wyraz najgłębszej uwagi i skupienia. Corbett zaczął: „Drodzy przyjaciele i koledzy...“ „Ale się zgrywa“ — pomyślała Moira i spojrzała przez stół na swego męża. Był blady i nerwowo przesuwając palcami po łyżeczce do kawy, jak gdyby chciał sobie wbić w pamięć jej kształt.

Corbett był zręcznym mówcą i wiedział, że dla pełni efektu wszelkie przemówienia po posiłku nie powinny przekraczać dziesięciu minut. Zaczawszy od podkreślenia sukcesu handlowego firmy w ubiegłym roku i zarysowania stałego wzrostu sprzedaży pomimo faktu, że w dalszym ciągu on, Henryk Corbett pozostaje na stanowisku naczelnego dyrektora (śmiechy), przeszedł do złożenia podziękowań obecnym i nieobecnym członkom zespołu za ich oddaną i ofiarną pracę, będącą dla kierownictwa firmy prawdziwą inspiracją (brawa). Wspomniawszy pokrótce o szeregu usprawnień i ulepszeń na terenie biura, Corbett w kilku słowach nakreślił sylwetkę zmarłego naczelnego kierownika działu sprzedaży, jako niezastąpionego filara przedsiębiorstwa. Moira spojrzała znowu na męża: palce jego zacisnęły się tak mocno na łyżeczce, aż krew odbiegła z ich końców.

— Życie jednak nie zatrzymuje się na miejscu — ciągnął Corbett. — I natura nie znosi próżni. Nawet ludzie niezastąpieni muszą zostać zastąpieni.

Edward głośno wciągnął w płuca powietrze. Corbett mówił o tym, że oczywistym wyborem na miejsce zmarłego byłby jeden z dwóch bezpośrednich jego podwładnych. Ale który? Obaj są jednakowo godni tego stanowiska i awansowanie jednego byłoby niezastąpionym ciosem dla drugiego. Nie mogąc w tak ważnej sprawie uciec się do jedyne go sprawiedliwego rozwiązania przy pomocy rozstrzygnięcia rzuceniem w górę monety (śmiechy), dyrekcja doszła do wniosku, że jedynym wyjściem z sytuacji jest wprowadzenie w grono pracowników człowieka z zewnątrz, którego olbrzymie doświadczenie kolosalne stosunki itd. itd.

— Remis! — szepnęła Edward do Moiry.

Corbett zakończył przedstawieniem zebranych nowego naczelnego kierownika działu sprzedaży w osobie Johna Stonehouse (brawa), oraz powitał w rodzinie firmowej uroczą panią Stonehouse (mocniejsze brawa). Tu Corbett pochylił się ku swojej sasiadce i pocałował ją w policzek (huragan braw). Moira podniosła się z miejsca.

MIESZANE MAŁŻEŃSTWA

— Mammy, co to jest mieszane małżeństwo?

Mamusia zmieszala się. Tatuś uśmiechnął się pod golonym wąsem, lecz wymowne spojrzenie magnifiki wstrzymało światło wyjaśnienia ojcowskie.

— A jeżeli Rockersówna wyjdzie za Modsa...

To kłopotliwe pytanie nie wymagało już odpowiedzi, bo synalek dojrzał coś ciekawszego przez okno i znikł jak miłość od pierwszego wejrzenia.

— Tyś już chciał palnąć coś niepotrzebnego, zamiast pouczyć dziecko.

— To jakiś idiota wymyślił nazwę „mieszane małżeństwo”. Oczywiście każde małżeństwo jest mieszane z natury rzeczy.

Jako przygodny świadek tej małżeńskiej rozmówki nie przeczuwałem, że sprawi mi tyle kłopotu.

— To są skutki — wyjaśniła pani domu — gdy tego rodzaju tematy omawia się przy dzieciach. Na wczorajszej party poruszaliśmy ten pro-

(Dokończenie ze str. 39)

— Niedobrze ci? — troskliwie spytał Edward, również powstając z fotela.

— Okropnie tu duszno — odpowiedziała, odtrącając jego rękę.

Lacklandowie wracali do domu w milczeniu. Dopiero w połowie drogi Jim odezwał się:

— Właściwie w tego rodzaju sytuacji mianowanie Stonehouse'a jest dla nas pewnego rodzaju sukcesem. Corbett sam przyznał, że nie może awansować Edwarda z pominięciem mojej osoby. A Stonehouse jest podobno doskonałym fachowcem — i jest grubo ode mnie starszy.

Moira spojrzała na męża i zaczęła się śmiać. Początkowo śmiech ograniczał się tylko do wygięcia warg, ale nagle ogarnął ją niepowstrzymanie, dygocząca, ze łzami płynącymi z oczu, z trudem starająca się złapać oddech między spazmami chichotów.

— Może się zatrzymać, Moira? Nie bierz tego tak do serca — zaniepokoił Jim atakiem histerycznym żony.

Zaprzeczyła ruchem głowy, odrzuconej w tył na oparciu.

— Nie, już wszystko dobrze — wydyszała bezsilnie, ocierając oczy chustką. — Ja się tylko tak cieszę z naszego sukcesu.

Wojciech Stefański

blem. To bardzo fascynujący temat. Czy Polka, gdy wychodzi za Anglika (razi mnie to wyrażenie, bo mam przeczuloną wyobraźnię wzrokową) może być szczęśliwa jak w małżeństwie z Polakiem. Panie Ziku, pan ma takie złodziejskie podejście do kobiet. Niech pan spenetruje, co panie o tym myślą. Może jakiś wywiadzik?

— Nie wymagaj od kawalera, by był ekspertem w małżeńskich sprawach. Zawodowiec jest zawsze lepszy od amatora.

Pomyłka. Właśnie, jako uparty kawaler, jako człowiek co całe życie spożywał à la carte, nigdy menu, znałem więcej kulis małżeńskich. Po godzinie intymnej pogawędki panie były skłonne do takich zwierzeń, jakimi nie darzyły długoletniej przyjaciółki. Więc zakasałem mentalne rękawy zabierając się do swego zadania zbyt optymistycznie, ufając, że uda mi się odkryć obiektywną prawdę. Nie tak dawno słyszałem relacje starszej pani przy spotkaniu z dawno, niewidziana znajomą:

— Tyle czasu moja pani! I dzieci już powydawałam. Córeczka trafiła bardzo dobrze. Złoto, nie mąż. Zapobiegliwy, uważający. Śniadanko przynosi jej do łóżeczka. Sam przyprawia, sam pozmywa. Trafiła doskonale. Ale za to mój synek fatalnie. Hrabinia, wlegetuje sobie rano w łóżku, a on nieborak musi sam przygotować śniadanie, serwować jej do legowiska i jeszcze zmywać. Biedaczek zaledwie ma czas by coś przelknąć i pedzi do biura. Fatalnie, moja pani, fatalnie.

Pomysł wywiadów wydawał się pojętny i obiecywałem sobie bogaty plon ankiety wśród naszych pań. Czekająca mnie niespodzianka. Pierwsza pani z błyskiem radości w oczach zawołała:

— To ja będę w gazecie?

Druga zajęła wręcz wrogie stanowisko:

— Nie dam się smarować do gazetach. Nie, niech mi pan nie tłumaczy, że to niby anonimowo. Jeszcze gotów pan jakiś inicjałek przesznuć. A zresztą, jak panu powiem, że mój mąż uprawia codziennie gimnastykę na werandzie, że wyszperał jakieś przedwojenne płyty z komendą „To samo z muzyką ćwiczy”, to od razu wszystkie sasiadki będą wiedziały o kogo chodzi. Jeszcze tego brakowało. Nie ma tak dobrze.

Dawniej udawało mi się przez proste pytanie dowiedzieć się szczerzej prawdy. Raz zapytałem pewną znajomą, może zbyt obcesowo:

— Dlaczego państwo właściwie nie macie dzieci?

— Bo my bardzo skromnie żyjemy. My nigdzie nie chodzimy, nikt do nas nie przychodzi...

Tym razem prosta droga zawiodła. Trzeba było chwycić się innych środków, złodziejskich, jak je nazwała inicjatorka ankiety. Chcesz się dowiedzieć co ona myśli — pytaj o innych. Pytanie wprost nie otworzy drzwiczek do szczerości, bo ona pomyśli, co ja sobie na to pomyślę, co inni na to powiedzą i mnóstwo najbardziej niespodziewanych względów zmaci obraz. Zaczęłem od niewiast osobiście nie zainteresowanych. Pewna bardzo inteligentna panina, niezaangażowana (po angielsku), bo nikt nie poprosił jej o rękę (ile skromności i umiaru w tym polskim wyrażeniu) powiedziała mi szczerze:

— Z miłością angielską zapoznałam się już we wczesnej młodości. Moim ulubionym sportem jest tenis. Nauczyłam się, że angielskie „love” znaczy „nic”, po prostu zero... Mam przyjaciółkę, która wyszła za mąż za Anglika. Uprzejmy i czuły w słowach, lecz straciła piękne imię Kryisia, którego nie umie czy nie chce wymawiać, za to ją stale darlinguje i przezywa miodem i słodkim sercem. To mi działo na nerwy.

Rozumiem ją doskonale. Sam kiedyś zerwałem z lubą, bo mimo nalegań nie przestała nazywać mnie Dziubeczkiem.

— Proszę jednak nie polegać na mojej opinii. Jestem zbyt wrażliwa. „Kocham cię” wzrusza mnie, a „Aj law ju” pobudza do wesołości.

W dalszej wędrówce rozpoznawczaj oczywiście odrzucałem problemy materialne, bo kapitał często zwycięża nawet w obcych rękach. Postanowiłem powstrzymać się od ogólnych wniosków. Nie chcę się narażać. Wystarczy zdać relacje i pozostawić innym postanowienie kropki nad i. Osobiste odczucia zależą bowiem od tego, czy kobieta chce być happy czy szczęśliwa. O ileż łatwiej jest być happy.

„Nikt mnie nie rozumie” jest doskonałym kluczem do przeróżnych fochów, grymasów, walki z logiką, niespodzianek, genialnie tworzonych komplikacji życiowych i w sposób łatwy rozgryzająca kobietę przed samą sobą. Przyjmijmy jednak ten rzadki wypadek, że kobieta naprawdę wie, czego chce. Życie ludzkie, jak pisał Maupassant, nie jest takie złe, ani tak dobre, tylko takie, ot sobie. Wielkie emocje należą do rzadkości. Pożycie składa się z drobnych, codziennych wydarzeń, które radują

lub irytują i nudzą. Jeżeli szukasz szablony, madam, wyjdź za Anglika. Wszystko będzie lawli, będziesz wiedziała kiedy wraca do domu, jak zareaguje i czego nie zauważy. Będziecie happy żyjąc tylko obok. Pewna mistrzyni kulinarna utrzymuje, że między małżeństwem angielskim a polskim jest taka różnica, jak między korn flakami a polskimi flaczkami, które według własnego smaku można przyprawić pieprzem, papryką i korzeniem. Jeżeli ci smak i gust obojętny, zrezygnuj pani z ulubionej kawusi i przejdź na kaperti. Byłe tę herbatę

serwować o ustalonej godzinie. Będziesz happy jako Mrs.

Ala kwiatów od męża nie dostaniesz. Bardzo miła Polka zameżna za Anglikiem zwierzyła mi się:

— Najbardziej gniewa mnie to, że mój mąż nie jest zazdrosny. Nic a nic. Zastanawiam się poważnie, czy dać mu słuszny powód do zazdrości. Jestem prawie zdecydowana. Panie Ziku, niech mi pan poradzi, co mam uczynić.

Z odpowiedzią zwlekam, bo ona obojętnie. To wielka odpowiedzialność.

Kazimierz Schleyen

Z NAUKI I TECHNIKI

ZASTOSOWANIE TWORZYW SZTUCZNYCH W MEDYCYNIE

Tworzywa sztuczne, pochodzenia naturalnego takie jak guma i gutaperka znalazły zastosowanie w ortopedii i protetyce dentystycznej już w zeszłym stuleciu. Szerokie zastosowanie tworzyw sztucznych rozpowszechniło się jednak w medycynie dopiero po ostatniej wojnie światowej. Stosuje się je do wyrobów leków, aparatury medycznej, oraz z coraz większym powodzeniem — w chirurgii. Polimetacrylan metylu, lub inaczej „Berspex“, stanowi szczególnie cenną zdobycz w chirurgii kostnej, gdzie jest stosowany do zastępowania ubytków kostnych. Do niedawna używane materiały, czy to pochodzenia organicznego (kości), czy też nieorganicznego (metale szlachetne), organizm znosił na ogół źle, natomiast polimetacrylan-metylu nie wywołuje ujemnych reakcji i po pewnym czasie zostaje otoczony normalną tkanką, jakkolwiek hamuje do pewnego stopnia proces krzepnięcia krwi. Brak odczynu ujemnych przy wszczepianiu pod skórę umożliwia operacje kosmetyczne, takie jak prostowanie nosów siodełkowych za pomocą odpowiednich wstawek, pokrywanie skórą zamkniętego ubytku na trepanowanej czaszce, gdzie wyciętą kość zastępuje się plastykiem.

Drugim tworzywem sztucznym, które znalazło bardzo szerokie zastosowanie w chirurgii — jest nylon. Poważną jego zaletą jest możliwość odkształcenia w temperaturze około 60 stopni Celsjusza, którą organizm ludzi znosi bez szkody. Dla przykładu podajemy: odpowiednio zgięty po ogrzaniu gwóźdź zostaje wsunięty w przewód szpikowy obu części złamanej kości, po czym prostuje się go, zestawiając tym samym kość. Po ostygnięciu gwóźdź zachowuje nowy kształt. Nylony stanowią w obecnej chwili bodajże jedyny pełnowartościowy surowiec syntetyczny do produkcji nici chirurgicznych. Należą one do grupy materiałów nie ulegających

wchłonięciu przez organizm, dzięki czemu powstały możliwości dokonywania operacji, które dotychczas nie były do pomyślenia. Z nylonu wyrabia się także specjalne siatki, zastępujące na przykład umięśnienie brzucha, taśmy do podwiązywania zerwanych przyczepów mięśni i tym podobne.

ORTOPEDIA

Szczególnie ciekawy dział zastosowania tworzyw sztucznych stanowi chirurgia stawowa. Mamy tu do czynienia z całą gamą możliwości — od pokrywania schorzałej główki stawowej, doposażoną do niej kopolastą pokrywką, poprzez całe protezy główki stawowej aż do protez całego stawu. W specjalnie ciężkich przypadkach chorobowych może zająć konieczność usunięcia na przykład stawu łokciowego i zastąpienia go sztuczną konstrukcją. Zabiegi tego rodzaju, należy podkreślić, pozwalają na zachowanie całkowitej, lub prawie całkowitej ruchliwości stawu i nie powodują skrótów członków.

SZKŁA KONTAKTOWE

W wypadkach wady wzroku stosuje się zamiast okularów starannie dopasowane do kształtu gałki ocznej tak zwane szkła kontaktowe. Zakłada się je bezpośrednio na oko, a brzegi wsuwa się pod powieki. Soczewka zajmuje tylko środkową część szkielka kontaktowego, dzięki czemu unika się zniekształceń obrazu, spowodowanych przez promienie załamujące się na brzegach soczewki okularowej, czyli tak zwanego „astygmatyzmu“. Stosunkowo niewielka soczewka wystarcza w zupełności, gdyż leciutkie szkło kontaktowe przylepione do gałki ocznej łatwo porusza się wraz z nią. Szklka kontaktowe są nie-

mal niedostrzegalne dla otoczenia, gdyż pogrubiają oko zaledwie o 1,5 do 2 milimetrów i są bardzo dogodne, zwłaszcza w warunkach, w których grozi strącenie zwykłych okularów. Pewną trudność stanowi przyzwyczajanie się do ich stałego ucisku, zresztą nawet po osiągnięciu całkowitego już przyzwyczajania nie należy ich nosić dłużej niż 18-cie godzin na dobę. Szkła te są bardzo kosztowne, trzeba je bowiem wykonywać każdorazowo według indywidualnych potrzeb.

FARMACEUTYKA

Cały szereg tworzyw sztucznych znalazł zastosowanie w przemyśle farmaceutycznym. Poli-alkohol winylowy stanowi pospolity emulgator oraz zęszczacz wielu preparatów farmaceutycznych. Pewne związki wielkocząsteczkowe służą do wyrobu otoczek na pigułkach. Otoczki te, rozpuszczając się powoli, chronią leki wrażliwe na kwasy żołądkowe przed przedwczesnym rozkładem i pozwalają na ich przenikanie do dalszych części układu trawiennego. Niektóre związki, a przede wszystkim polialkohol winylowy stanowią częsty składnik kremów kosmetycznych. Kremy na oleju silikonowym bardzo dobrze chronią przed działaniem wodnych roztworów substancji żrących i są jednym z najlepszych środków leczących stany zapalne skóry. Od ostatniej wojny daje się wykorzystanie polichloru winylu i niektórych innych żywic do celów opatrunkowych. Obecnie opracowano metodę produkcji płynnego bandaża, dziesięciokrotnie skracającego czas opatrunku. Jest to roztwór bądź żywicy wwilowej, bądź polimetacrylanu-butylu w odpowiednim rozpuszczalniku, którym natryskuje się ranę. Po wyparowaniu rozpuszczalnika pozostaje elastyczna, przezroczysta błona, fizjologicznie obojętna, przepuszczalna dla pary wodnej, lecz nieprzepuszczalna dla płynów tkankowych, ani nawet dla wody. Opatrunki unieruchamiające z pianek są o wiele lżejsze od opatrunków gipsowych lub szyn i zupełnie nie utrudniają prześwietleń rentgenowskich.

W budowie aparatów ortopedycznych w coraz większym stopniu znajdują zastosowanie lekkie tworzywa, takie jak polietylen i polichlorek winylu, które wypierają dotychczas stosowane materiały: drzewo, metal i gumę. Tworzywa sztuczne mają jeszcze tę zaletę, że ostateczne dopasowanie aparatu może być dokonane bezpośrednio na pacjencie przez ogrzanie protezy do temperatury 60 stopni Celsjusza za pomocą lampy podczerwonej.

Bardzo, poważną rolę odgrywają tworzywa sztuczne w produkcji przyborów i aparatów medycznych. Strzykawkę z polistyrenu, które wyrzuca się po zrobieniu zastrzyku, zapobiegają infekcji

przez eliminację powtórnej sterylizacji za pomocą gotowania. Sztuczne płuca, aparat ratujący życie dotkniętych paraliżem płuc ofiar polio, w pierwszym wykonaniu ważyły 200-cie do 300-tu kilogramów. Obecnie jego korpus waży tylko dwa do trzech kilogramów, a pompa 15 kilogramów.

Ponieważ doświadczenia kontrolne nad wszczepianiem płynów tworzyw sztucznych (podobnie jak i innych substancji) zwierzętom wywołuje najczęs-

ciej, choć niejednokrotnie dopiero po dłuższym czasie, rozmaite niepożądane objawy, poddaje się w wątpliwość czy ich stosowanie jest bezpieczne u ludzi. Wprawdzie reakcji ujemnych obserwuje się wśród ludzi bardzo mało, jest jednak możliwość, że tworzywa mogą spowodować reakcje niepożądane, które objawią się dopiero po kilku czy nawet po kilkunastu latach.

W. Le wando wski

Gawędy lekarskie

ZAPALENIE STAWÓW

ZAPALENIE stawów jest chorobą o ostrym przebiegu i bardzo bolesną. Towarzyszą jej charakterystyczne objawy: wysoka gorączka, opuchnięte i obolałe stawy, a jako częsty skutek — skłonność do komplikacji sercowych. Przyczyną zapalenia stawów jest prawdopodobnie zarazek infekcji gardłanych, lub też zarazek pochodzący z jelit, który dostawszy się do krwiobiegu, dochodzi do serca, stawów i opon mózgowych. Inne przyczyny — natury zewnętrznej — także odgrywają pewną rolę, jak na przykład skłonność rodzinna. Choroba występuje często w jednej rodzinie. Wiek i płeć mają także znaczenie. Dzieci oraz młodzież posiadają większe skłonności do zapadania na zapalenie stawów niż dorośli, a w dodatku można stwierdzić, iż dziewczęta chorzeją raczej w wieku dziecięcym, podczas gdy chłopcy w późniejszej młodości. Czynniki społeczne też muszą być brane pod uwagę w poszukiwaniach przyczyn choroby: przeludnienie mieszkań, wilgotne pomieszczenia, nieodpowiednie pożywienie (szczególnie gdy brak jest w nim wystarczającej ilości witaminy C, która znajduje się w obfitych ilościach w cytrynach, pomarańczach i czarnych porzeczkach) — z czego wniosek, że przypadki zapalenia stawów spotykamy najczęściej w biedniejszych klasach społecznych, lub też w warunkach wojennych. Warunki klimatyczne także mają prawdopodobnie swój wpływ. Statystyka wykazała, że w W. Brytanii najczęstszym okresem zachorzeń na zapalenie stawów jest jesień oraz wiosna, a jeśli chodzi o dzieci, to ilość zachorzeń wzrasta proporcjonalnie do ilości zanotowanych opadów deszczowych.

W przeciwieństwie do szeregu innych chorób, osoby, które raz już przeszły zapalenie stawów mają niestety większe szanse stania się powtórnie ofiarą choroby od ludzi, którzy jej jeszcze nigdy nie przechodzili. Stwierdzono też, że epidemia zapalenia migdałków często poprzedza epidemię zapalenia stawów.

W 90% przypadków — zapalenie sta-

wów atakuje dzieci poniżej lat 15. We wczesnym wieku dziecięcym początek choroby jest często powolny i niewyraźny. Wiele dzieci zapada na tzw. nieostre zapalenie stawów, które w języku potocznym nazywamy chętnie „bólami połączonymi z procesem rośnięcia“ — po angielsku znane jako wyrażenie „growing pains“. Jest to rodzaj bólu, który napływa i odpływa, umiejscawiając się przeważnie w kończynach i w plecach. Niektórzy mały pacjenci skarżą się też na bóle w jamie brzusznej. Jeżeli natomiast chory jest człowiekiem dorosłym, skarży się często lekarzowi, że od 10 do 28 dni przed tym czuł się źle, cierpiał na ból gardła i nieokreślone bóle kończyn. Z kolei mogli odczuwać ostry ból w jednym lub kilku stawach, a także i w klatce piersiowej.

Poza wyżej opisanymi, znajdujemy następujące objawy: u chorego na zapalenie stawów twarz jest blada, pacjent poci się, a pot jego wydaje ostry zapach, migdałki są często niezdrowe i powiększone. Nierzadko też jama ustna pacjenta pozostawia wiele do życzenia: zęby są popsute.

Stawy zaatakowane chorobą są z reguły stawami dużymi — kolana, łokcie, czy ramiona. Same stawy nie zawsze są opuchnięte. Mogą wyglądać zupełnie normalnie, tak jak i skóra wkoło nich. Pomimo choroby nie jest zaczerwieniona i posiada wygląd skóry zdrowej. Zaatakowany staw boli jednak przy dotyku, a gdy lekarz próbuje staw lekko poruszyć — wywołuje tym ruchem bardzo silną reakcję bólową. Zmiany w stawach mogą przenosić się szybko z jednego stawu na drugi: po prostu stan jednego stawu poprawia się, podczas gdy drugi zaczyna boleć. U dzieci zdarza się czasami zaatakowanie tylko jednego stawu.

Przy zapaleniu stawów gorączka trzyma się w granicach powyżej 37.8 stopni Celsjusza i skacze wyżej, gdy następny staw zaczyna dawać znać o sobie.

Zapalenie mięśnia sercowego towarzyszy prawie każdemu poważniejszemu przypadkowi zapalenia stawów. U

dzieci możemy nieraz wyczuć podskórne zgrubienia, które związane są z zapaleniem mięśnia sercowego. Najczęściej zgrubienia znajdujemy na kolanach, łokciach, głowie, rękach i plecach. Zgrubienia te formują się i znikają stosunkowo szybko.

Zapalenie stawów należy odróżnić od innych schorzeń stawowych, jak na przykład rozmaite formy artretyzmu, a u dzieci od zapalenia kości i polio — a także od bólów w jamie brzusznej i wymiotów, które trudno jest rozróżnić, gdyż mogą być objawami zapalenia stawowego, albo ataku ślepej kiszki.

Przebieg choroby oraz komplikacje z nią związane:

Przebieg choroby jest przeważnie skrącany z powodzeniem poprzez aplikowanie choremu dużych dawek salicylu. Pod wpływem kuracji salicylowej gorączka spada już po tygodniu lub 10 dniach. Pozostaje jednak zawsze obawa o stan serca. Jako rezultat choroby, serce pacjenta może być powiększone, a przy osłuchiwaniu słyszymy w nim rozmaite szmery. W niektórych przypadkach może nastąpić także zapalenie osierdzia. Innymi komplikacjami jest zapalenie płuc, oraz „taniec św. Wita“. Czasami serce może zostać uszkodzone na stałe, najczęściej przez niedomykanie się jednej z zastawek sercowych.

Mimo tych niebezpieczeństw, zapalenie stawów rzadko bywa chorobą śmiertelną. W ostatnich latach zauważono w Anglii, że ma ono coraz to łagodniejszy przebieg. Jeśli nawet jakaś komplikacja sercowa miała miejsce, to przy dzisiejszych środkach jakimi dysponuje medycyna, chory może żyć normalnie i to do późnego wieku. Zaznaczyć także wypada, że nie wszystkie zapalenia stawów pociągają za sobą automatycznie niedomogi sercowe.

Poza dawkowaniem salicylu, o którym mówiliśmy wyżej, stosuje się penicylinę, i to w bardzo dużych dawkach. W czasie przebiegu choroby pacjent musi przebywać bezwzględnie w łóżku, w pozycji leżącej, a nie siedzącej, aż do chwili, kiedy od co najmniej trzech tygodni był bez gorączki. Po tym okresie bardzo powoli i ostrożnie, może zacząć zmieniać pozycję. Jeżeli pacjent cierpiał na powiększenie serca, musi pozostawać w łóżku co najmniej przez trzy miesiące.

Ażeby zapobiec możliwości zapalenia stawów należy stosować penicylinę na wszystkie formy zapalenia migdałków. Niezdrowe migdałki winny być usunięte. W wypadku dzieci, które już przeszły zapalenie stawów, należy stosować środki sulfamidowe przez okres następnych pięciu lat, podczas których dziecko musi być pod stałą opieką lekarską.

Dr Michał

NAGRODA TEATRALNA: Były czasy, kiedy święta, zwłaszcza Bożego Narodzenia były festiwałem teatralnym, zamierzonym lub tylko przypadkowym. Tym razem ograniczyła się świąteczna obecność teatru do występów „Tanga“ Sławomira Mrożka. Ale towarzyszyło temu echo poprzedniej sztuki, w postaci przyznania w dniu sylwestrowym zeszłorocznej nagrody teatralnej „Dziennika Polskiego“ zespołowi, który grał sztukę Jerome Kilty'ego „Kochany Kłamec“. Jako nagrodzonych wymienia się reżysera Leopolda Kielanowskiego i wykonawców Irenę Korę-Brzezińską i Adolfa Bożyńskiego. Do listy zasługujących na wyróżnienie wypadałoby dołączyć również zasłużonych — poza autorem — tłumacza J. Sakowskiego i dekoratora Tadeusza Orłowicza.

W jury zasiadali Wacław Grubiński, S. Baliński, R. Kiersnowski, i W. Wohnot. Nagroda w sumie 100 gwinei — ufundowana była bezimiennie i została rozdzielona między nagrodzonych. Nagroda ta nabiera dodatkowego znaczenia, mianowicie nagrody na wznowienie działalności scenicznej, za przywrócenie teatru emigracji skupionej w Londynie. Trudno wymagać, aby odznaczeni, szanując wolę fundatora, wyrażoną przez jury, przeznaczyli uzyskane pieniądze na pilne potrzeby bieżące emigracyjnego życia teatralnego. Niemniej — przy tej sposobności — może byłoby dobrze przypomnieć wszystkim dobrej woli miłośnikom teatru, że takie potrzeby istnieją. Ocenę, które są najpilniejsze, najlepiej pozostawić czynnikiem, jakim w tej mierze są władze ZASP. Dla przykładu wymienić wypada: Studium Teatralne, Akcja Wydawnicza itp.

FESTIWAL PLASTYCZNY: Gdy w Burlington House odbywała się wystawa dorobku Piotra Bonnard'a (1867-1947), w Tate Gallery urządzono specjalny pokaz dzieł Pawła Gauguin'a (1848-1903), przed i po świętach trwał w galeriach polskich i nie-polskich niezwykle ożywiony festiwal plastyki polskiej. Dzieląc wystawy na zbiorowe i indywidualne i dając pierwszym — pierwszeństwo, postaramy się przedstawić jak najwięcej ich bogactwo, spełniając tym samym zapowiedź daną w poprzedniej kronice.

Wystawa w Domu Techników

W sali Domu Techników, w trakcie włączania się do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, Zrzeszenie Polskich Artystów Plastyków w W. Brytanii urządziło wystawę 20 swych członków. W założeniu była to wystawa rysunków i grafiki, nie mniej talenty i gatunki artystyczne

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

nie daje się włożyć w sztywne ramy klasyfikacyjne i dlatego nie brakuje prac z pogranicza zwykłego malarstwa: M. Michałowskiej, H. Sukiennickiej, T. Ilnickiego, R. Blacka, czy H. Nałęcz. W nowym świetle przedstawili się artyści tacy, jak J. Baranowska, M. Bohusz-Szyszko, A. Werner czy M. Sawicka. Obok nich wystąpili W. Schejbal, H. Śliwińska, H. Wawrzkiwicz, S. Witorzeńcowa, D. Głuchowska i J. Jakubowska. Wystawę otwierał amb. E. Raczynski po zagajeniu przez prof. R. Wajdę, prezesa P.O.S.K. W przedstonku była rzeźba orła T. Zielińskiego.

Studium malarstwa stalugowego

Obficie obesłaną wystawą zbiorową był 14 z rzędu, do rytuału emigracyjnego należący doroczny pokaz prac uczniów Studium Malarstwa Stalugowego Społeczności Akademickiej USB. Do indywidualności o bardziej wyrobionym obliczu osobistym zaliczyć by wypadało Z. Kobyłańską, K. Kalińską-Kozerską, R. Krajewskiego, a z nie-Polaków B. Lloyd-Jones'a, a nadto były tam prace Z. Łubieńskiego-Wentwortha, A. Przyłęckiej i dalszej plejady, o mniej skryzalizowanym obliczu. Wśród nich pierwsze swe kroki stawia młodzieńki Olek Sierz. Po zagajeniu kierownika Studium M. Bohusza-Szyszko, rzeczowym przemówieniem o charakterze nauki otrzymywanej w szkole wystawę otworzył p. Rex Stevens.

W Cassell Gallery i w innych

Wyraźnie już pod znakiem gwiazdki stała wystawa w Cassell Gallery, gdzie pokazano ponad 70 obrazów w różnych technikach 34 malarzy, przeważnie polskich, m.in. Z. Turkiewicza, A. Dzierżyńskiego, Niemczyca i Lahura z Polski. Podobny charakter, ale na gruncie nie-polskim, miała 12 doroczna wystawa Grupy Wolnych Malarzy i Rzeźbiarzy w Galerii Federacji Brytyjskich Artystów. Wśród wielu malarzy różnych narodowości z Polaków uczestniczyli: H. Nałęcz, T. Znicz-Muszyński, O. Karczewska, D. Głuchowska,

każde z nich dając po kilka prac. Z nadchodzącymi świętami związana była też wystawa zbiorowa w Barrett Gallery, na którą złożyło się 45 prac utrzymanych na różnych poziomach artystycznych. Obok dzieł Bohusza-Szyszki, J. Piwowara, który dał też swe ceramiki, były grafiki J.E. Małkowskiej, studia I. Czarnockiej, K. Borchardtowej, H. Waszczukowej, B. Zielińskiej, L. Dygata, B. Gorgolewskiego, I. Jakubowskiej, I. Paluchowej i B. Śliwińskiej oraz ciekawe rzeźby T. Zielińskiego.

WYSTAWY INDYWIDUALNE: W

Cassell Gallery rzadkim pokazem była wystawa rzeźb Ryszarda Borsy z Warszawy. Poświęcone one były tematyce religijnej. Jedną czwartą wykonano w czarnym dębie, a resztę w glinie wypalanej. Oprócz świątków o charakterze rzeźby ludowej artysta wystawił grafiki abstrakcyjne. Zgodnie z zapowiedzią, w styczniu otwarta została nowa wystawa prac Zygmunta Turkiewicza w tej galerii. Można na niej rzeczywiście podziwiać niezwykle wzbogacenie i pogłębienie artyzmu tego plastyka w zakresie kompozycji „ściennej“ wykonanych w oryginalnie rozwiniętej przez Turkiewicza technice, i o niezwyklej trwałości. Jest to rodzaj mikroplastyki rozwiniętej do dowolnych rozmiarów i dolnej wyrażać olbrzymią gamę wrażeń metafizycznych, jak można sądzić z nazw nadanych przez twórcę, poszczególnym dziełom. Pragnęłoby się posiadać choć ułamek takiej barwnej, a głęboko stosowanej płaskorzeźby abstrakcyjnej, ale jest to pragnienie nieziszczalne, gdyż są one zrobione techniką nieziszczalną. (Nic się nie da odłamać). Makrokompozycje robione dla nabrania oddechu po snycerskiej robocie nie dorównują jednak — tak się wydaje — swym mikrokonkurentom.

Związły, a doskonale skomponowany katalog do tej wystawy jest małą monografią o Turkiewiczu, zawierającą mnóstwo danych rzeczowych, biograficznych i krytyczno-artystycznych. Słusznie podkreślony jest związek obecnej twórczości artysty z jego wędrówkami wojennymi po krajach starej cywilizacji. Wskazanie w szerszym zakresie na wkład tej wędrówki do współczesnej kultury polskiej byłby tematem godnym głębszych badań z zakresu historii literatury i sztuki. Drobne nieścisłości wkraady się do katalogu. Daty recenzji z 2 lutego i 18 maja w „O.B.“ odnoszą się do r. 1963, a nie 1952. Znaczenie jakie artysta przypisuje tym recenzjom jest cennym dowodem możliwości współpracy między twórczością i krytyką.

Szczególny wdzięk wyszukanej kromności cechował pokaz Danuty

Gierczukiewicz w sali Zjednoczenia Polek, otwartej przez p. Marylenę Zamoyńską, w zastępstwie swej matki Elżbiety Zamoyńskiej. Zebrana tam została trzydziestka obrazów o niezwykle jednolitym charakterze. Były to wariacje na tematy pejzaży leśnych, od których odbijało tylko kilka kompozycji bądź figuralnych, bądź okolicznościowych, dla których natchnieniem były widoki z Palestyny, Polski czy Anglii.

Zupełnie odrębny charakter, raczej dokumentarny, niż czysto artystyczny miała wystawa Stefana Kleczkowskiego, dziennikarza i rysownika w jednej osobie, urządzona w Polskiej YMCA, a otwarta przez amb. E. Raczynskiego. Wprowadzenie wygłosił p. Z. Stermiński. Wśród półtorej setki prac można było wyłowić cały szereg fragmentów architektonicznych lub krajobrazów o świeżym ujęciu rysunkowym. Obok nich były liczne szkice portretowe, mniej lub bardziej szczęśliwie oddające podobieństwo modeli. Ich szczególnie znaczenie upatrywać wypada raczej w związku z wydarzeniami politycznymi lub wojennymi, które dały impuls do ich wykonania.

Bezpretensjonalny charakter miała wystawa w Doctor's Restaurant, poświęcona pracom utalentowanej dyplomantki Studium Malarstwa Stalugowego, Ireny Paluchowej, o odważnym pociągnięciu pędzla i szarmonizowanej, niskiej tonacji. Jednocześnie wystawiał własnymi drogami kroczący Bronisław Jarosz (ur. 1911), Lwowianin, samouk i amator, niemniej znajdujący wzięcie na wystawach międzynarodowych lub lokalnych. Tematyka jego waha się od odważnie kładzionych szpachlą barwnych kwiatów, do misternie ujętych pejzaży marynistycznych, w których wykazuje więcej oryginalności.

Dwie zasłużone galerie polskie Grabowskiego i Drian udzielały ostatnio gościny obcym artystom. U Grabowskiego można było oglądać prace młodych: Tom Hudsona (ur. 1922), który uprawia kompozycje przestrzenne o powinowactwach architektonicznych i Terry Setcha (ur. 1936) wyrabiającego sobie styl malarstwa ściennego, o wielokrotnie powtarzanych jednorodnych motywach i budującego abstrakty z różnorodnego materiału. W Drian Gallery wystawiał John Polling, młody proboszcz, uprawiający figuralny ekspresjonizm oraz John Tobbin, wystawiający wizyjne kompozycje. Prace Peter Barreta natchnione były greckim pejzażem. Oprócz jego „collages“ były tam prace A. Hansela oraz mo-

zajki Jeanné Mart'n i monumentalne rzeźby Paul Mounta. Z dawnych kolekcji oglądać było można rzeźby z aluminium W.G. Kawalca i Słockiego. Obrazy A. Kuhna wystawione były w Centaur Gallery u O. Wleczki na Portobello.

ECHA Z PROWINCJI: Właśnie w Nottingham w gmachu teatru wystawiał W.G. Kawalec swe rzeźby o charakterze oderwanym, a osnute na przeżyciach wewnętrznych. W Leek w ramach wystawy ruchomej Victoria and Albert Museum pokazano 40 prac 20 najlepszych grafików z Polski, jak T. Giełnaka, L. Mianowskiego, J. Ranecka, S. Dawskiego, M. Manny, A. Rudzińskiego, H. Carostowskiej, M. Hiszpańskiej, T. Jackowskiego, M. Majewskiego, B. Narębskiej-Dębskiej, A. Piet-scha, E. Piotrowicza, L. Rózgi, E. Siwińskiej, K. Szrednickiego, S. Suberlaka, J. Tarasina, S. Wójtowicza i M. Wejmana. Obejmują oni bardzo szeroką wachlarz technik graficznych i ujęć kompozycyjnych, od figuralnych do na wskroś abstrakcyjnych. Tu przynajmniej można się otrząsać z ich nazwiskami. Zresztą coraz częściej mamy sposobność zetknąć się z malarstwem z Kraju, m.in. dzięki galerii w Doctor's Restaurant, gdzie ostatnio poza dwoma Anglikami D. Andrews i M.O.B. Hall pokazano nam prace O. Niedziałkowskiego, K. Wejmana i D. Boguszewskiej-Chlebowskiej, urzędzonej motywyem ostu. Ruchliwe te wystawy wykazują się dużym odsetkiem sprzedanych eksponatów.

PRZEMYSŁ I SZTUKA: Polscy artyści przenikają nie tylko do galerii czy prywatnych kolekcji angielskich, ale również coraz częściej do architektury przemysłowej. Świetny grafik A. Werner wykonał w budynku reprezentacyjnym jednej z firm w Londynie (C.A.V.) na Acton'e, wykonującej przybory do silników Diesla, metalową płaskorzeźbę o motywach abstrakcyjnych, która spotkała się z dużym uznaniem fundatorów. W hallu innej firmy (Mullard) w Londynie, tym razem elektronicznej, A. Bobrowski wykonał kompozycję przestrzenną, symbolizującą „Jądro atomowe“. Została ona wykonana w metalu i umieszczona na obrotowym postumencie, a podczas obracania się oświetla się ją zmiennymi światłami kolorowymi przy dźwiękach muzyki elektronicznej. Otoczenie architektoniczne rzeźby jest projektu znowuż innego polskiego artysty, Jana Jedwabia. Wśród artystów zdobiących ten hall wspomnieć należy nazwisko Stanisława Niczewskiego, autora imponującego „panelu“ trawionego w aluminium, obok tak wybitnej rzeźbiarki angielskiej jak Barbara Hepworth.

MUZYKA I MILLENNIUM: W świecie muzyki z dnia bieżącego na zano-towanie zasługują sukcesy pieśniarki Renaty Bogdańskiej, odniesione w Paryżu podczas występów w „Klubie Weroniki“.

W kościele w Twickenham odbył się koncert kompozytorski Andrzeja Panufnika, na którym z dużym powodzeniem wykonano kilka jego utworów instrumentalnych i wokalnych, którymi sam dyrygował. W zakresie mniejszych form muzycznych rozpoczęły się koncerty kolęd, m.in. Chóru im. Chopina pod dyr. R. Nawrota z udziałem sopranu Jadwigi Hryniewicz, której akompaniowała p. Zofia Coughlan. Z Paryża przybyła do Londynu dla nagrywania płyt pieśniarka rad'a francuskiego Krystyna Paczewska. Swe systematyczne wieczory urządza Klub Piosenek RWE u Lotników. W jednym z nich brała udział R. Bogdańska obok Kaliny Włodarczyk i Z. Pomorskiego. Ogłoszony ostatnio w prasie przegląd udziału polskiej muzyki i polskich artystów muzyków w audycjach radia brytyjskiego wykazuje bogactwo nadawanego repertuaru muzyki klasycznej i współczesnej, kompozytorów krajowych, jak W. Lutosławski, Grażyna Bacewicz, uderza natomiast brak A. Panufnika, spośród kompozytorów emigracyjnych, choć przebywa on od kilku lat w Anglii. Lista solistów instrumentalistów, czy wokalistów m.in. obejmuje W. Niemczyka i N. Karpową, A. Orde i A. Czajkowskiego. Na koniec stycznia przypadł koncert Henryka Mierowskiego w Wigmore Hall. Program obejmował: fantazję i fugę Bacha, sonatę i 24 Preludia Chopina.

Z bardzo ambitną iniejącą wystąpiła znowu prof. S. Niekraszowa projektując ufundowanie na Millennium 3 pomników Chopina: w Londynie, Szkocji i Stanach Zjednoczonych. W związku z tym przygotowywany jest na 20 lutego br. koncert w sali londyńskiego Guildhall'u, gdzie Chopin grał w 1848 r. Grać ma lauretka ostatniego międzynarodowego konkursu szopenowskiego w Warszawie, Argentynka Marta Argerich. Dochód z tego koncertu byłby zapoczątkowaniem funduszu pomnikowego.

SATYRA I FOTOGRAFIKA: Dopie-nieniem ruchu plastycznego była otwarta ostatnio w sali YMCA XVI Doroczna wystawa Stowarzyszenia Fotografików Polskich. Złożyło się na nią ok. 150 eksponatów fotografii czarno-białej, kolorowej (po raz pierwszy tak licznie reprezentowanej na równi z czarno-białą) i kolorowych przeźro-czy, mających już swój status artystyczny. Są to prace 20-kilku artystów-fotografików. Jak zawsze dotychczas,

zwłaszcza pod względem technicznym, wystawa stoi na b. wysokim poziomie. Natomiast, jest sprawą wątpliwa, czy prace kolorowe osiągnęły już poziom artystyczny, tak jak czarno-białe. Nie mogąc w krótkiej notatce wchodzić w szczegóły, wypada powiedzieć, że obok prac bardzo dojrzałych natrafic tam można na rzeczy niewątpliwie nowe i zaskakujące, ale o wątpliwym walorze artystycznym, jak kwasi-rysunki zwierząt W. Marynowicza, które bardziej wyglądają na igraszkę arcymistrza, niż jego nowe osiągnięcia artystyczne. Po zagajeniu p. W. Rago w imieniu gospodarzy i powitaniu przedstawicieli angielskich klubów fotograficznych Marian Hemar otworzył wystawę przemówieniem, w którym zestawiał ze sobą satyrę poetycką i fotografię, jako dwa rodzaje sztuk, którym przez fałszywe postawienie sprawy odmawia się niekiedy artyzmu. W imieniu Stowarzyszenia p. E. Kokosiński podziękował przedmówcy wierszowanym pastichem poezji Hemara i ogłoszeniem przyznania tegorocznej nagrody im. A. Arway'a W. Marynowiczowi. W poprzednim roku otrzymał ją jako pierwszy E. Baziuk. Kilku słowami p. Jerzego Lewńskiego pod adresem gości angielskich zamknięta została część oficjalna otwarcia, po której nastąpiła część towarzyska z poczęstunkiem.

PAMIĘCI J. BIELATOWICZA: W celu uczczenia pamięci Jana Bielatowicza Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził w sali „Ogniska Polskiego“ wieczór poświęcony jego twórczości. Obecna była wdowa po zmarłym pisarzu i liczni słuchacze. Przewodniczył p.o. przew. Związku gen. Z. Szyszko-Bohusz, który scharakteryzował sylwetkę Bielatowicza, jako „prawego człowieka, dzielnego żołnierza, wyróżniającego się pisarza, krytyka literackiego i publicystę“. Gen. S. Kopañski mówił następnie o jego pismach poświęconych wojsku i historii wojska, przytaczając dłuższe wyjątki. A. Dargas mówił o nim, jako publicyście, w oparciu o jego szkic poświęcony R. Dmowskiemu. Prof. J. Bujnowski podniósł jego zasługi w zakresie poezji i krytyki, a prof. Pierkiewicz mówił z głębokim przejęciem o jego „dojrzałości wobec śmierci“ w ostatnich utworach poetyckich, nawiązując do poezji Rylkego. Art. dram. B. Urbanowicz odczytał urywki z „Wspomnień Starego Kaprala“ i „Książeczki“, p. O. Żeromska z „Pascegiaty“ i „Wyspę Syren“ poświęconą żonie przez autora, wreszcie na końcu wysłuchano z taśmy przemówienia wygłoszonego przez Bielatowicza podczas „Apelu Pisarzy 2. Korpusu“.

J. Ostrowski

w tym przypomnieniu. Czekał jednak ze swym wystąpieniem na wyraźne dyrektywy Moskwy. Wszystko wskazuje na to, że przywiózł je Zenon Kliszko, który w połowie grudnia ub. roku odbył nagłą podróż do Moskwy. Dopiero po jego powrocie PAX wydaje, w dniu 28 grudnia ub. roku swoje sążniste oświadczenie:

„*Mamy zastrzeżenia — czytamy w nim — co do niektórych opinii o historii i kulturze polskiej wypowiedzianych przez biskupów w orędziu. Nie one jednak zmuszają nas do zgłoszenia natychmiastowego („natychmiastowego“, t. j. po upływie równo 40 dni — przyp. mój St. P.) sprzeciwu. Biskupi polscy w komunikacie z dnia 15 grudnia br. stwierdzili, że wielokrotnie dawali wyraz, iż stoją na stanowisku nienaruszalności zachodnich granic Polski. Choć więc orędzie zawiera określenie „poczdamskie tereny zachodnie — to należy powiedzieć, że nie chodzi nam także o stanowisko w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Chodzi o miejsce Polski w świecie“.*

Otóż to właśnie — chodzi o miejsce Polski w Europie i w świecie. Zgodnie z tezą sowieckiego imperializmu, PAX stwierdza, że „o pozycji Polski we współczesnym świecie decyduje znaczenie ludowego państwa polskiego w ideowo-politycznej wspólnotcie krajów socjalistycznych“. Zgodnie z wolą całego naszego narodu, Kościół polski tę tezę odrzuca. Oto jest stawka, o którą dzisiaj toczy się walka w Kraju.

Ta walka wciąż się zaostrza. Wyrażnie wynika to z przebiegu plenarnej sesji tzw. „Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu“, która się odbyła w dniu 14 ub. miesiąca.

O przebiegu wspomnianej sesji „dowiedzieliśmy się“ już nazajutrz z korespondencji specjalnego wysłannika paryskiego dziennika „Le Monde“.

„Le Monde“ uchodzi prawie powszechnie za pismo bardzo poważne. Niedawno przeprowadzona ankieta w 26 instytucjach prasoznawczych w Stanach Zjednoczonych wykazała, że zajmuje on szóste miejsce na liście dziesięciu najlepszych pism codziennych świata. Oddziaływanie jego na opinię publiczną nie można lekceważyć. Zwłaszcza, że chodzi o oddziaływanie stałe, dobrze wymierzone, zawsze zmierzające do jednego celu, określanego już w 1945 roku jednym krótkim zdaniem: „l'heure slave a sonn  au cadran de l'histoire“ (godzina słowiańska wybiła na zegarze historii). „Słowiańska“ — to znaczy sowiecka. Każdemu radzę przeczytać książkę Jana Madirana, dyrektora fran-

cuskiego miesięcznika katolickiego „Itin raires“, pt. „Ils ne savent pas ce qu'ils font“ (Oni nie wiedzą, co czynią). Choć wydana przed dziesięciu laty, nie a nie straciła ze swej aktualności. Z niej można się wiele dowiedzieć o metodach i zasięgu oddziaływania paryskiego „Le Mondu“, często bezkrytycznie cytowanego przez polską prasę niepodległościową.

Specjalny wysłannik tego właśnie pisma barwnie i obszernie opisywał „niespodziewaną“ replikę Gomułki na wywody Jerzego Turowicza, redaktora krakowskiego „Tygodnika Powszechnego“ i przedstawiciela ZNAK'u, poświęcone orędziu polskich biskupów. „Ku ogólnemu zdumieniu — zapewniał francuski dziennikarz — Gomułka odpowiedział na przemówienie Turowicza, choć dotychczas wzbierał się przed zajęciem stanowiska w tej sprawie“. Gomułka swego przemówienia nie czytał, jak to czyni zazwyczaj, lecz „wyjątkowo długo improwizował“. Przemawiał przy tym „z pasją, ze wzruszeniem, szczerze i z przekonaniem“. Wymachując „Historię Polski“ Oskara Haleckiego i przypominając, że autor książki jest emigrantem zamieszkałym w Stanach Zjednoczonych, Gomułka wołał:

„*W tej książce, wydanej w 1958 roku (Halecki) pisze: „Wszystkie narody ujarzmione przez Związek Sowiecki w 1945 zostaną uwolnione przed milenium Polski. Jak? Dzięki kataklizmowi wojny światowej“.*

I ten właśnie Halecki, wykrzykiwał Gomułka, stał się doradcą Prymasa, a jego książkę polscy biskupi ofiarowali episkopatowi niemieckiemu. Jeśli więc Prymasowi odmówiono paszportu, to tylko dlatego, by w Rzymie nie mógł się spotkać ze swym nauczycielem — prof. Haleckim.

Tyle specjalny wysłannik paryskiego pisma. Ale „Le Monde“ nie poprzestał na tym. W swym artykule wstępnym w tym samym numerze, omawia tę sprawę grantownie. Nawołuje socjalizm i katolicyzm w Polsce do pokojowej koegzystencji, przypomina, że układ z końca 1956 r. między rządem i episkopatem był dobrym „modus vivendi“, że układ ten jednak „był często gwałcony obustronnie“. Artykuł wstępny kończy się wprawdzie zdaniem pytającym, ale wyrażającym nadzieję, że przemówienie Gomułki nie pogłębi kryzysu, lecz oczyści atmosferę i że z głębi dramatu wyjrzy nareszcie światło. Przedtem jednak autor artykułu zapytał Prymasa: „Czy nie mógłby się odciąć od tych, którzy przebywając za granicą, głoszą

hasła wyzwolenia Polski powołując się niestuszenie czy słusznie, na autorytet Prymasa“.

W swej „Historii Polski“ Oskar Halecki nigdzie naturalnie nie mówi, że Kraj nasz zostanie uwolniony „dzięki kataklizmowi wojny światowej“. Ale Gomulka także nie twierdził, że takie zdanie wyczytał w książce, którą wymachiwał. Wprawdzie dodał, że Halecki „nie wyklucza, a raczej zakłada, że (narody) zostaną wyzwolone drogą kataklizmu wojennego“, ale to jest insynuacja, nie zaś fałszowanie tekstu. Skąd tedy to fałszowanie tekst u Haleckiego znalazło się w piśmie francuskim? Próbowałem to wyjaśnić. Napisałem do redakcji odpowiedni list. Ale list ten nie ukazał się w druku, nie dostałem też nań żadnej odpowiedzi. Czytelnik więc francuski jest przekonany, że polscy emigranci polityczni są „podżegaczami wojennymi“ i że jeden z takich „podżegaczy wojennych“, prof. Halecki, jest „nauczycielem“ Prymasa Polski.

Oto jest metoda działania „jednego z najlepszych pism codziennych świata“. Dwa lata temu „Le Monde“ przy współdziałaniu komunistycznych pism katolickich zadenuncjował kardynała Wyszyńskiego jako autora „raportu“ o PAX-ie, podczas gdy w rzeczywistości chodziło o notę Stolicy Apostolskiej, dotyczącą niebezpieczeństwa wynikającego z paxowskiej działalności dywersyjnej. W swoim czasie pisałem o tym obszernie, nie będę więc dzisiaj do tego powracał. Obecnie ten sam „Le Monde“ doradza Prymasowi Polski zerwanie z emigracyjnymi „podżegaczami wojennymi“. Oni bowiem nie idą z „wiatrem Historii“, odrzucają tezę, że „l'heure slave a sonné au cadran de l'histoire“.

Ala wracam do „niespodziewanego“ przemówienia Gomulki, do jego „improwizacji, sprowokowanej wystąpieniem Turowicza“.

Istotnie, przemówienie Gomulki nie było zapowiedziane. Ale przygotowania do sesji „komitetu jedności narodu“ wskazywały, że dziać się będą na niej rzeczy nierzwykłe. Przez dwa dni z rzędu poprzedzające dzień sesji na pierwszych stronach pism warszawskich ukazywały się specjalne komunikaty, które głosiły, że „14 bm. o godzinie 9.45 Polskie Radio w programie II i w programach wszystkich rozgłośni wojewódzkich oraz Telewizja Polska w programie ogólnopolskim transmitować będą przebieg plenarnej sesji Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu“. Czy po to robiono taką reklamę, by naród mógł jak najprędzej wysłuchać przemówień Ochaba, Kulczyńskiego i Turowicza?

W swym przemówieniu Gomulka całkowicie podzielił tezy oświadczenia PAX-u, to znaczy tezy sowieckie. Przyznał, że „rzeczywiście jeśliby chodziło o sprawę granic, to trudno byłoby zarzucać, że biskupi chcą oddać nasze Ziemie Zachodnie Niemcom“. I dodał kłamliwie, jak gdyby w ogóle nie było dotychczasowej rozwydrzonej kampanii: „Nikt takiego zarzutu im nie postawił“.

Cała ta ponura farsa przygotowana była po to, by Gomulka mógł „zaimprovizować“ swe przemówienie i położyć nacisk na to, że walka z Kościołem toczy się o miejsce Polski w świecie. W swym zakłamaniu pierwszy sekretarz polskiej kompartii posunął się tak daleko, iż nie zawahał się twierdzić, że w 1939 roku spadły na nasz naród „ciosy Hitlera, przy milczącej zgodzie Zachodu“. I dlatego nasz naród ma na zawsze pozostać „w ideowo-politycznej wspólnocie krajów socjalistycznych“.

Ala Prymas Polski i polski episkopat publicznie odrzucają tę sowiecką tezę. Posłuszny tedy dyrektorowi Moskwy, reżim dąży do stłumienia głosu polskiego Kościoła, który odbił się głośnym echem w całym cywilizowanym świecie. Głosu, który wiernie oddaje wolę całego naszego narodu.

Nie miejmy żadnych złudzeń. Warszawscy agenci Kremla nie cofną się przed żadnym kłamstwem, przed żadnym fałszem, przed żadną zbrodnią, by naród nasz nigdy nie zdołał wyrwać się ze szponów bezbożnego bolszewizmu.

Jedno jest, moim zdaniem, pewne. W swej walce o uwolnienie Polski emigracja nie może liczyć ani na polską kompartię, ani na żadne jej przybudówki występujące w masce „katolickiej lewicy“. Musimy pozbyć się wszelkich złudzeń odnośnie „polskiej drogi do socjalizmu“, „demokratyzacji komunizmu“ i tym podobnych bzdur.

Stanisław Paczyński

WPLACILI DO NASZEGO
PRZEDSTAWICIELSTWA W PARYŻU
NA „LEKARSTWA DO KRAJU“ W
GRUDNIU 1965 I STYCZNIU 1966:

4013 L.S.Co. (kpt. Jan Jaworski) F. 31.99;
4507 L.S.Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć)
F. 100.00; 4088 L.S.Co. (por. St. Kozłowski)
F. 72.00; 4085 L.S.Co. (kpt. F. Iwański)
F. 46.00; 4013 L.S.Co. (kpt. J. Jaworski)
F. 76.20; 4096 L.S.Co. (kpt. M. Normark)
F. 46.00; 4507 L.S.Co. (mjr. T. Kroja-
Kopeć) F. 100.00; 4158 L.S.Co. (kpt. St.
Madej) F. 120.00.

Serdecznie dziękujemy!

Podczas wojny i bezpośrednio po niej ukazała się cała seria polskich wspomnień z niewoli sowieckiej lat 1939-41. Specjalne biuro 2 Korpusu na Środkowym Wschodzie katalogowało kilkanaście tysięcy osobistych zeznań byłych więźniów, jeńców i zesłańców, a następnie już w Rzymie rozpoczęło publikację systematycznych opracowań, na tej dokumentacji opartych oraz indywidualnych wspomnień poszczególnych autorów. Podobne książki po polsku i w innych językach wydawano w W. Brytanii i dalej w innych krajach, dokąd Polacy docierali i gdzie udawało im się znaleźć wydawców.

Ostatnio jednak nowe publikacje tego rodzaju są już rzadkością i do takich zalicza się książka prof. Władysława Wielhorskiego pt. „Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej“ (Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego, nakładem księgarni „Orbis“, tłoczony w „Gryf Printers“, Londyn, 1965, stron 140 z fotografią autora). Mimo, że od czasu opisywanych przeżyć autora minęło prawie ćwierć wieku, błędne byłoby przypuszczenie, że wspomnieniom tym brak bezpośredniości, więc autentyzmu. Prof. Wielhorski napisał je bowiem już w kilka miesięcy po opuszczeniu granic Rosji, kiedy wielotygodniową podróż statkiem, ze Środkowego Wschodu dokoła brzegów Afryki do Londynu, nadarzyła mu po temu dogodną sposobność. Bezpośredniość tę odczuje zresztą każdy czytelnik, zwłaszcza były więzień sowiecki, ponieważ opowiadanie profesora Wielhorskiego wskrzesi mu żywo jego własną przeszłość, mniej lub bardziej, ale zawsze w istocie podobną. Ożywy też w nim ono jego własne reakcje na ten obcy i wrogi nam świat, bolszewickiej Rosji, z którego szczęśliwy bieg wypadków pozwolił nam się wyrwać, ale który — niestety — rozszerzył po wojnie granice również na nasz cały kraj i połowę naszego kontynentu.

Pierwszorządny dokument

Prof. Henryk Paszkiewicz, wybitny historyk, autor kapitalnego dzieła o początkach Rosji i głęboki znawca ducha jej imperializmu, słusznie pisze w przedmowie do „Wspomnień“ profesora Wielhorskiego, że relacje tego rodzaju „stanowią pierwszorzędnej wagi dokument, nieocenione źródło do historii Drugiej Wojny Światowej w ogóle, a do stosunków polsko-rosyjskich w szczególności“. Stosunki te, jak czytamy w tejże przedmowie, to było wtedy przeciąganie się „Stalina z Hitlerem w gorliwości tępienia żywołu polskiego“, o czym świadczą „setki tysięcy grobów polskich, rozrzucone na wielkich przestrzeniach Rosji“.

„Wspomnienia“ prof. Wielhorskiego

Wspomnienia z niewoli sowieckiej W. Wielhorskiego

posiadają szczególną wartość nie tylko dlatego, że — jak stwierdza prof. Paszkiewicz — dał on opowieść niezmiernie żywą, barwną, stworzył szereg obrazów i scen wprost wstrząsających, że ze wspomnień tych bije właściwe autorowi, również historykowi, „dążenie do prawdy, do jak najbardziej dokładnego obiektywnego przedstawienia wydarzeń“. Sądzę, że ponadto książka, wskrzeszając lata 1939-41, aktualizuje potrzebnie ten okres dziejów ostatniej wojny, który reżym komunistyczny pragnąłby wszelkimi środkami wykreślić z jego pamięci.

Zgodnie z ogólnym dążeniem do fałszowania historii Polski, Moskwie chodzi o to, aby zarówno ówczesne współdziałanie sowiecko-hitlerowskie, jak prześladowania naszego narodu ze strony Rosji, Katyń, łagry i więzienia, zyskała rodzin, by wszystko to zostało zapomniane. Cała uwaga ma być skierowana na zbrodnie hitlerowskie i one mają przesłaniać martyrologię polską ze strony sowieckiej. Każdy więc nowy dokument, każda nowa książka, zwłaszcza wybitnego autora, która odbije się należytych echem i przypomni opinii rolę wschodniego sąsiada w tych latach, utrudnia zarazem fałszowanie historii i służy prawdzie tym ważniejszej, że najbardziej dziś zagrożonej.

Łukiszki — podziemie NKWD — Gorkij

Władysław Wielhorski znalazł się po wrześniu 1939 na terytorium, oddanym wówczas Litwie i tam przeżywszy na wolności do lata następnego roku, został aresztowany w Wilnie w nocy z 11 na 12 lipca 1940.

Autor notuje, że miał już zapewniłony tego dnia nocleg u przyjaciół i nie umie sobie wytłumaczyć, dlaczego w ostatniej chwili zmienił plan i wrócił do domu. Charakterystyczny to szczególnie psychologiczny, a w istocie, każdy z nas, aresztowanych w tym czasie, jak osaczona zwierzyna miał rozmaite pomysły zachowania wolności. Później w więzieniu męczyły go myśli, co by było, gdyby zamiast w lewo poszedł wtedy w prawo, tedy zamiast tamtędy.

Więzienna droga Wielhorskiego, to wprawdzie wileńskie Łukiszki, jeszcze zarządzane przez personel zsovietyzowanej Litwy, skąd przeniesiono go na najgorsze tygodnie „inkwizycji“ do podziemi gmachu sądu pod bezpośrednią

już władzę NKWD. Tam męczono go wyrafinowanymi metodami, wmawiając mu, że wileńska Szkoła Nauk Politycznych szkoliła w rzeczywistości szpiegów i potem, bliskiego śmierci, nieprzytomnego odwieziono na Łukiszki. Stamtąd, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, kolejowym transportem w znanych, nieludzkich warunkach zatłoczenia wagonów towarowych, brudu, głodu, spiekoty lipcowej i pragnienia, wreszcie ciągłych bombardowań niemieckich, podczas których straż NKWD odbiegała od pociągu i kryła się, a więźniowie pozostawali zamknięci, autor z 800-900 towarzyszymi dowieziony został do m. Gorkij (dawniej Niżny Nowogród) nad Wołgą.

Stamtąd, na skutek umowy polsko-sowieckiej z 30 lipca, rozpoczęto we wrześniu zwalniać Polaków i 19 września w kolejnej grupie znalazł się prof. Wielhorski. Jak wielu jednak, nie został od razu wysłany do naszej armii, lecz przedtem skierowano go jeszcze na pracę pod Wiatkę, gdzie został rejonowym inspektorem koczowniczym do czego kwalifikowało go jego wykształcenie i dobra znajomość ze szkół języka rosyjskiego. Po miesiącu, znowu w grupie rodaków, autor wyjechał przez Kujbyszew z przeznaczeniem na Taszkent, dokąd wtedy kierowano polską ludność. W Kujbyszewie jednak, amb. prof. Kot wobec skrajnego wyczerpania, jakie prof. Wielhorski zdradzał (z normalnej wagi 78 kg. spadł na 56 kg.), zatrzymał go pod opieką ambasady.

Więzienna psychologia

Szczególnej uwagi warte są spostrzeżenia autora, dotyczące psychologii więźniów, które zebrane pod osobnym tytułem na str. 21, są też rozsiiane po całym pamiętniku. O głodzie, niedostępnym towarzyszu więźnia sowieckiego pisze Wielhorski, że to uczucie „podobne do łagodnego, tępego bólu, czy lechtania, połączonego jakby z uczuciem ssania w bolących członkach... w oczach, mózgu, szpiku kostnym oraz w nerkach“. Trafnie też mówi autor, że choć — godziny, moim zdaniem, wloką się bez końca — dnie po paru miesiącach zlewają się przez swoją jednostajność w szarą jednobarwną masę i przemijającą niespostrzeżenie, szybko (str.22). Nie zgadzam się natomiast z prof. Wielhorskim, gdy dołączył do więźniów określa jako „znacznie łatwiejszą, niż wydaje się to tym, co na

wolności...“ „troskają się o zamkniętych“. Moim zdaniem, więzienie należy do tych przeżyć, których bolesności nie przewidujemy, póki go nie zazналиśmy. Jest to cierpienie, że tak powiem, przeważnie niedoceniane w normalnych warunkach.

Postawa heroiczna

Stosunek autora do cierpienia jest wręcz heroiczny. Pisze on na str. 23, że „najłatwiejsze moje przeżycia na śledztwie, to było kopanie nogami; wprawiało nawet — nim zemdlałem — we wściekłość, a równocześnie w jakiś gorączkowy humor. Walka to dla niejednego z nas ulubiony żywioł. Nawet walka tak odrażająca w przejawach“ (str. 23). Podobna jest postawa Wielhorskiego w obliczu śmierci. „W tym czasie — czyli zagrożenia wyrokiem śmierci, pisze na str. 72 — szczególnie okrzepł pierwiastek woli oraz coraz częściej nawiedzany byłem podmuchami wycucia, płynącego z najwyższych regionów. Poznawałem coraz głębiej i istotniej prawdę życia śmierci oraz stosunku do siebie tych dwóch stanów rzeczywistości... W tym czasie opanowałem ostatecznie i odrzuciłem przez lek śmierci. Począłem jej oczekiwać, jak największego dobrodziejstwa. Oczom moim odkrywały się horyzonty niedostępne dla człowieka w zwyczajnych warunkach życia. W tym czasie opanowałem też zupełnie lek bólu fizycznego...“

Chociaż autor jest innego zdania, z pewnością nie wszyscy wzbili się na takie wyżyny duchowe.

MIEDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym fragmentom działalności Armii Krajowej.

Książka, uzupełniona fotografiami i szkicami, ukaże się już w niedługim czasie.

W przedpłacie można ją nabyć po niskiej cenie, bo tylko za 14 szillingów lub za 2 dolary.

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

Co obraz ma przedstawiać —
zależy kto nań patrzy...

Oscar Wilde



„PUT A NIGGER IN YOUR TANK“

fraszki

Nagrobek automobilisty

*Miał do zgonu świetną przyczynę:
Robił ponad sto na godzinę.*

Uzasadniona wiara

*Najgłębiej wierzy w przeznaczenie
Ten, kto ma pełne kieszenie.*

Dobroduszny

*„Wszystko już zapomniane, wszystko przebaczone“ —
Powiedział mąż zazdrosny, udusiwszy żonę.*

Najlepszy sposób na pokusę

*Gdy się komu bardzo śpieszy,
Ten już na pewno nie zgrzeszy!*

RAWICZ

Zacznijmy od Rodezji, bo ją widać na obrazku. „Put a tiger in your tank“, głosi reklama „Esso“ w kilkunastu tłumaczeniach. Tłumaczenia polskiego nie ma, jako że reklama benzyny do samochodów nie na wiele by się nam przydała.

Więc niech będzie „Put a Nigger in your tank“ — jako plan gospodarczy rządu Smith'a.

Wiet — Nam: Sytuację wyjaśnia dostatecznie tytuł „Przeglądu Polityki Polityki Międzynarodowej“ na stronie 21-ej tego numeru.

Pokój, jako taki: Trwa z „małymi“, choć coraz głośniejszymi wyjątkami na zasadzie roztargnienia. Względnie zasiedzenia, jakby powiedzieli prawnicy. „Pokój“ jest reszta pojęciem bajecznie rozciągliwym. Wszystko można w nie zmieścić do chwili, gdy bomba wpadnie przez pułap sali obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Dażenie do pokoju: jest powszechną troską.

Francja: Nie pozwala, jak nie pozwalala nikomu na nic, z małymi wyjątkami. Ponadto: ma kłopoty z policją od zewnątrz, od wewnątrz i odgórnie. Wszystkiemu winni Marokańczycy.

Hiszpania: przygląda się z kastylijską wyniosłością, jak Amerykanie szukają swoich zabawek na Costa del Sol.

Anglia: zwiększyła produkcję o 2 i pół procent, zamiast czterech i zarobki o 7, zamiast 3 i pół. W wyniku poprawiła bilans płatniczy, co jest niezrozumiałe nawet dla cudzoziemców.

Sowiety: Nie wiadomo, co się dzieje, lecz na pewno nie dobrego.

Księżyc: (patrz „Sowiety“).

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvensens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

Wiadomym jest chyba niemal powszechnie, że kler ukraiński (z nielicznymi wyjątkami) a zwłaszcza młodzi księża greckokatolicy, przewodził działaniom antypolskim. Ale sprowadzanie zagadnienia ukraińskiego w Polsce dwudziestolecia międzywojennego do ich działalności jest błędem.

Termin „repolonizacja“ użyty przez p. K. Schleyena w odniesieniu do szlachty zagrodowej i akcji wyodrębniania Łemkowszczyzny jest zupełnie nieudalnym. Oznacza przecież powtórne polonizowanie, a tym samym, że jakieś tam polonizowanie miało już raz miejsce w przeszłości. Mija się to z istotą rzeczy. Oddawałby ją termin de-rutenizacja.

Maciuś majączy w „Pożegnaniu Pułkownika“, pióra p. Klary Evans (ten sam numer „Orla Białego“). Wszystko mu się pomieszało. Scleroza disseminata — uzasadnia autorka. Zrozumiałe. Ale dlaczego p. K. Schleyen tak srogo „zamisał“ owo osobiste wspomnienie, „Powstanie o Pańszczyznę“? Oraz, dlaczego Pan, Panie Redaktorze podał nam ten bigos na lamach „Orla“?

Większe jeszcze pretensje mieć można do Pana o rzecz zatytułowaną „Sekret drugiej młodości“, pióra p. Pauli Powileńskiej. Jej recenzja w rodzaju „Vivat vamp“ („O.B.“ z października 1965) ujdzie. Jakoś jej to wyszło. Ale recenzje z kilku książek pod jednym napisane tytułem, wolażą o pomstę do nieba. Proszę np. zważyć takie zdanie: „I naraz w myśleniu społeczeństwa — bo ono niemal na równi z tkanką, ze skórą, ze sprawnością fizyczną i umysłową kształtuje nasze pojęcia o młodości — zaszła ogromna zmiana“. Mniej szał z tym myśleniem społeczeństwa (co to jest?), w którym zaszła zmiana. Jakżeż jednak można pisać, że myślenie na równi z tkanką (jaką?), skórą, sprawnością fizyczną i umysłową kształtuje nasze pojęcia o młodości! Przecież to bzdura, Panie Redaktorze! Proszę również zważyć następujące zaraz zdanie: „Zmiana ta postępowała widocznie powoli, opierając się na nieuchwytnych przesłankach rytmu życia współczesnego człowieka — jak higiena dnia codziennego, odżywianie, poziom dobrobytu mas — na tym wszystkim co się kształtuje powoli, przynosząc widome rezultaty po wielu dopiero latach“. Bzdura, Panie Redaktorze! Można podarować p. P. Powileńskiej „opieranie“ zmiany o jakieś przesłanki. Ale popelnia zbrodnię na czytelniku, gdy mówi, że przesłanki te są nieuchwytnie i gdy wylicza je jako higienę dnia codziennego, odżywianie i poziom dobrobytu mas.

Pani P. Powileńska robi odkrycie na temat penicyliny: „vide choćby pajęczyna ugniatana z razowym chlebem przez Macka z Bogdańca jako „dryakiew na rany najlepsza“. Była to po prostu penicylina, którą znajduje się w ogromnych ilościach w nici pajęczej“.

Mimo, że to już 34 lata od przypadkowego odkrycia penicyliny, możnaby lu-

dziom z wykształceniem humanistycznym przebaczyć tego rodzaju opinie wypowiedziane w rozmowach (a zdarzają się!). Deprymującym jest jednak, gdy ktoś to pisze. Jeszcze bardziej deprymującym, gdy redakcja pisma, jak dotychczas poważnego, tego rodzaju rzeczy przepuszcza.

Wydaje mi się, że już dość Panu krwi napsulem, więc list kończę.

Łączę wyrazy szacunku

Dr E. W. Kozorowski
Thorhild, Alberta,
Canada

Dr Kozorowski nie napsuł nam krwi. Raczej ucieszył starannością z jaką zabrał się do analizy numeru listopadowego. Wydrukowaliśmy ją z małymi skrótami, usuwając co bardziej krewkie sformułowania.

Nie wynika z tego byśmy się bili w pierś z ogromnym rozgłosem. Wynika jedynie, że „de gustibus non est disputandum“. W czym zaś dr Kozorowski ma rację a w czym nie ma pozostawiamy ocenie czytelników i może także zainteresowanych autorów. — Redakcja.

Doskonała książka na nagrody dla
dzieci w szkołach przedmiotów
ojczystych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.

London, S.W. 11.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

KRZYŻÓWKA Nr 580/66

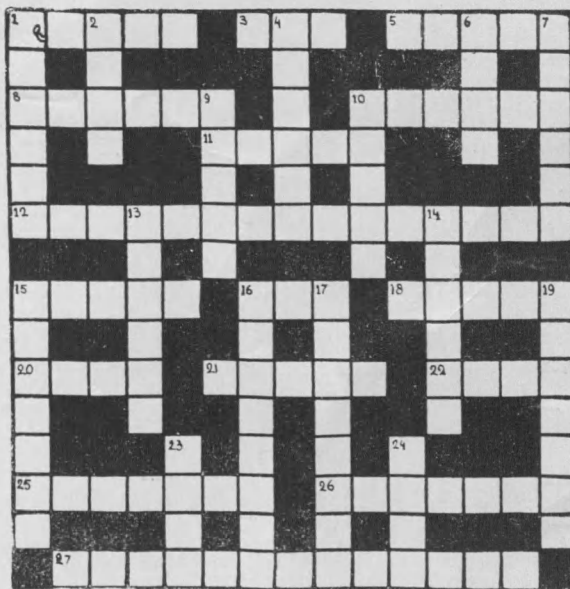
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) uczniowie często bardziej się jego w szkole bali niż nauczyciela; 3) epoka; 5) część łańcucha; 8) dobry z niego satyryk; 10) towarzysz babki?; 11) kwadratowa to glupia; 12) kończy się: „Taka pieśń moja o Aldony losach; niechaj ją anioł muzyki w niebiosach, a czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa,“ (6, 9); 15) i 18) piekło rvetes? (5, 5); 16) nie patrz znów na mnie!; 20) przyjemnie odpoczywać w ich cieniu; 21) wyspa Tyberiusza; 22) uciekający w nie idą?; 25) kolega Antoniusza i Oktawiana; 26) koń olbrzym; 27) troskliwie.

Pionowe: 1) majówka; 2) i 4) energiczna jednostka w społeczeństwie; 4) wycieraczka; 7) narzędzie górnika; 9) najlepszy budowniczy?; 10) ten na pewno nie trzyma języka za zębami; 13) wybitny malarz; 14) za górami?; 15) wróżka, która zabiła świętą transakcję na książkach; 16) normalny przejaw życia, ale bywa niebiańskie; 17) potrzebne w stajni; 19) jasny i gorący (wspak); 23) łamią prawa natury (wspak); 24) urzędnik na komorze twoje rzeczy...

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 579/66

Poziome: 1) mozól, 3) i 16) ujęcie, 5)



pozer, 8) dramat, 10) cienie, 11) zadra (wspak), 12) Kazimierz Wielki, 15) i 18) korsykanin, 20) i 22) zmierzch, 21) kwocka, 25) estrada, 26) koronki (wspak), 27) przenikliwość.

Pionowe: 1) mędek, 2) i 6) zdarzony, 4) rodzaj (wspak), 7) rzeźki, 9) talia, 10) czuwa, 13) reński (wspak), 14) grzane (wspak), 15) cebrzyk (wspak), 16) czworaki, 17) Eskorial, 19) nahajka, 23) fale, 24) znów.

KALENDARZYK KOMBATANTA NA ROK 1966

W oprawie reksynowej 5/-, w oprawie skórkowej 9/-

Zamówienia przyjmuje: GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.



GRYF

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

KSIEGARNIA SPK

P O L E C A

WYDAWNICTWA

WŁASNE

I WSZYSTKICH
WYDAWCÓW
POLSKICH

★

**Kupując polskie książki
i pisma:**

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

**Polska książka
w polskim domu**

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najważniejszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

Ś. † P.

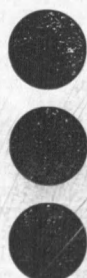
WŁODZIMIERZ SCIPIO DEL CAMPO

założyciel i długoletni prezes Samodzielnego Koła SPK w Sao Paulo, Brazylia, przed wojną dyrektor oddziału Brazylijskiego Syndykatu Emigracyjnego w Warszawie, w czasie wojny dyrektor Polskiego Czerwonego Krzyża na Środkowym Wschodzie, zmarł w wieku lat 85, dnia 21 stycznia 1966 w Sao Paulo.

Popularny i ceniony działacz społeczny, jeden z seniorów naszego Stowarzyszenia, odznaczony złotą odznaką honorową SPK pozostawił po sobie żal i wdzięczną pamięć u wszystkich, którzy go znali.

Zarząd i Rada Główna Federacji Światowej
Polskich Kombatantów

SZYBKIE



PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.